W.B. L.W.

Jeszcze nie wszyscy mówią: — podejmę każdą pracę.

# UWAGA! Bezrobocie jest już faktem!

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

**— W „Solidarności" działam od początku, od 1981 roku. Ja wam pracę załatwiłem** — ogarnia gestem siedzibę Zarządu Regionu — **a teraz wy mi pomóżcie!** — mężczyzna w średnim wieku **zwraca się** gniewnie do kobiety, rejestrującej bezrobotnych.

**Maria Siekiera** jest rencistką, robotę przy ul. Buczka 18 przyjęła społecznie. Chciała pomóc ludziom w biedzie, prosił ją także o to **Andrzej Słowik.** Teraz widzi, że może nie dać rady. Od rana do wieczora trwa napór. Ludzie ustawiają się godzinę przed otwarciem związkowego pośredniaka. Czekają średnio do półtorej godziny, żeby dostać się przed oblicze pani Marii. A gdy się już dostaną, wyładowują czasami swój gniew, jak to czyni pan w średnim wieku:

**— Moim zdaniem, „Solidarność" powinna się zająć bezrobociem, a nie kłótniami!**

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Dowiedział się, że nie ma dla niego ofert. Jest elektrykiem, zatrudniał się u prywaciarza, lecz zakład upadł. Musi koniecznie pracować, ale jakoś nikt nie potrzebuje elektryków.

### Kto jest potrzebny?

Kilku rzemieślników poszukuje ślusarzy z umiejętnością spawania. **„Majed"** przysłał zapotrzebowanie na tokarzy, frezerów i wytapiaczy. **„Textilpol"** przyjmie prządki i kotoniarki. Z największą ofertą zgłosił się szpital dla psychicznie chorych: po salowe i pielęgniarki — bez ograniczeń, po dwie fryzjerki i dwie bibliotekarki, rejestratorkę i magazyniera. Na fryzjerki i bibliotekarki znalazły się chętne od razu; tak więc, gdy zgłosiły się następne kobiety, zostało im do zaproponowania tylko jedno:

**— Na salową w „Kochanówce" nie chce pani?**

5

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NR 7 (1664) ROK XXXIII 18 LUTEGO 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

Był bal w hotelu „Centrum".

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

W połowie 1989 roku w aglomeracji łódzkiej było około pół tysiąca anten satelitarnych. Dziś ocenia się ich liczbę na dwa tysiące. Dynamika kilkusetprocentowa! Nie notowane od lat tempo przyrostu obrotów w żadnej innej branży. Bogaci i nie tylko bogaci Polacy oszaleli na punkcie programów telewizyjnych z satelity. Otoczenie masz ciągle takie samo, ale w domu jesteś już Europejczykiem, jesteś człowiekiem dostatniego świata.

Jednego dnia w tym samym mieście zapowiedziano dwa wielkie bale — Bal dla Rzeczypospolitej w Muzeum Historii Miasta Łodzi i Bal satelitarny w hotelu „Centrum". Pierwszy nie doszedł do skutku — przyszło 17 osób. Drugi wypełnił się kilkusetosobową grupą ludzi rozbawionych i odprężonych — „bliżejświatowców".

350 tysięcy złotych — tyle kosztowała przepustka do tego grona. Ponad setka gości Balu satelitarnego w hotelu „Centrum" Łodzi to ludzie należący do elity finansowej Ich wspólną charakterystyczną cechą jest nie tylko nowobogackość, ale także pokrewność branż, w których się dorobili. Najogólniej mówiąc zdobyli pieniądze na elektronice bądź branżach pokrewnych. Można zaryzykować stwierdzenie, że utuczyli się na własnych zainteresowaniach.

W oczekiwaniu na atrakcje wieczoru tuczą się zimnymi zakąskami. Ponadto na każdego przypada 100 gramów wódki wyborowej 45-proc. (w cenie 11.600 zł) i 50 gramów Brendy Napoleona (6500 zł). Co gorliwsi już teraz składają zamówienia uzupełniające. Najchodliwsza jest czysta po 58 tysiączków. Wielu amatorów ma także węgierski szampan za 30 tysięcy złotych.

Ospałość rozleniwia salę. Kelnerów gdzieś wymiotło. Ktoś zaczyna wcale nie po światowemu zżymać się. Ale oto orkiestra tusz i na estradzie pojawia się inicjator całego zamieszania, szef satelitarnego miesięcznika „TV SAT", Henryk Ciski, w nienagannych lakierkach, czarnym garniturze, koszuli ze skrzydełkowym kołnierzykiem i czerwonym krawacie. Prezentuje szefa kuchni i kelnerów, słusznie wychodząc z założenia, że Bliżej Świata zaczyna się od wysokiego poziomu obsługi.

Jerzy Klechta wyrósł na jedną z najbardziej popularnych postaci polskiej telewizji. Skromny w gestach, słowach i zachowaniu, opanował jednak umiejętność zdobywania sobie publiczności. Chwyt jest tani, ale na tyle skuteczny, że powtarzać go będą i inni bohaterowie tego wieczoru.

*— Proszę państwa: „Bliżej Świata", to Bliżej Łodzi, gdyż urodziłem się właśnie tutaj, przy ulicy Kopernika 70* — stwierdza pogodnie, a sala wybucha oklaskami.

Siostra popularnego dziennikarza — plastyczka Urszula Klechta-Knoll — do dzisiaj mieszka w Łodzi. Jej syn Mateusz jest chrześniakiem Jerzego Klechty i to w dodatku, jak twierdzi, ukochanym. Tu pochowani są jego rodzice. Z tych powodów często odwiedza rodzinne miasto, które opuścił w wieku 18 lat udając się do Warszawy na studia. Jego z kolei jedyny syn uczy się w Stanach Zjednoczonych geologii.

Jerzy Klechta zwraca się do pań, by prosząc go do tańca wyjawiały mu swoje życzenia.

*— Oczywiście, że nie jestem obojętny na wdzięki kobiece* — wyjaśniał będzie później. *— Każda może mnie kupić łagodnością i miłym usposobieniem...*

Wydaje się jednak, że jego obecna żona (nieobecna na balu) znalazła przez 25 lat wspólnego pożycia właściwy sposób na tego ciepłego i pogodnego mężczyznę. Przez żołądek do serca! Pani Teresa Klechta do tego stopnia świetnie gotuje, że jej małżonek na balu w

6

# Ekonomia nie zna sentymentów!

EUGENIUSZ IWANICKI

**W Łódzkich Zakładach Farmaceutycznych „Polfa"** mieszczących się przy ulicy Drewnowskiej 43/47 zastaję dyrektora do spraw ekonomicznych **STANISŁAWA MASTALERZA.**

**— Dlaczego podniósł pan cenę leków?** — pytam.

— Najłatwiej jest oskarżać producenta — mówi. — A przecież to nie my windujemy ceny.

**— A kto?**

— Społeczeństwo było przyzwyczajone, że cena leków od lat była ta sama. Wszystko wokół drożało, a leki nie. Pierwsza podwyżka — po wielu wielu latach — była w marcu 1989 roku. Biorąc pod uwagę ogólne koszty, była ona nieznaczna, choć wyrażona w procentach robiła wrażenie wysokiej.

**— Czy marcowa podwyżka wyrównała bilans?**

— Nie, do leków dopłacało się. We wrześniu ubiegłego roku Ministerstwo Finansów podjęło kolejną decyzję w sprawie ustalenia nowych urzędowych cen detalicznych i cen zbytu środków farmaceutycznych produkcji krajowej. Ta decyzja miała wejść w życie 25 września 1989 roku. Jednakże rząd ją wstrzymał, przesuwając jej wykonanie na październik.

**— Czy proponowane wówczas ceny zapewniały opłacalność produkcji leków?**

— Nie, tamten cennik w momencie jego zatwierdzenia był już spóźniony w stosunku do kosztów wynikających z inflacji. I tak 23 października nowy cennik zaczął obowiązywać w całym kraju (były to wzrosty w granicach dziesięciokrotnej średniej ceny). Ale te ce-

5

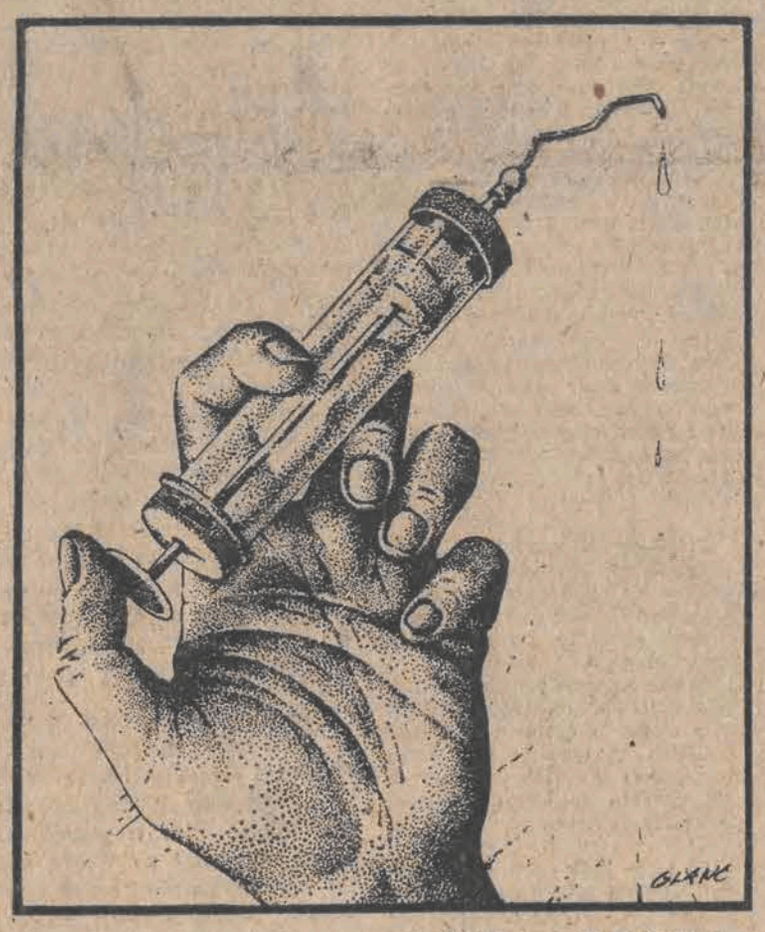

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Większość mężczyzn odczuwa pewien respekt wobec dziewictwa, lecz w tej intymnej sprawie można się łatwo pomylić.

# Powaby i pozory niewinności

MIROSŁAWA SARBIŃSKA

Na korytarzu pociągu z Warszawy do Łodzi młoda, ładna dziewczyna czytała książkę. Siedziała na bocznym krzeselku. Rozpięła płaszcz, lewą nogę wyprostowała, a prawą postawiła na grzejniku. Podkasana spódnica obnażała niemal całkowicie uda. Przyglądali się temu łapczywie dwaj mężczyźni. Ona zaś odpowiadała im obojętnymi spojrzeniami. Po jakimś czasie dopiero zorientowała się, że siedzi nieskromnie i okrywa płaszczem kolana.

Młode dziewczyny często mimo woli prowokują seksualnie mężczyzn. Bez ukrytego zamiaru siadają w taki sposób, że odsłaniają daleko uda; nieraz pokazują nawet majtki. A potem zdziwione łowią pożądliwe spojrzenia. Zarówno młodzi chłopcy, jak i starsi panowie nie mogą oderwać wzroku. Bezwiednie ukazana intymność urzeka i podnieca. Przy czym najbardziej zniewalająco działa podobno seks pięknych i skromnych dziewcząt, które kuszą zupełnie nieświadomie. Przypomnijmy sobie początek wczesnej powieści Alberta Moravii „Obojętni". Leo Merumeci pożądliwie obserwuje 24-letnią córkę swej kochanki.

*„Weszła Carla; była ubrana w sukienkę z brązowej wełenki tak krótką, że wystarczył ten jeden ruch przy zamykaniu drzwi, a spódniczka uniosła się przeszło o dłoń nad lekko falującymi się na nogach pończochami; lecz ona nie zauważyła tego i szła spoglądając tajemniczo przed siebie, niepełna i ospała; paliła się tylko jedna lampa i oświetlała kolana siedzącego na kanapie Lea; resztę salonu spowijał siny mrok (...)*

*Siedział pochylony na kanapie, obserwując dziewczynę uważnie i zachłannie; nogi o wrzecionowatych łydkach, płaski brzuch, mała cienista szczelina między bujnymi piersiami, wąskie ramiona, szczupłe ręce i ta okrągła głowa, tak ciężka na smukłej szyi.*

*„Jaka to piękna dziewczyna" — powtarzał w duchu. Stłumiona tego popołudnia lubieżność budziła się na nowo, krew uderzała mu do głowy, miał ochotę krzyczeć z pożądania. (...)*

*Czy wiesz, że masz śliczne nogi? — powiedział zwracając ku niej ogłupiałą i podnieconą twarz, której nie udało mu się okrasić pseudojowialnym uśmiechem; Carla nie zarumieniła się, nie odpowiedziała mu ani słowem, tylko niecierpliwym ruchem obciągnęła spódnicę".*

Inną sytuację przedstawił w opowiadaniu „Kobieta na kamieniu" Ivo Andrić. W tym przypadku młoda dziewczyna, siedząc w nieskromnej pozycji, łaskawie pozwoliła starszemu człowiekowi trochę popatrzeć. Najpierw odruchowo opuściła nogę, lecz widząc jego zauroczenie i czując się zupełnie bezpieczna, po chwili odsłoniła zakazany rewir intymności.

Piętnastoletnia Marta mieszkała nad morzem. Dom jej rodziców stał w rozległym ogrodzie, który otaczał gruby i wysoki na ponad dwa metry kamienny mur. Wzdłuż tego muru biegła jakaś boczna droga. Marta lubiła wdrapywać się na mur i patrzeć na morze lub obserwować rzadkich przechod-

6

**Adres redakcji:**
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
**Telefony: redaktor naczelny** 36 52 44,
**sekretarz redakcji, fotoreporter:** 36 80 99,
**publicyści:** 36 77 70, 32 89 70
**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.
**Zastępca redaktora naczelnego:** Edmund Lewandowski.
**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.
**Problematyka kulturalna:** Marian Zdrojewski.
**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.
**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski, **Graficy:** Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc, **Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński, **Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk, **Stale współpracują:** Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel 32 59 11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz,** tel. 36 80 99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora, odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

# Przegląd prasy

W północno-wschodniej Syberii, prawie na końcu świata azjatyckiego płynie rzeka Kołyma. Jest dwukrotnie dłuższa od Wisły. Po przebyciu 2129 km wpada do Morza Arktycznego. W dorzeczu panuje klimat polarny. Zimą temperatura spada do —60 st. Celsjusza. Przez 8 miesięcy w roku rzeka jest zamarznięta. Jej dolina porośnięta jest w górnym biegu tajgą, a bliżej ujścia tundrą.

Kołyma — podobnie jak Workuta — jest symbolem obozów śmierci w Związku Radzieckim. W ogromnym rejonie kołymskim utworzono około 150 łagrów. W szczytowym roku 1953 było w nich ponad 600 tysięcy więźniów. Pracowali głównie przy wydobyciu złota. Pisze o tym w miesięczniku „PRZEGLĄD POWSZECHNY" (nr 1) Wojciech Roszkowski.

Słabo zaludnione przez Jakutów tereny syberyjskie odkryli w XVII wieku Kozacy. W 1644 roku nad dolną Kołymą powstało pierwsze osiedle kozackie. Ale czołowym badaczem tych niegościnnych obszarów był polski zesłaniec, geolog, paleontolog i geograf, uczestnik powstania styczniowego, Jan Czerski (1845—1892). Zmarł podczas wyprawy w dolnym biegu Kołymy. Jego imieniem nazwano najwyższe pasmo górskie północno-wschodniej Syberii.

Historia zagłębia kołymskiego sięga 1910 roku. Wtedy pewien zbiegły więzień carski sprzedał wędrownemu kupcowi woreczek złota znaleziony nad Kołymą. Wieści o sensacyjnym odkryciu zaczęły rozchodzić się po Syberii. W 1926 roku sprawą zainteresowały się władze radzieckie. Państwo wprowadziło monopol skupu złota. A pod koniec lat dwudziestych opracowano plan eksploatacji złóż kołymskich za pomocą pracy niewolniczej. Jego realizacja zbiegła się z początkiem kolektywizacji rolnictwa i masową deportacją bogatych chłopów do łagrów.

W grudniu 1931 roku władze bezpieczeństwa zorganizowały specjalny trust pod nazwą „Dalstroj". Przez sześć lat kierował nim komunista łotewski Rajngold Berzins. Początkowo trust obejmował tylko rejony kołymskie, a później kontrolował także wydobycie złota nad rzeką Indygirką i metali nieżelaznych na półwyspie Czukotka. Praca w kopalniach miała charakter niewolniczy. W celu ułatwienia transportu więźniów i sprzętu założono w 1933 roku nad Morzem Ochockim portowe miasto Magadan, które stało się centrum zagłębia kołymskiego. W połowie lat czterdziestych mieszkało tam już 70 tysięcy ludzi. Najważniejszymi zabudowaniami w tym ponurym mieście były: kwatera główna „Dalstroju", Magłag (wielki obóz przejściowy) i siedziba NKWD. Wybudowano również kino i dom kultury...

Zastępca szefa trustu „Dalstroj" był kierownikiem Administracji Północno-Wschodnich Obozów Pracy Poprawczej (USWIT-Łag). Podlegały mu między innymi obozy w Ambarczik (rybołówstwo), Anadyr (metale nieżelazne), Arkagała (węgiel kamienny), At-Urach (złoto), Bałagannoje (rybołówstwo), Bereliach (złoto), Boriskin (złoto), Burchała (złoto), Czaun (ołów i cyna), obozy czukockie (ołów i węgiel kamienny), Elgen (kobiecy obóz rolny), Janstroj (złoto), Maldiak (złoto), Ola (złoto), Omsuczkan (złoto), Orotukan (złoto), Ojmiakon (złoto), Sejmczan (złoto), Srednikan (złoto), Susuman (rolnictwo), Taskan (złoto), Tumannyj (złoto), Utinyj (złoto), Zołotistyj (złoto). W wyniku rozbudowy sieci obozów kołymskich produkcja złota w Związku Radzieckim wzrosła z około 41 ton w 1930 roku do około 450 ton w 1950 roku. Pod koniec lat trzydziestych oceniano, że jeden kilogram złota kołymskiego kosztował jedno życie ludzkie. Ogólną liczbę ofiar w latach 1932—1953 szacuje się na 2,9 mln osób.

W 1937 roku gwałtownie pogorszyły się warunki życia w obozach nad Kołymą. Józef Stalin doszedł bowiem do wniosku, że „rozpieszczano" więźniów. Rajgnolda Berzinsa usunięto ze stanowiska, a następnie aresztowano i rozstrzelano. Czystką objęła całe kierownictwo „Dalstroju" i USWITŁagu oraz komendantów obozów, sekretarzy partii, brygadzistów. Nowym szefem trustu został K. A. Pawłow, którego zastąpił później równie okrutny Iwan Nikiszow. Poprawiać zaczęło się dopiero od 1946 roku, gdy szefem „Dalstroju" mianowano gen. Piotra Derewiankę.

*„Derewianko był znany z upodobań artystycznych: zorganizował teatr i koncerty w Magadanie, a jego żona ubierała się według aktualnej mody paryskiej. Prawdziwe zmiany zaczęły się jednak nad Kołymą po śmierci Stalina. Stopniowo pracę więźniów zaczęto zastępować przez zatrudnienie wolnych zesłańców. Poprawiło się zaopatrzenie. Ludzie przestali tak masowo wymierać. Obozy nad Kołymą istniały jednak jeszcze w latach siedemdziesiątych".*

Wśród więźniów i ofiar obozów kołymskich byli przedstawiciele wielu różnych narodów. Znajdowali się tam Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, Estończycy, Mołdawianie, Kazachowie, Niemcy, Gruzini, Uzbecy, Żydzi, Polacy, a nawet Japończycy, Koreańczycy i Hiszpanie. Wśród najbardziej znanych ofiar wymienia się poetów Bruno Jasieńskiego i Osipa Mandelsztama, paleobotanika Nikołaja Wawiłowa, botanika A. Michejewa, meteorologa Niekrasowa. Około 5 proc. więźniów kołymskich stanowiły kobiety...

*„Ich los był podobny do losu więźniów-mężczyzn. Co prawda zatrudniano je na ogół przy lżejszych zajęciach, jednak często pracowały także przy wyrębie lasu. Jedynie w kopalniach pracowali tylko mężczyźni. Pod innymi względami sytuacja kobiet była jednak jeszcze gorsza. Były one nagminnie gwałcone. Zbiorowy gwałt nazywano nad Kołymą „tramwajem" lub „trolejbusem". Aleksander Sołżenicyn zanotował wspomnienie świadka, który widział, jak pewien kierowca ciężarówki nad Kołymą przegrał w karty cały transport kobiet z Elgen, po czym przekazał cały karciany dług szefowi brygady budowlanej. (...)*

*Ze wspomnień więźniów Kołymy, którzy przeżyli: Jewgienii Ginzburg, gen. A. W. Gorbatowa* (drukowaliśmy w „Odgłosach" — E. L.) *Anatola Krakowieckiego, szwajcarskiej komunistki Elinor Lipper, Kazimierza Zamorskiego (pseudonim Sylwestra Mora), Grigorija Szelesta, Warłama Szałamowa, Władimira Pietrowa, Michaela Solomona i Jekateriny Olickiej, wyłania się zupełnie piekielny obraz zdziczenia w łagrach kołymskich".*

Pierwszy transport Polaków przybył do Magadanu latem 1940 roku. Spodziewali się go więźniowie kołymscy. Mówili między sobą, że jak tylko Morze Ochockie odmarznie, to przywiozą „oswobodzonych" Polaków. W latach 1940—41 było tam około 10 tysięcy obywateli polskich. Z tego w 1941 roku uwolniono 583 osoby, z których 171 dotarło do armii Andersa. A reszta zginęła...

W lecie 1944 roku przebywał nad Kołymą wiceprezydent USA Henry A. Wallace. Napisał entuzjastyczny raport („Soviet Asia Mission", Washington 1945) o energicznych i młodych pionierach na Dalekim Wschodzie, którzy torują drogę postępowi pod kierunkiem uzdolnionego przywódcy Iwana Nikiszowa i jego uroczej małżonki. Przed śmiercią dopiero wyraził żal, że źle zrozumiał rzeczywistość radziecką.

## POLSKI ŚLAD WALLENBERGA

Historyk radziecki Roj Miedwiediew szacuje liczbę represjonowanych na terenie całego Związku Radzieckiego w latach 1929—1953 na co najmniej 50 milionów osób. W tym było — jego zdaniem — 20 milionów ofiar śmiertelnych. To znaczy tyle, ile zginęło podczas drugiej wojny światowej.

Niektórzy przypuszczają, że w jednym z obozów pracy do dziś przebywa dyplomata szwedzki Raoul Wallenberg. Zaginął on w styczniu 1945 roku w drodze do Debreczyna, dokąd wyjechał w towarzystwie dwóch żołnierzy i oficera radzieckiego, żeby nawiązać kontakt z nowo powstałym węgierskim Rządem Tymczasowym. Przez długi czas władze radzieckie utrzymywały, że osoba o tym nazwisku nigdy nie przebywała na terenie ZSRR. Natomiast później Andriej Gromyko poinformował, że Wallenberg rzeczywiście został aresztowany przez Rosjan i zmarł w więzieniu na Łubiance 17 lipca 1947 roku.

Siostra poszukiwanego od 45 lat dyplomaty twierdzi jednak, że wielu świadków widziało go po 1947 roku. Zmarły niedawno Andriej Sacharow otrzymał wiadomość, że jeszcze w grudniu 1987 roku Raoul Wallenberg znajdował się z grupą Polaków w łagrze koło Torżka. Może na to wskazywać fakt, że dopiero w październiku 1989 roku Nina Lagergren-Wallenberg otrzymała w Moskwie odnalezione rzeczy brata.

Na sensacyjny ślad Wallenberga trafili Piotr Boszko i Marek Rudnicki. W tygodniku szczecińskim „MORZE i ZIEMIA" (nr 5) piszą, że już kilka lat temu rozmawiali z kilkoma osobami, które widziały dyplomatę szwedzkiego po 1947 roku, lecz bały się wówczas mówić. Jeden z tych świadków dopiero teraz zgodził się ujawnić ważne fakty. W 1949 roku spotkał on Wallenberga w więzieniu etapowym w Kirowie. Siedział z nim w jednej celi przez 6 dni. Początkowo więźniowie polscy przyjęli obcego nieufnie.

*„Nie byliśmy pewni, kto zacz. Ale szybko zbadaliśmy, że to nie wtyczka. Po tylu latach katorgi, każdy, jak było nas 33, miał ten wyczulony, szósty zmysł. Zaczęły się rozmowy z obcym. Po rosyjsku. Znał ten język. O ile mogę to ocenić, nawet dość dobrze. Nie były to oczywiście żadne dyskusje. Tylko takie ciche, konspiracyjne szeptania. Przeważnie, gdy leżeliśmy pod pryczami. Rozmawiał nie tylko ze mną. Również z innymi. Mówił nieco gardłowo. Nos miał zatkany wacikami. Nigdy nie spytałem się, czy aż tak przeszkadza mu smród, czy też jest jakiś inny powód. Mówił, że jest Szwedem i nazywa się Raoul Wallenberg. Twierdził, że został porwany. Zaplikowano mu wówczas jakieś zastrzyki. Prawdopodobnie usypiające. Dawka była na tyle silna, że już w Rosji, w szpitalu lekarze nie mogli go dobudzić. Dostał wyrok 25 lat łagrów. Za co? Tego nie wiedział. Oficjalnie zarzucono mu szpiegostwo. Do tej pory przetrzymywany był w izolatkach. I prawdopodobnie lepiej traktowany niż inni. Świadczył o tym chociażby jego ubiór. Wprawdzie mocno zniszczony, ale dużo lepszy od naszych łachów. Dwurzędowy garnitur koloru marengo, żółta koszula w kratę i czarne pantofle. Zupełnie nierealny widok na tle tego wszystkiego, w czym gniliśmy. Stąd też nasze początkowe podejrzenia, że to jakiś kapuś".*

Raoul Wallenberg urodził się w 1912 roku w Sztokholmie. Ukończył studia architektoniczne w Stanach Zjednoczonych. Pod koniec lat trzydziestych często wyjeżdżał na Węgry jako przedstawiciel rodzinnego banku. Wallenbergowie należą do najbogatszych w Szwecji rodzin bankierskich. W okresie wojny jego kontakty z Budapesztem były bardzo częste. W lipcu 1944 został sekretarzem ambasady szwedzkiej. Nieoficjalnie zajmował się ratowaniem osób skazanych na śmierć lub obóz koncentracyjny. W sumie udało mu się ocalić ponad 15 tysięcy ludzi (głównie Żydów). Prowadził również działalność szpiegowską na rzecz Stanów Zjednoczonych. W rodzinnej Szwecji uważany jest za bohatera. Jeśli rzeczywiście nadal więziony jest w Związku Radzieckim, to ma już 78 lat.

Cytowany wyżej Polak, który widział Wallenberga w sierpniu 1949 roku (dwa lata po jego rzekomej śmierci), urodził się w 1927 roku we wsi Litwa (województwo nowogródzkie). Aresztowano go w sierpniu 1944 roku, ponieważ nie chciał wstąpić do Armii Czerwonej. Po latach więzienia i zesłania przyjechał do Polski w listopadzie 1955 roku.

## PRAWDA O ROKOSSOWSKIM

Wśród milionów ofiar represji stalinowskich znalazł się również Konstanty Rokossowski. Aresztowano go w sierpniu 1937 roku. Oskarżony o współpracę z wywiadem japońskim i polskim siedział w więzieniu do marca 1940 roku. Podczas drugiej wojny światowej należał do czołowych dowódców Armii Czerwonej. O jego osobowości i stylu życia interesująco pisze w „POLITYCE" (nr 5) Tadeusz Pióro:

*„Wśród radzieckich marszałków, na ogół niezbyt subtelnie obchodzących się z podwładnymi, był postacią raczej nietypową, wyróżniał się bowiem rzadko spotykaną w środowisku wojskowym kulturą, wyjątkowo eleganckim sposobem bycia i skromnością. Koniew, Żukow i wielu innych — budzili szacunek ze strachu; Rokossowskiego po prostu lubiano. Piszą o tym w swoich pamiętnikach wszyscy wspominający go radzieccy generałowie.*

*Ciekawe jest przy tym, że mimo długoletniego nawyku w kierowaniu setkami tysięcy ludzi, Rokossowski nie był osobnikiem o zdecydowanym charakterze, cechowała go swoista, aczkolwiek dostrzegalna dopiero przy bliskim poznaniu, niepewność siebie. Musiał on mieć w pobliżu pomocników, którzy nadrabiali ten niedostatek, toteż natychmiast po usadowieniu się w Warszawie ściągnął na dowódców: lotnictwa — gen. płk. Turkiela, marynarki — kondradm. Winogradowa, artylerii — gen. płk. Michałkina, wojsk pancernych — gen. płk. Suchowa, znanych sobie z okresu wojny generałów, doskonałych specjalistów w swoich dziedzinach, a równocześnie ludzi bardzo energicznych, zdecydowanych, mocnych, choć z Polską niczym nie związanych, rdzennych Rosjan nie rozumiejących nawet polskiego języka. (...)*

*Dziedziną, w której nie potrzebował żadnego wsparcia, było myślistwo. Był znakomitym strzelcem (potrafił kulą ze sztucera ustrzelić pędzącego zająca) i polowaniom poświęcał znaczną część wolnego czasu. (...) Tak więc w tej materii Rokossowski czuł się absolutnie pewnie. No, może nie tylko w tej. Wysoki, elegancki, wysportowany — cieszył się ogromnym powodzeniem u kobiet, którego raczej nie zaprzepaszczał, aczkolwiek do końca pozostał z tą samą żoną, przemiłą i bardzo kulturalną panią, co wśród radzieckich marszałków również było czymś wyjątkowym.*

Konstanty Rokossowski urodził się 21 grudnia 1896 roku w Wielkich Łukach (gubernia witebska). Jego ojciec był Polakiem, a matka Rosjanką. Dzieciństwo i młodość (od 6 do 18 roku życia) spędził w Warszawie. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej został wcielany do 5 Kargopolskiego Pułku Dragonów. Stopień marszałka Związku Radzieckiego otrzymał 29 czerwca 1944 roku, a 7 listopada 1949 roku został marszałkiem Polski i ministrem obrony narodowej.

Na pytanie — kim czuł się Rokossowski, Polakiem, czy Rosjaninem? — Tadeusz Pióro odpowiada, że chyba jednym i drugim. Ale zawsze lepiej czuł się w towarzystwie Rosjan niż Polaków. W 1956 roku wyjechał z naszego kraju z całą plejadą radzieckich oficerów. W 1962 roku miał ciężki zawał serca. Zmarł w 1968 roku, w wieku 72 lat.

**E. L.**

# W najbliższych numerach „Odgłosów"

**— Kiedy zbliżał się czerwiec 1941 roku i wybuch wojny był już bardzo bliski, na terenach Ukrainy więzienia były przepełnione. Siedziały w nich dziesiątki tysięcy ludzi. Armia Czerwona zmuszona była wycofać się przed wkraczającymi Niemcami, więc z tymi których nie udało się wywieźć w głąb kraju lub wcześniej zamęczyć, rozprawiano się ostatecznie. W końcu czerwca 1941 roku w podziemiach lwowskich więzień Niemcy znaleźli 5 tysięcy zamordowanych Rosjan, Polaków i Ukraińców. Podobnie było w Drohobyczu, Krzemieńcu, Dubnie, Tarnopolu, Stanisławowie i innych miastach. W odkrytym niedawno miejscu kaźni wydobyto stosy ludzkich czaszek. Jedną skrzynię wypełniają wyłącznie czaszki kobiet. Zachowały się spopielałe, długie loki i zaplecione prawie pół wieku temu warkocze. W każdej potylicy małe otwory od kul. Teren jest pilnowany dzień i noc. Żyje bowiem jeszcze wielu takich, którym zależy na zatarciu śladów — pisze MONIKA MATUSZAK.**

**— Przed zamachem ochrona Włodzimierza Lenina składała się z dwu funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa. Po zamachu została podwojona. Kiedy władzę objął Józef Stalin, zażądał dla siebie ochrony zwiększonej wielokrotnie. Polecił Paukerowi zmobilizowanie tysięcy tajnych współpracowników, którzy odtąd czuwać mieli nad jego życiem. Stalin miał do Paukera nieograniczone zaufanie. Być może wpłynęły na to aktorskie zdolności fryzjera budapeszteńskiej operetki, którymi rozbawiał dyktatora. Stalin śmiał się rzadko. Pauker doprowadzał go do paroksyzmów śmiechu. Umiał naśladować członków Biura Politycznego. Opowiadał wulgarne dykteryjki i anegdoty antysemickie. Potrafił dostrzec słabostki samowładcy, zwłaszcza jego kompleksy związane z niskim wzrostem. Kiedy zauważył, że Stalin przygląda się dociekliwie swemu odbiciu w lustrze i z lubością gładzi wąsy, wydedukował, że zależy mu na upiększeniu wyglądu osobistego. Najpierw zadbał o jego garderobę. Po jakimś czasie zaczął ingerować w jego menu i dotrzymywał towarzystwa przy butelce. Wtedy gospodarz Kremla ukrywał jeszcze skłonności do alkoholu. Później rozpijał otwarcie członków Biura Politycznego, a nawet zagranicznych gości — pisze RYSZARD BADOWSKI.**

**— W Kanadzie zupełnie inaczej patrzy się na artystów niż w Polsce. Tam dochody artystów w większości są na poziomie minimum socjalnego. Tych najlepszych można policzyć na palcach jednej ręki. Bardzo często jest tak, że aktorki pracują jako kelnerki i tylko od czasu do czasu uda im się coś zagrać. W moim mieście jest około 200 aktorów, a takich, którzy utrzymują się tylko ze swego zawodu jest z górą trzydziestu. Podobnie jest z malarzami. Mam znajomego, który na co dzień jest kierowcą autokaru dalekobieżnego. Tak więc życie kogoś kto chce robić coś w dziedzinie artystycznej jest bardzo ciężkie — mówi JAN NOWINA-ZARZYCKI, polski reżyser filmowy, który od 1939 roku mieszka na stałe w Kanadzie.**

**— Kultura ma być podporządkowana identycznym zasadom jak inne działy gospodarki. A w takim razie skutki też zapowiadają się identycznie: drastyczny podział społeczeństwa w dostępie do jej wytworów. Cokolwiek z tego widać już wyraźnie dookoła: w księgarniach, po coraz wyższej cenie, pojawiają się wątpliwej jakości książki sensacyjne, pamiętniki erotyczne i kiepskie romanse, jednocześnie zaś wydawcy zwracają maszynopisy już przyjęte i często interesujące, ale nie rokujące dużego i szybkiego zysku, w kinach królują czysto rozrywkowe i w dodatku kiepskie „przeboje" amerykańskie — pisze RYSZARD NAKONIECZNY, polski reżyser filmowy, który pozostał w kraju.**

# 45 godzin w Sali Kongresowej

JAN WOLBORSKI

### Godzina pierwsza.

Sobota, 27 stycznia 1990 r., w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie zbiera się 1633 delegatów oraz osoby zaproszone na XI Zjazd PZPR. W kuluarach Adam Schaff podpisuje swoją książkę „Ruch komunistyczny na rozstaju dróg". W stoisku Domu Książki różności: „Kuchnia myśliwska" obok nowej biografii W. Gomułki autorstwa E. M. Ożóg, „Leksykon opozycji politycznej 1976—1989" D. Cecudy sąsiaduje z „Pamiętnikami Fanny Hill" J. Clelanda, a „Kurier z Warszawy" J. Nowaka-Jeziorańskiego z poradnikiem „Sciegi na drutach". W kiosku „Ruchu" najchętniej kupowana jest „Trybuna Ludu" i „Gazeta Wyborcza", na „Rzeczpospolitą" nie ma chętnych. Niektórzy z delegatów, przede wszystkim z Warszawy i Krakowa, wyróżniają się wizytówkami „blok socjaldemokratyczny".

O godz. 12 rozpoczyna się XI Zjazd. Na sali między innymi prezydent **Wojciech Jaruzelski** i marszałek Sejmu **Mikołaj Kozakiewicz**, żywymi oklaskami delegaci witają przewodniczącego OPZZ **Alfreda Miodowicza. Mieczysław Rakowski** odstępuje od zwyczajowego ustalania najpierw spraw proceduralnych i po odśpiewaniu przez delegatów „Mazurka Dąbrowskiego" wygłasza referat polityczny. Interesujący jest sposób jego prezentacji — publicystyczny, mówca nie unika dygresji, często posługuje się zwrotami „uważam", „myślę", „osobiście sądzę", „pragnę". Można powiedzieć, że w swym błyskotliwym, ze swadą wygłoszonym przemówieniu M. Rakowski rozegrał sprawę z wirtuozerią doświadczonego polityka. Kuluary zgodnie oceniają, że było to znakomite wystąpienie.

### Godzina druga i następne

Nadchodzi czas sporów proceduralnych i pierwsza runda walki politycznej. Przedstawiciele bloku socjaldemokratycznego wnoszą o formułę rozwiązania PZPR jako zadośćuczynienia za błędy i zbrodnie stalinizmu, a także i wydarzenia z lat osiemdziesiątych. Ripostują reprezentanci Ruchu Ludzi Pracy, że mają tylko mandaty do przekształcenia partii. Gwałtowne wypowiedzi z różnych sektorów sali. Wzrastające napięcie rozładowuje spokojne wystąpienie **Aleksandra Kwaśniewskiego**, że formuła rozwiązania lub innego zakończenia działalności PZPR ma dwa aspekty: prawny (sprawy majątku) i merytoryczny — rozbicie Zjazdu i rozłam w partii. Wydaje się, że większość delegatów nie rozumie podtekstów całej sprawy.

**Marek Tęcza** mówi, że partia **„nie może być tłem dla rozgrywek kilku facetów" i „ośmieszylibyśmy się, gdyby Tadeusz Fiszbach, który miał duże poparcie, stanął na czele partii (...) nie może o tym decydować ktoś z zewnątrz".** Dla mówców, których wystąpienia nie wzbudzają uznania sala jest okrutna — wyklaskuje i nie daje dojść do słowa. W wyklaskiwaniu nie ma zgody, część delegatów wyklaskuje jednych, a inna część drugich. Przeważać zaczyna pogląd, że potrzebna jest jedność, ale nie za wszelką cenę, a nowa partia nie może być neoPZPR-em. Ujawniają się mówcy **(Stefan Owczarz, Jan Rychlewski)** broniący klasowej formuły partii, postrzegani w kuluarach jako prawdziwi komuniści. Robotnik **Stanisław Barzyk** wzywa, aby **„nie wierzyć nowym prorokom"**, którzy znów chcą **„wpuścić w kanał robotników"**. Górnik **Franciszek Bańko** wprost broni ideałów komunizmu, występuje przeciwko kosmopolitom i inteligentom, którzy **„żonglują robotnikami"**.

**Bohdan Poręba** mówi, że nieszczęściem polskiej lewicy jest radziecka penetracja agenturalna, potępia kosmopolitów, papiera **T. Fiszbacha**, bo dzięki niemu nowa partia może dojść do współdziałania na gruncie narodowym **z Lechem Wałęsą i „Solidarnością"**.

W kuluarach mnóstwo dziennikarzy krajowych i zagranicznych. Można spotkać zaproszonych: **Edwarda Osóbkę-Morawskiego, Henryka Jabłońskiego, Stanisława Kanię, Kazimierza Barcikowskiego, Stefana Jędrychowskiego.** Nie ma przerwy obiadowej, więc delegaci oblegają bufety zorganizowane przez PSS Społem (bułka z parówką — 3003 zł, mała kawa — 1027 zł, coca cola — 2500 zł, herbata — 377 zł). Coraz więcej delegatów zaczyna nosić znaczki identyfikacyjne: PZPR i wizytówki „blok socjaldemokratyczny". Trwają kuluarowe rozmowy, uzgodnienia, narady. Jedni grupują się wokół **T. Fiszbacha**, inni pertraktują z **A. Kwaśniewskim, T. Nałęczem, S. Wiatrem.** Jeszcze inni skupiają się wokół **A. Miodowicza.** Kolportowane jest OPZZ-owskie „Oświadczenie Ruchu Ludzi Pracy", w którym między innymi stwierdza się, że **„nowa partia musi być autentycznie nowa, (...) nie ciągnąć za sobą ogona stanu wojennego, (...) odrzucić to wszystko, co odrzuciło społeczeństwo z praktyki PZPR. Muszą odejść ludzie, którzy kierowali PZPR w dekadzie lat osiemdziesiątych".**

Spotykam w kuluarach delegata, który pokazuje mi program Zjazdu z autografami **M. Rakowskiego i A. Kwaśniewskiego** i mówi **„umarł król, niech żyje król".** Większość jest jednak zdezorientowana, padają pytania: o co tu chodzi? kto za tym stoi?

### Godzina dziesiąta

Spośród 1633 delegatów na XI Zjazd 1533 osoby przyjęły mandat uczestnika-delegata Kongresu Założycielskiego. Obrady rozpoczyna najmłodsza w Sali Kongresowej **Edyta Kwapich** (ur. 21.08.1970) uczennica IV klasy liceum ogólnokształcącego w Zarach. Tym razem sprawy proceduralne przechodzą gładko. Młoda przewodnicząca pewnie i bez wahania dyscyplinuje salę, nie krępują ją żadne autorytety. Na propozycję z sali, aby na Kongresie nie używać formy „towarzysz" ripostuje — tradycja taka ma już ponad 40 lat i należy wybaczyć tym, którzy jej ulegają.

Oklaskami delegaci witają informację, że **T. Fiszbach nie przyszedł na obrady** Kongresu. Głos z sali oskarża o tę absencję **Mariana Orzechowskiego.** Zostaje odczytane oświadczenie **T. Fiszbacha, w którym** wyjaśnia on, że jego nieobecność nie oznacza rozłamu, ale to, co dzieje się w czasie dotychczasowych obrad jest odstępstwem od cenionych przez niego wartości.

### Godzina dwunasta

W nocy ma być powołana partia socjaldemokratyczna przez **T. Fiszbacha**, co oznacza rozbicie Kongresu. Padają propozycje zakończenia obrad, bo ludzie są już zmęczeni. Inni domagają się, aby radzić do rana. Podejrzenia o manipulacje i chęć jeszcze większego zdezorientowania uczestników Kongresu. Przeważa pogląd, że **Kongres Założycielski partii to nie wyścigi chartów, nie należy się wzajemnie oskarżać i podejrzewać o kradzież nazwy".** Zdecydowana większość opowiada się za przerwaniem obrad. Mija północ.

Blok socjaldemokratyczny w sile blisko 300 osób jeszcze zbiera się na odrębną naradę. Uczestniczy w niej **T. Fiszbach** proponując powołanie Unii Socjaldemokratycznej. Secesja wisi na włosku. Orientacja reformatorska, identyfikowana wcześniej jako Ruch 8 lipca, aby odciąć się od dotychczasowego establishmentu dąży do utworzenia radykalnie nowej partii. Tych, którzy chcieli tuż przed północą przeforsować program, statut i nazwę ocenia się jako zmierzających do „przemalowania" PZPR w nową partię bez istotniejszych zmian. Przesądza sprawę **A. Kwaśniewski** propozycją, aby poczekać do ogólnej dyskusji na Kongresie nad deklaracją programową.

### Godzina trzynasta i następne

W niedzielę, 28 stycznia od godz. 9 toczy się spór o program nowej partii. Występuje na Kongresie **T. Fiszbach.** Prezentuje pogląd, że pospieszne utworzenie partii-hybrydy nie zapewni jej wiarygodności i społecznego poparcia i nikt nie uwierzy, że z soboty na niedzielę komuniści zmienili się w socjaldemokratów.

Wywiązuje się ostra polemika, oskarżenia o rozbicie partii, o brak programu, ambicje osobiste. **T. Fiszbach** replikuje, że partia i tak jest od lat rozbita wewnętrznie i podkreśla potrzebę utworzenia Unii. W dyskusji następuje zderzenie opcji socjaldemokratycznej **(Zbigniew Siemiątkowski, Hieronim Kubiak)** i opcji broniącej tradycji PZPR **(Waldemar Świrgoń, Jan Rychlewski). Krzysztof Makowski** oświadcza, że nowa partia nie będzie wiarygodna, jeżeli skupi wszystkich dotychczas należących do PZPR. **Józef Lipiec** sugeruje, że w Krakowie powstanie odrębna Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej, jeżeli dojdzie do prostej transformacji PZPR w nową partię.

Błyskotliwe wystąpienie **A. Kwaśniewskiego,** który uznając koniec formacji realnego socjalizmu, apeluje o prawo obecności w partii różnych poglądów. Konkluzją jest stwierdzenie: **„jeżeli mamy się dzielić, to mądrze. Niech powstaną 2—3 partie, które będą miały własną bazę i które będą ze sobą współpracowały".**

### Godzina dwudziesta

Zacięte spory wywołuje deklaracja programowa. Najwięcej polemik toczy się na temat zapisu o formule ustroju. **Tomasz Nałęcz,** przewodniczący komisji programowej odrzuca autorytarny socjalizm jako komunizm. Dramatyczne przesilenie, protesty grupy broniącej tradycyjnych określeń socjalizmu. Wreszcie przechodzi określenie **„jesteśmy za demokratycznym socjalizmem".**

**Hieronim Kubiak** proponuje nazwę Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. O pierwszeństwo autorstwa nazwy wystąpi później delegacja z województwa płockiego, uważając, że wymyślił ją **Michał Kaczmarek** z Kutna. W głosowaniu, 28.01., o godz. 23.45 przechodzi ta ostatnia nazwa (za 1129 głosów), oklaski na stojąco, delegaci śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła".

Wielu delegatów przeżywa wewnętrzne rozterki. Niejeden z nich przez lata przyzwyczaił się, że „socjaldemokrata" to odszczepieniec, rewizjonista, a tu teraz Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej. Jak postąpić?

Przysłuchuję się rozmowie w jednej z grup delegatów. Padają argumenty: jeśli odpowiada ci program i statut za którymi głosowałeś, to znaczy bliskie ci są zapisane w nich wartości, a nazwa partii jest rzeczą wtórną. Rozumiem i podzielam wahania tych ludzi, świadczą one o ich uczciwości. Łatwiej mają ci z delegatów, którzy w sposób mniej lub bardziej otwarty dążyli do zmian i którzy już wcześniej zrozumieli, że skończył się czas nie tylko PZPR, ale i całej reprezentowanej przez nią filozofii działania i jej praktycznej realizacji.

Pojawiają się listy, na których można zadeklarować swoje wstąpienie do Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej. Stopniowo zapełniają się podpisami. Na liście łódzkiej grupy swój podpis składa **Mieczysław Rakowski**

### Godzina trzydziesta

W poniedziałek, 29 stycznia, o godz. 0.30 wznawia obrady XI Zjazd PZPR, przewodniczy **M. Rakowski.** Przyjęte zostają uchwały o zakończeniu działalności partii, przeniesieniu jej praw i obowiązków na rzecz SdRP oraz oświadczenie o potępieniu stosowanego w przeszłości karania za poglądy polityczne i moralnym zadośćuczynieniu dla wszystkich, którzy takimi karami zostali skrzywdzeni.

Pół godziny później wznawia obrady Kongres Założycielski SdRP, do której swój akces zgłosiły 1174 osoby, spośród 1633 delegatów, którzy dwa dni wcześniej rozpoczynali ostatni zjazd PZPR. Około stu poszło za T. **Fiszbachem** do Unii Socjaldemokratycznej, kilkunastu, a może kilkudziesięciu opowiedziało się za opcją prawdziwych komunistów, pozostali znaleźli się na rozdrożu.

### Godzina trzydziesta trzecia i następne

Rozpoczyna się procedura wyborcza przewodniczącego Rady Naczelnej. **Aleksander Kwaśniewski** zgadza się kandydować, ale pod warunkiem, że będzie mógł zaproponować około 60 osób, z którymi chciałby, po ewentualnym wyborze, współpracować we władzach SdRP. Kongres rozumie i akceptuje ten warunek. **Leszek Miller** (deklaruje chęć pracy w kierownictwie partii, ale na innej funkcji), **Ireneusz Sekuła i Waldemar Świrgoń** odmawiają kandydowania. **Wojciech Garstka** protestuje przeciwko sugestii z sali, aby pozostać przy jednej kandydaturze — **„demokracja wymaga wyborów, skończyły się czasy list jednoosobowych".** On i lider Ruchu 8 lipca **Leszek Jaśkiewicz** stają jako kontrkandydaci **A. Kwaśniewskiego.**

Przy ustalaniu kandydatów na sekretarza generalnego **Leszek Miller** zgadza się pod warunkiem, że przed głosowaniem będzie mógł zabrać głos. Jego kontrkandydatami są **Sławomir Wiatr i Zbigniew Siemiątkowski** reprezentujący blok socjaldemokratyczny oraz **Henryk Horbaczewski z Elbląga.** Odmawiają kandydowania poseł **Mieczysław Czerniawski** i prof. **Józef Lipiec.**

Niektórzy z tych, którzy podpisali listy w nocy, wycofują swą deklarację przynależności do partii. Wielu z nich po prostu wyjeżdża do domów. Przed południem mandaty członków założycieli Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej posiada 1196 osób, w tym 12 posłów należących dotychczas do PZPR.

Kongres przyjmuje m.in. stanowisko w sprawie edukacji, nauki i kultury. Wywołuje ono sprzeciwy niektórych delegatów, jako „branżowe". Prezentujący je **Grzegorz Matuszak** polemizuje, że nie chodzi o interesy konkretnych grup zawodowych, ale o jednoznaczne opowiedzenie się SdRP w sprawach oświaty, nauki i kultury, które są równie ważnymi dziedzinami życia zbiorowego, jak wytwarzanie dóbr materialnych. W głosowaniu stanowisko zyskuje powszechną aprobatę, oponuje tylko 10 delegatów.

**A. Kwaśniewski i L. Miller** gratulują sobie, ściskają się, podnoszą ręce w geście zwycięstwa. Przewodniczący Rady Naczelnej w imieniu swoim i **L. Millera** mówi, że jest zadowolony, ale i wystraszony, deklaruje wzajemną lojalną współpracę.

### Godzina trzydziesta ósma i następne

W czasie przerwy przeznaczonej na przygotowanie kart do głosowania na sali i w kuluarach trwają ożywione dyskusje, grupy wojewódzkie zawierają wyborcze alianse i porozumienia: my popieramy waszych ludzi a wy naszych. Wszyscy delegaci otrzymują powieloną preferencyjną listę **A. Kwaśniewskiego.**

Przychodzi czas wielkiego skreślania, aby głos był ważny z listy kandydatów do Rady Naczelnej trzeba skreślić co najmniej połowę nazwisk, a do Krajowej Komisji Rewizyjnej i Krajowego Sądu Partyjnego po 2/3 kandydatów. Wielu delegatów jest w kłopocie — jak skreślać, tym bardziej że część kandydujących nie jest znana poza swoimi grupami wojewódzkimi. Wprawdzie akt wyborczy jest tajny, ale można zauważyć, że niektórzy kreślą co drugie nazwisko, inni po dziesięć kolejnych albo według jeszcze innej, sobie tylko znanej metody. Przed komisją skrutacyjną, której przewodniczy **Jacek Depczyński** z Łodzi cała noc żmudnego liczenia.

### Godzina czterdziesta piąta

W skład Rady Naczelnej weszli wszyscy rekomendowani przez **A. Kwaśniewskiego,** uzyskując po więcej niż 500 głosów. Najliczniejsze grono zwolenników miał poseł **Ireneusz Sekuła.** Minimalna liczba głosów zapewniająca wybór wyniosła 317, czyli około 30 proc. ogółem oddanych.

Kierujący obradami informuje, że na apel o dobrowolną składkę pieniężną „do kapelusza" na rzecz SdRP członkowie założyciele wpłacili prawie 13 milionów zł. Podjęta zostaje uchwała o powołaniu teoretycznego czasopisma partyjnego i powierzeniu jego redakcji **Mieczysławowi Rakowskiemu.** Tymczasowe legitymacje SdRP wypełniają sami członkowie założyciele a podpisują je nowo wybrani przewodniczący Rady Naczelnej i sekretarz generalny.

Na pierwsze swoje posiedzenie zbiera się Rada Naczelna, konstytuują się pozostałe władze partyjne. Po raz ostatni dzwonki wzywają na salę. Aleksander Kwaśniewski wygłasza końcowe przemówienie, dziękuje delegatom. Po odśpiewaniu „Mazurka Dąbrowskiego" o godz. 12 Kongres Założycielski Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej kończy obrady.

Z tej ziemi.

# A jak zostaje się w tyle...

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

09.02.1990.

1.

Rzecznik prasowy Prezydenta Miasta Łodz Małgorzata Ziętkiewicz nadesłała informację, że likwiduje się przedsiębiorstwo „Estrada Łódzka". Decyzja zapadła 07.02.1990. *„Estrada* — pisze Małgorzata Ziętkiewicz — *jest pierwszą łódzką instytucją, która nie wytrzymała ekonomicznego i nie tylko ekonomicznego tempa zmian w naszym kraju. Już w styczniu 1990 roku utraciła samodzielność finansową, bankrutując na 14 milionów złotych".* Organem założycielskim jest dla „Estrady Łódzkiej" Urząd Miasta Łodzi, tak więc prezydent m. Łodzi — Waldemar Bohdanowicz podjął decyzję o jej likwidacji. Z pisma Małgorzaty Ziętkiewicz wynika, że „Estrada Łódzka" jest *„pierwszą łódzką instytucją"*, która nie wytrzymała warunków, jakie niesie z sobą wolny rynek a więc — nasuwał się logiczny wniosek — będą i następne... Życie pokaże.

2.

„Życie Literackie" — mimo różnych apeli i prób — wyszło z czarną winietą i zawiadomieniem, że zostaje zawieszone. W Poznaniu zawieszono „Nurt", w Warszawie — tak przecież popularny i chwalony — „Tygodnik Kulturalny". Nie ulega dla mnie wątpliwości, że za nimi pójdą inni. Pisma plajtują. Dariusz Fikus ogłasza publicznie, że coraz ciekawiej redagowanej „Rzeczypospolitej" grozi... bankructwo. Daniel Passent przez wiele lat — jeszcze nie tak dawno — rozdzielał innym ciosy, chwaląc się, że „Polityka" jest wysoce dochodowa. To z „Polityki" wyszedł swego czasu projekt likwidacji wielu pism RSW „Prasa-Książka-Ruch". Dziś „Polityka" przyznaje się publicznie, że przynosi... straty.

Zagrożone likwidacją są pisma ze znaczną i niebagatelną tradycją: „Twórczość", „Dialog", „Odra"... Ministerstwo Kultury i Sztuki ma zamiar wziąć kilka takich pism „na garnuszek" i dotować je z Funduszu Rozwoju Kultury. Nie będą one już miały takich luksusowych warunków, jakie miały w wydawnictwach RSW „Prasa-Książka-Ruch", ale będą przynajmniej istniały i funkcjonowały dla dobra polskiej kultury. To też się będzie w ogólnym rachunku liczyło.

3.

Serdeczne wyrazy szacunku przysłał mi rzecznik Ministerstwa Kultury i Sztuki — mgr Janusz Nowicki wraz z prośbą, aby przesłać mu *„okazowe egzemplarze wydań magazynowych (sobotnio-niedzielnych)"*, w których — jak się spodziewa mgr Janusz Nowicki zwyczajowo poświęcamy *„więcej miejsca kulturze"*.

Za serdeczne wyrazy szacunku dziękuję, ale prośby spełnić nie mogę. Z prostej przyczyny: „Odgłosy" są tygodnikiem. W „Informatorze Polskim 1988/1989" można to sprawdzić. Wprawdzie widniejący tam adres jest już nieaktualny, ale aktualne jest to, że „Odgłosy" są nadal tygodnikiem. Były kiedyś nieudane próby zamienienia „Odgłosów" w dwutygodnik, ale to już historia.

Fakt, że rzecznik MKiS nie orientuje się w prasowej geografii Polski trochę mnie smuci i budzi moje wątpliwości, czy MKiS potrafi właściwie zaopiekować się tymi pismami, które zamierza uratować dla polskiej kultury. Życie to pokaże. Pożyjemy, zobaczymy!

Trudno wszakże oprzeć mi się przed tym, aby nie przypomnieć starej zasady, że zniszczyć coś jest niebywale łatwo, odbudować zniszczone — niebywale trudno. Czasem wręcz niemożliwe.

4.

Jeśli dobrze pamiętam, to w styczniu 1982 roku ceny gazet zostały podniesione z 2 złotych do 5 złotych. Skok to był wówczas ogromny i zysk także. Otóż ten skok zysku — nie tylko gazet przecież dokonywał się poprzez zwykłą arytmetykę a nie poprzez zmiany merytoryczne, inwestycje, modernizację, unowocześnienie w redagowaniu gazet i czasopism. W jakiś czas potem przestrzegałem przed opłakanymi skutkami tegoż, ale mało kto chciał mnie słuchać. A wtedy już zarysował się dzisiejszy kryzys prasy.

Zwracam uwagę na stwierdzenie z pisma Małgorzaty Ziętkiewicz: *„nie wytrzymała ekonomicznego i nie tylko ekonomicznego tempa zmian w naszym kraju"* Uważam, że kryzys wielu pism bierze się nie tylko z tego, że cena papieru jest niebywale wysoka, ale również z tego, że nie potrafią sprostać zmianom, jakie w Polsce zachodzą. System prasowy — nie dotykam radia i TV — został stworzony w zupełnie innej epoce i innym celom służył. Dziś — obok tego systemu — rodzą się pisma lokalne, które są jakby próbą rozbicia tego systemu. Warto o tym wiedzieć i uważnie śledzić to nowe.

Systemowi każdemu fatalnie służyć będzie istniejący kolportaż i prenumerata. Katon każde swoje przemówienie kończył zdaniem: *„Ceterum censeo Carthaginem esse delendam"*, co się tłumaczy: *„Poza tym uważam, że Kartagina powinna być zburzona"*. Powinienem chyba takim wzorem każdy komentarz kończyć żądaniem zburzenia RUCHU, jako instytucji niedołężnej i niesprawnej, przynoszącej straty. Dziwię się, że do tej pory nie potrafiono uporać się z tym — tak przecież ważnym problemem.

5.

„Odgłosy" mają się dobrze. W 1989 roku przyniosły spory dochód.

40 lat WFO.

# Rubinowe wesele

**Pyszne jubileusze, gdzie jadło się, piło na koszt Rzeczypospolitej odchodzą już do przeszłości i z wolna wytwarza się w Polsce nowy obyczaj. Miałem tego dowód jako uczestnik uroczystości 40-lecia Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi: garnitur oficjeli więcej niż skromny, żadnego stołu prezydialnego nie było, zamiast gradu odznaczeń na klapy wyróżnionych skąpnęło ledwie parę błyszczących blaszek. Ale nastroje uczestników niezłe, spotkanie bardziej mimo wszystko przypominało wesele niż pożegnalną stypę.**

**— Nigdy tak mała garstka nie uczyniła tak dużo, dla tak wielu** — strawestował Winstona Churchilla rektor **Henryk Kluba**, zabierając głos w imieniu Szkoły Filmowej. Pobrzmiewa w tym oczywiście okolicznościowa przesada, choć dorobek WFO w ciągu tych czterdziestu lat jest rzeczywiście znaczny, a wyznaczają go takie nazwiska jak pionier filmu przyrodniczego **Karol Marczak**, twórca ambitnych filmów o sztuce **Konstanty Gordon**, reżyser i fotografik **Włodzimierz Puchalski**, realizator filmów podróżniczych **Jarosław Brzozowski**, prekursor filmów o tematyce SF w Polsce **Janusz Star** i wielu innych, którzy na trwałe wpisali się do annałów rodzimego i światowego kina edukacyjnego.

**Pieprzykiem oficjalnej uroczystości była projekcja krótkometrażowego obrazu „...lecie", nakręconego jeszcze w PRL i przetrzymanego dziesięć lat przez cenzurę a zaprezentowanego publicznie już bez cięć i ingerencji w realiach politycznych Rzeczypospolitej Polskiej. Dzieje tego okolicznościowego felietoniku filmowego są dodatkowym przyczynkiem do historii perwersji politycznych „socjalizmu realnego" — tylko doświadczony psychiatra potrafiłby pewnie wyjaśnić, czym kierowały się ówczesne władze kinematografii konfiskując ową niewinną składankę ruchomych przeźroczy z niewinnym komentarzem Konrada Siwieckiego.** Choć z drugiej strony nie tylko Naczelny Zarząd Kinematografii, ale całe Ministerstwo Kultury PRL było utajnioną agendą urzędu cenzorskiego. **Kazimierz Kutz**, twórca internowany na polecenie partyjnego aparatu Katowic, skarżył się kiedyś w mej obecności na praktyki ministra kultury, który gratulując mu „Paciorków jednego różańca", namawiał jednocześnie realizatora do wycięcia 30 m taśmy. Chodziło konkretnie o scenę przegapienia przez bohatera filmu jakiegoś święta państwowego, co wiązało się z koniecznością wywieszenia flagi na budynku, w którym mieszkał. W obrazie oryginalnym o tym obowiązku przypomina staremu górnikowi dzielnicowy w milicyjnym mundurze. Na ekranie mieliśmy do czynienia ze swoistą stop-klatką (jak w relacji z procesu Ceausescu) — pokazane są jedynie zamknięte drzwi, zza których dobiega głos niezidentyfikowanego stróża prawa — może to być sąsiad albo przechodzień.

Wspominam o tym, gdyż kinematografii w Polsce zagraża dziś inne niebezpieczeństwo — Ministerstwo Kultury RP przekształca się powoli w agendę ministra finansów, a jak wiadomo fiskus chętniej bierze niż daje.

Jubileusz 40-lecia WFO nie był więc stypą po pogrzebie zasłużonej wytwórni z ul. Kilińskiego, raczej pożegnaniem z pewnym modelem mecenatu państwowego. Wprawdzie specjalny wysłannik **ministra Burskiego** zapewnił, że film w Polsce będzie w dalszym ciągu dotowany, ale gdy dwóch mówi to samo, to wcale nie jest to samo.

Zdaje sobie z tego sprawę **Zbigniew Godlewski**, dyrektor z odzysku, potraktowany jak zdrajca przez partyjną nomenklaturę i zdjęty ze stanowiska, a niedawno przywrócony do pracy przez załogę, pomimo partyjnej przeszłości. Jego poszukiwania są typu menedżerskiego — jak obniżyć koszty, na czym zarobić, żeby przetrwać kryzys. Poszukiwania te spotykają się ze zrozumieniem załogi, zwłaszcza pionu technicznego i redakcyjnego — wytwórnia jest warsztatem pracy dla dziesiątków ludzi, nie tylko dobrych fachowców lecz jednocześnie maniaków krótkiego metrażu, którzy związali swoje losy z celuloidową taśmą.

Uczciwość nakazuje mi jednak zasygnalizować tlący się konflikt — przetrwanie wytwórni jako instytucji wcale nie jest równoznaczne z przetrwaniem filmu jako dzieła sztuki przemawiającego do milionów. Dlatego dziś, zwłaszcza wśród realizatorów, mówi się coraz częściej o potrzebie powrotu do idei **Komitetu Ocalenia Kinematografii**, sformułowanej przez **Andrzeja Wajdę** w czasie jego prezesury w Stowarzyszeniu Filmowców Polskich. Odżywa myśl o powołaniu w WFO zespołów niezależnych twórców, decydujących o programie i ponoszących finansową odpowiedzialność za swoje działania. W tej koncepcji wytwórnia stałaby się tylko jednostką usługową dla samodzielnych poczynań realizatorów. Model ten kryje w sobie niewątpliwie wiele ryzyka, ale ostatnio nauczyliśmy się w Polsce brać w biegu ostre zakręty.

Jako osobie zaproszonej nie wypada mi opowiadać się za żadną z koncepcji — lampka cienkiego wina wychylona z przedstawicielami wszystkich opcji zobowiązuje do neutralności. Mam też nadzieję że mimo wszystko dojdzie także do diamentowego wesela. Życzę tego przyjaciołom z WFO.

**JERZY DARNAL**

**Tekst Wasilija Grossmana należy do najważniejszych kart literatury rosyjskiej w dwudziestym stuleciu. Autor, przemówił do nas właściwie dopiero po śmierci, kiedy wydobyto ukryte przed NKWD rękopisy, wśród nich ciąg dalszy powieści o wojnie z hitleryzmem pt. „Życie i los". Książka ta, przełożona natychmiast na wiele języków, nie ma jeszcze swego wydania w Polsce.**
**Nie ma też swego oficjalnego wydania inna powieść Wasilija Grossmana pt. „Wszystko płynie", choć została opublikowana w drugim obiegu.**
**Ukończona na rok przed śmiercią autora (w r. 1964), kilkadziesiąt lat przeleżała w ukryciu.**
**Autor zawarł w swojej książce najgłębsze przemyślenia o totalitaryzmie w XX stuleciu, wywodząc wszystkie antyludzkie ruchy radykalne z leninizmu i niewolniczej tradycji rosyjskiej. Jego ocena partii bolszewickiej musi być szokująca dla obywatela Związku Sowieckiego, ale będzie też zaskakująca dla Polaka.**
**Powieść „Wszystko płynie" została opublikowana przez miesięcznik „Oktiabr". Wybraliśmy z niej fragmenty przedstawiające osobowość Włodzimierza Lenina.**

**K. F.**

Jaki naprawdę był Włodzimierz Lenin?

# Wszystko płynie

**WASILIJ GROSSMAN**

Wszystkie zwycięstwa partii i państwa związane są z imieniem Lenina. Jednakże wszelkie okrucieństwa, które popełniono w kraju, w tragiczny sposób przyjmował na swoje barki także Lenin. Jego rewolucyjną pasją, jego przemówieniami, artykułami i wezwaniami afirmowano zarówno wydarzenia na wsi, jak rok 1937 i nową kastę urzędniczą, i nowe mieszczaństwo, i pracę więźniów.

I stopniowo, z latami, powoli zmieniały się rysy twarzy Lenina, zmieniało się oblicze studenta Wołodii Uljanowa, młodego marksisty Tulina, syberyjskiego zesłańca, rewolucjonisty-emigranta, publicysty, myśliciela Włodzimierza Iljicza Lenina, oblicze człowieka głoszącego erę światowej rewolucji socjalistycznej, twórcy rewolucyjnej dyktatury w Rosji, likwidatora wszystkich rewolucyjnych partii, prócz jednej, która zdawała mu się najbardziej rewolucyjną, likwidatora Konstytuanty, reprezentującej wszystkie klasy i partie porewolucyjnej Rosji, i twórcy Sowietów, gdzie, zgodnie z jego zamysłem, mieli przedstawicielstwo tylko rewolucyjni robotnicy i chłopi. Zmieniały się leninowskie rysy, znane z portretów, zmieniało się oblicze pierwszego przewodniczącego Sowieckiego Rządu — Włodzimierza Iljicza Uljanowa-Lenina. Dzieło jego trwało i twarz zmarłego Lenina mimo woli wzbogacała się o rysy, którymi obrastało rozpoczęte przez niego dzieło.

Był inteligentem, pochodził z rodziny pracującej inteligencji, jego siostry, bracia byli rewolucjonistami inteligenckiej prowieniencji, jego starszy brat, Aleksander, narodnik[1]) został bohaterem i świętym męczennikiem rewolucji.

Autorzy wspomnień opowiadają, że będąc już wodzem rewolucji, założycielem partii, głową Sowieckiego Rządu, był niezmiennie prosty. Nie palił i nie pił, zapewne ani razu nie sklął człowieka niecenzuralnym, wulgarnym słowem. Jego rozrywki, wypoczynek są po studencku sterylne — muzyka, teatr, książka, spacer. Jego ubranie było niezmiernie domekratyczne, niemal biedne.

Czy jest możliwe, że to właśnie on, który w pomiętym krawacie i starej marynarce chodził do teatru, słuchał „Appassionaty", czytał bez końca „Wojnę i pokój", on, miły sercu matki, kochany przez siostry Wołodia, został twórcą państwa, obwieszającego najwyższym swoim odznaczeniem — orderem Lenina — piersi Jagody, Jeżowa, Berii Mierkułowa, Abakumowa.

Odznaczenie Lidii Timaszczuk[2]) orderem Lenina odbyło się w rocznicę śmierci Włodzimierza Iljicza. Czy dowodziło to, że dzieło Lenina zmarniało czy też, przeciwnie, że odnosi tryumf?

Mijały lata pięciolatek, odchodziły dziesięciolecia, wielkie wydarzenia, pełne rozpalonej współczesności, zastygały w bryły, utrwalone cementem czasu, zmieniały się w historię sowieckiego państwa.

*... Wieki już dorysują, widocznie,*
*nieukończony portret...*

Czy poeta rozumiał tragiczny sens tego, co napisał o Leninie? Odnotowane przez biografów i pamiętnikarzy rysy jego charakteru, które, wabiąc miliony serc i umysłów, zdawały się podstawowymi, dla biegu historii okazały się przypadkowe; historia rosyjskiego państwa nie wybrała tych humanitarnych i ludzkich rysów charakteru Lenina, tylko odrzuciła je jak niepotrzebne śmieci. Historii państwa nie przydało się ani słuchanie przez Lenina „Appassionaty" z dłonią przytkniętą do oczu, ani uwielbienie dla „Wojny i pokoju", ani skromny leninowski demokratyzm, ani jego serdeczność i grzeczność wobec tych wszystkich maluczkich — sekretarzy, szoferów, ani jego rozmowy z chłopskimi dziećmi, ani jego dobry stosunek do zwierząt, domowych, ani jego serdeczny ból, kiedy Martow z przyjaciela stał się wrogiem.

A wszystko, wyniesione za nawias jako tymczasowe, przypadkowe, wywołane przez szczególne okoliczności konspiracji i nieprzejednanej walki pierwszych lat sowieckich, okazało się trwałe, zasadnicze. To ta sama cecha leninowskiego charakteru, nie odnotowana przez pamiętnikarzy, która miała wpływ na rozkaz przeprowadzenia rewizji u umierającego Plechanowa; rozwijały się te rysy, które zadecydowały o całkowitej nietolerancji wobec politycznej demokracji.

Przemysłowiec, kupiec, który wybił się z chłopstwa, mieszkając w swej willi, podróżując na własnym jachcie, zachowuje cechy swego chłopskiego charakteru — upodobanie do kapuśniaku, do kwasu, do soczystego, dosadnego ludowego słowa. Marszałek w wyszywanym złotem mundurze zachowuje upodobanie do skręta z machorki, pamięta plebejski humor żołnierskich odzywek. Ale czy te cechy i pamięć mają wpływ na los fabryk, na życie milionów ludzi związanych pracą i losem z fabrykami, obrotem akcji i ruchem wojsk? Nie upodobaniem do kapuśniaku i skrętów z machorki zdobyte zostały kapitały i generalska chwała.

Jedna z pamiętnikarek opisuje jak w Szwajcarii wybrała się z Włodzimierzem Iljiczem w góry na niedzielny spacer. Tracąc dech z powodu stromego podejścia wspięli się na szczyt, siedzieli na kamieniu. Zdawać się mogło, że wzrok Włodzimierza Iljicza chłonie każdy szczegół górskiego alpejskiego piękna. Młoda kobieta ze wzruszeniem wyobraziła sobie jak duszę Włodzimierza Iljicza przepełnia poezja. Tymczasem on nagle westchnął i rzekł: — *Och, a mieńszewicy nam brużdżą.*

Ten miły epizod mówi coś o naturze Lenina: oto na jednej szali wagi boży świat, a oto na drugiej sprawa partii. Październik wybrał te rysy Włodzimierza Iljicza, które przydały się Październikowi, niepotrzebne odrzucił.

W ciągu historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego cechy umiłowania ludu, właściwe wielu rosyjskim rewolucyjnym inteligentom, których dobroć i gotowość do ofiary nie miały chyba równych sobie od czasów wczesnego chrześcijaństwa, zmieszały się z cechami będącymi ich zaprzeczeniem, lecz także właściwymi wielu rosyjskim rewolucyjnym reformatorom — z pogardą i nieprzejednaniem wobec ludzkiego cierpienia, uwielbieniem dla abstrakcyjnych zasad, ze zdecydowaniem w niszczeniu nie tylko wrogów, ale nawet towarzyszy swej sprawy, jeśli choć na milimetr odchodzili od pojmowania tych abstrakcyjnych zasad. Precyzyjne zmierzanie do celu, gotowość zdławienia żywej, dzisiejszej wolności dla wolności wydumanej, naruszanie zasad życiowej moralności w imię zasad przyszłości dawały o sobie znać, przejawiając się zarówno w charakterze Pestela, jak i w charakterze Bakunina oraz Nieczajewa, a także w niektórych wypowiedziach i postępkach narodników.

Nie, nie tylko miłość, nie samo tylko współczucie prowadziły podobnych ludzi na drogę rewolucji. Źródła tych charakterów tkwią głęboko, głęboko, w tysiącletnim łonie Rosji. Z podobnymi charakterami mieliśmy do czynienia także w wiekach minionych, jednakże dwudzieste stulecie wywiodło je zza kulis na główną scenę życia.

Ten charakter zachowuje się pośród ludzi jak chirurg w salach kliniki — jego zainteresowanie chorymi, ich ojcami, żonami, matkami, jego żarty, jego dyskusje, jego walka z bezdomnością dzieci i troska o robotników, którzy osiągnęli wiek emerytalny — wszystko to jest białostką, głupstwem, łuską. Dusza chirurga sprowadza się do jego noża. Istotą podobnych ludzi jest fanatyczna wiara we wszechmoc chirurgicznego noża. Skalpel jest wielkim teoretykiem, filozofem, liderem dwudziestego wieku.

W ciągu swych pięćdziesięciu czterech lat życia Lenin nie tylko słuchał „Appassionaty", rozczytywał się w „Wojnie i pokoju", prowadził serdeczne rozmowy z wysłannikami chłopów, martwił się, czy sekretarz ma zimowe palto, napawał się rosyjską przyrodą. Tak, tak, oczywiście — obok wizerunku istnieje również osoba.

I można sobie wyobrazić wiele cech i osobliwości Lenina występujących w codziennym życiu; wyobrazić sobie to, co nieodłącznie związane jest z ludźmi — czy są przywódcami narodów, stomatologami czy krojczymi w salonie damskiej mody. Cechy te ujawniają się w różnych momentach doby, kiedy człowiek myje rano twarz, je kaszę, spogląda przez okno na świetną kobietę, której wiatr zadarł spódnicę, dłubie w zębach zapałką, jest zazdrosny o żonę i wywołuje jej zazdrość, ogląda w łaźni swoje gołe nogi i drapie się pod pachami, czyta w kiozecie strzępy gazet starając się złożyć porwane kawałki, wydaje nieprzystojny dźwięk i dla zamaskowania kaszle i podśpiewuje. Takie albo podobne rzeczy występują w życiu wielkich i małych ludzi, oczywiście miały miejsce także w życiu Lenina.

Jest możliwe, że brzuszek pojawił się u Lenina dlatego, że objadał się makaronem z olejem przekładając go nad pożywienie z warzyw. Być może wiódł z Nadieżdą Konstantinowną nieznane światu kłótnie z powodu mycia nóg, czyszczenia zębów i niechęci do zmiany znoszonej koszuli z przepoconym kołnierzykiem. I oto można, przerwawszy się przez reduty, tworzące niby człowieczy, w rzeczywistości zaś zupełnie umowny, wzniesiony na piedestał obraz wodza, skokami, czołgając się dotrzeć do prostego, prawdziwego jestestwa Lenina — tego, które nigdy nie zostało wspomniane przez pamiętnikarzy.

Cóż jednak da poznanie prawdziwych, życiowych, potajemnych ukrytych przed historią cech i właściwości Lenina w łazience, sypialni, w pokoju stołowym? Czy pozwoli to na głębsze poznanie lidera nowej Rosji, twórcę nowego światowego ładu? Czy zwiąże to prawdziwym szwem charakter Lenina z charakterem stworzonego przez niego państwa? W tym celu należałoby założyć, że cechy Lenina — lidera politycznego, są ekwiwalentem cech życiowych Lenina. Jednakże podobne założenie będzie całkowicie dowolne i nie należy tego robić. Przecież podobne wiązanie może mieć znak dodatni albo wprost przeciwnie.

Weźmy za przykład kontakty osobiste: nocując u przyjaciół, podczas wspólnych spacerów, okazując pomoc towarzyszom, Lenin niezmiennie przejawiał delikatność, miękkość, wrażliwość. A jednocześnie i stale Lenin wyróżniał się brakiem litości, bezwzględnością, brutalnością wobec politycznych przeciwników. Nigdy nie dopuszczał choćby częściowej możliwości racji swych przeciwników, choćby częściowego braku własnej racji.

*„Sprzedajny... lokaj... fagas... najmita... agent... Judasz, kupiony za trzydzieści srebrników..."* — takimi słowami Lenin często określał swych oponentów.

W sporze nie starał się przekonać przeciwników. Lenin w sporze w ogóle nie zwracał się do swego oponenta, zwracał się do świadków sporu. Jego celem było, na oczach świadków sporu, wyśmianie, skompromitowanie przeciwnika. Świadkami takiego sporu mogła być grupa kilku bliskich przyjaciół, i tysięczny tłum delegatów na zjazd, i milionowa rzesza czytelników gazet. Podczas sporu Lenin nie szukał prawdy — poszukiwał zwycięstwa. Musiał tryumfować za wszelką cenę, a dla zwycięstwa dobre były różne środki. Przydatne tu było i nagłe podstawienie nogi, i symboliczny policzek i symboliczne, umowne, oszałamiające uderzenie pięścią. I okazało się, że życiowe, bytowe, rodzinne cechy Lenina nigdy nie miały związku z cechami lidera nowego światowego ładu. Dlatego też, kiedy spór przeniósł się z łamów czasopism i gazet na ulice, na żytnie pola i na pola bitew, okazało się, że i tutaj dobre są okrutne środki.

Leninowska nietolerancja, niezachwiane zdążanie do celu, pogarda dla wolności, okrucieństwo w stosunku do inaczej myślących i zdolność do tego, by bez drgnienia, zmieść z powierzchni ziemi nie tylko twierdze, lecz i gminy, powiaty, gubernie kłócące się z jego ortodoksyjną racją — wszystkie te cechy pojawiły się u Lenina po Październiku. Te cechy posiadał także Wołodia Uljanow. Te cechy miały głębokie korzenie.

Wszystkie jego talenty, jego wola, jego namiętność były podporządkowane jednemu celowi — zagarnięciu władzy. Poświęcił temu wszystko, rzucił na pastwę, zamordował dla zdobycia władzy najświętsze co było w Rosji — jej wolność. Wolność ta była dziecięco niezdarna, niedoświadczona. Gdzie osiemnastoletnie niemowlę, zrodzone w kraju tysiącletniego niewolnictwa miało zdobyć doświadczenie?

Cechy inteligenta, zdające się prawdziwą esencją leninowskiej duszy i leninowskiego charakteru, ledwie dzieło stawało się dziełem, przechodziły w zewnętrzną, nie znaczącą formę, a jego charakter przejawiał się w niezłomnej, żelaznej i szaleńczej woli.

Co zaprowadziło Lenina na drogę rewolucji? Miłość do ludzi? Pragnienie przezwyciężenia niedoli chłopskiej, nędzy i wyzucia z praw robotników? Wiara w prawdziwość marksizmu, we własną partyjną słuszność? Rosyjska rewolucja nie była dla niego rosyjską wolnością. Jednakże władza, do której tak żarliwie dążył, potrzebna była nie jemu osobiście. Tu właśnie przejawiła się jedna z właściwości Lenina: złożoność charakteru zrodzona przez prostotę charakteru.

Aby z taką siłą pożądać władzy, trzeba posiadać ogromną polityczną chęć zaszczytów, ogromne pragnienie władzy. Te cechy są prymitywne i proste. A przecież ten polityczny nadambitnik, zdolny do wszystkiego w swym dążeniu do władzy, osobiście był niezwykle skromny, zdobył władzę nie dla siebie. Tutaj kończy się prostota i zaczyna złożoność.

Jeśli wyobrazimy sobie Lenina-człowieka jako ekwiwalent Lenina-polityka, to wynika stąd charakter prymitywny i prostacki, brutalny, władczy, okrutny, diabelsko żądny zaszczytów, dogmatycznie krzykliwy.

Jeśli odniesie się te cechy do codziennego życia, porówna się ze stosunkiem do żony, matki, dzieci, przyjaciela, sąsiada zza ściany... Robi się strasznie.

A przecież okazuje się co innego. Człowiek na arenie świata okazał się przeciwieństwem człowieka w życiu osobistym. Plus i minus, minus i plus. I otrzymuje się coś innego, złożonego, niekiedy tragicznego.

Diabelska polityczna żądza władzy, połączona ze starenką marynarką, ze szklanką cieniutkiej herbaty, ze studencką mansardą.

Zdolność do tego, by bez wahania wdeptać w błoto, ogłuszyć przeciwnika w sporze, w niepojęty sposób łączy się z miłym uśmiechem, z wstydliwą delikatnością.

Nieprzejednane okrucieństwo, pogarda dla najwznioślejszej świątyni rosyjskiej rewolucji — dla wolności i tuż obok, w piersi tego samego człowieka czyste, młodzieńcze zachwycenie piękną muzyką, książką.

Lenin... Ubóstwiany wizerunek; inny wizerunek — monolitycznego prostaka, który stworzyli wrogowie Lenina, łączy w sobie okrutne cechy lidera nowego światowego ładu z prymitywnie wulgarnymi cechami życiowymi — tylko te cechy widzieli u Lenina jego wrogowie; wreszcie ten wizerunek, który wydaje mi się najbardziej bliski rzeczywistości, lecz niełatwo go odczytać.

**C.D.N.**

**Przełożył:**
**KONRAD FREJDLICH**

**Objaśnienia tłumacza:**
1) Aleksander Uljanow, jeden z braci Lenina, aresztowany i stracony za przygotowanie zamachu na cara Aleksandra III. W tym samym procesie sądzony był Bronisław Piłsudski, brat przyszłego Marszałka Polski.
2) Lidia Timoszczuk była prowokatorką NKWD, oskarżyła fałszywie grupę lekarzy z kliniki kremlowskiej o spisek na życie przywódców Związku Sowieckiego.

Foto: Grzegorz Gałasiński

# Uwaga! Bezrobocie jest już faktem!

ze str. 1

Reakcja większości jest podobna: wzruszenie ramion, milczenie. Czasem, jak w przypadku kobiety, która przez 23 lata pracowała w biurze projektów, pada nerwowa odpowiedź:

**— Jak to — na salową? To nic innego nie macie? Mogę pracować choćby przy maszynie, ale taka robota — no nie...**

**— To może na prządkę? —** cieszy się pani Maria. **— Mamy zgłoszenie z „Textilpolu".**

**— Ależ skąd, ja tylko tak mówiłam...**

Większość odchodzi z przysłowiowym kwitkiem, którym jest wpisanie się na listę poszukujących pracy. Istnieje wtedy szansa — jedna na sto — że przy następnej wizycie (już bez kolejki) coś się jednak znajdzie. Warunek: uprzednia rejestracja w „państwowym" pośredniaku.

W czasie mojej trzygodzinnej wizyty, tylko jedna kobieta zgodziła się iść na salową, ale po dłuższych namowach. Inna, pracująca dotąd w **Chłodni Składowej** przy produkcji lodów (4 lata przed emeryturą, odmrożone palce) zdecydowała się spróbować jako magazynierka. Dwóch mężczyzn wyszło z telefonami do rzemieślnika, ale oni mieli porządny „fach" w ręku. W najgorszej sytuacji znaleźli się zwalniani „umysłowi". Ci wyglądają najbardziej bezradnie. Tak łatwo im powiedzieć: przekwalifikujcie się, ale czy inżynier chemii spożywczej, zatrudniony przez 20 lat w ośrodku badawczym, obcujący z kolegami-badaczami i z ciszą pracowni, odnajdzie się teraz w okienku na poczcie?

A pani Maria mówi bez ogródek:

**— Jeśli chodzi o pracowników umysłowych, nie ma żadnej nadziei na pracę...**

### Kto poszukuje ofert w związkowym pośredniaku.

Listę otwiera **„handel zagraniczny — tylko praca umysłowa"**. Na pozycji 5 zarejestrowany jest **„sprzedawca — wyższe wykształcenie"**. Numer 9 to inżynier włókiennik. Numer 25 — specjalista w dziale techniki i rozwoju po 39 latach pracy. Numer 27 — fotograf po 30 latach pracy. Numer 39 — artysta plastyk. Na pozycji 51 powtarza się inżynier włókiennik, o dziesięć pozycji dalej zarejestrowany jest inżynier automatyk. To są ci, dla których nie ma dziś żadnej pracy.

Oni jeszcze czekają, są na razie wybredni. Podobnie jak fachowcy, którym także jest trudno uwierzyć, że stali się niepotrzebni. Najskromniejsze są osoby bez wykształcenia: przyjmą — mówią — robotę. Jaką? Obojętnie!

W ślepym zaułku znalazły się co poniektóre obiboki. Jednemu „nie pasowało towarzystwo", więc się zwolnił, bo skąd mógł wiedzieć, że będzie tak źle? Inny wściekł się na kierownika, który nie dał się przyzwyczaić do jego spóźnień. Trzeci po prostu zapił się, przeleżał trzy dni, a potem nie wrócił do pracy, bo zawsze jak dotąd znajdował sobie szybko następne zajęcie. Dziś nie potrafi nic znaleźć, a co gorsza, ojczyzna przestała mu pomagać. Rozgląda się ze zdumieniem po pokoju **„Solidarności"**, miętosi w ręku czapkę, demonstruje obrzmiałą, czerwoną od przepicia twarz i w końcu chrypi:

**— Jak nie, to będziemy kraść, zobaczycie!**

Nikt nie reaguje, trzaska więc gniewnie drzwiami, za którymi wciąż kolejka: ludzie milczący, niepewni, dobrze i źle ubrani, prymitywni i inteligentni. Złączeni wspólnym losem, wystają godzinami na korytarzu w Zarządzie Regionu. Piętro niżej trwają gorączkowe narady i spotkania — to nowa ekipa przywódcza organizuje się w nowej dla siebie siedzibie, ścierając się z resztkami starej ekipy, która stawia opór. Tutaj — dwoje starszych ludzi, rencistka i emeryt, obsługuje społecznie cisnący się tłum bezrobotnych.

### To, co dla jednych jest nieszczęściem, dla innych okazuje się biznesem.

Przy ul. Teresy w Łodzi, spółka **„Ekopol"** zorganizowała własny pośredniak. Jest on — informują — marginesem jej działalności, ale ten margines najwidoczniej się opłaca, skoro pierwszego dnia, po ogłoszeniach w gazetach codziennych, zablokowała się linia telefoniczna.

**Wpisanie się na listę poszukujących pracy kosztuje 2,5 tysiąca złotych. Za skierowanie płaci się od 10 do 50 tys. złotych.** Zależy to od wielu rzeczy: kwalifikacji, specjalności, przyszłego stanowiska, trudności w znalezieniu oferty itp. Jeżeli klient spóźni się albo nie zdoła się porozumieć z pracodawcą, przysługuje mu zwrot pieniędzy.

Spółka nie lubi rozgłosu. Kierownik pośredniaka nie chce podać, ile odwiedza go klientów, jak wiele miejsc pracy udało się załatwić, gdzie są najliczniejsze zwolnienia, a także... — jak się nazywa — o ile ma to być wykorzystane w prasie. Przedstawia się wyłącznie do prywatnej wiadomości dziennikarza...

### „Składnica Księgarska" w Łodzi zajmuje się przyjmowaniem transportów książek z drukarni.

Następnie rozprowadza je — w zależności od zamówień — do księgarni w całym kraju. Obroty są jednak coraz mniejsze, ponieważ spada produkcja wydawnicza. Dwa lata temu opublikowano 250 mln egzemplarzy książek w Polsce. W 1989 roku — około 140 mln. W 1990 roku — najprawdopodobniej o 40 procent mniej. Im mniejsze obroty, tym mniejsze są zyski (za usługę pobierają 7 procent marży). To z kolei rzutuje na wysokość funduszu płac. Nie ma więc dla ludzi ani roboty, ani godziwych zarobków. Wyjście: zwolnienia.

Do niedawna pracowało w składnicy 200 osób. W lutym 1990 r. część z nich będzie musiała odejść. W kwietniu odejdą następni. Jak na razie, zatrudnienie zmniejszy się o 49 pracowników. Fizycznych, jak i umysłowych. Z działu obrotu książką, jak i z magazynów. Wnioski o zwolnienia składali kierownicy, zaś rozpatrywała je 9-osobowa komisja, złożona z przedstawicieli administracji, rady pracowniczej i związków zawodowych. Większości zwalnianych przysługuje 3-miesięczny okres wypowiedzenia.

**— Stoimy u progu bankructwa** — stwierdza dyrektor, **Józef Iżyniec. — Od 40 lat pracuję w tej instytucji, przyjmowałem tych ludzi, których obecnie muszę zwalniać. Nie sądziłem, że znajdziemy się kiedykolwiek w podobnej sytuacji.**

Dla **Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Gastronomicznego i Artykułów Spożywczych** głównym sponsorem był **CZSS „Społem"**, który już od IV kwartału 1989 roku przestał łożyć pieniądze. Przetrwanie umożliwiły kwoty, wypłacane z Urzędu ds. Postępu Nauki i Wdrożeń. Było to jednak rozwiązanie tymczasowe; na dłuższą metę wyjściem jest tylko przeorientowanie struktury ośrodka na prowadzenie badań wyłącznie praktycznych, które szybko mogą się zwrócić — a i to pod warunkiem, że znajdzie się nowy sponsor.

Likwidacji uległa filia łódzkiego **COBR** w Warszawie, gdzie pracowało 20 osób. Z ogółem 80 zatrudnionych w **COBR** pracowników zostanie połowa. Odchodzą ekonomiści, część administracji, niektórzy inżynierowie, związani bardziej z badaniami teoretycznymi niż z praktyką. Tak przynajmniej oceniła ich dyrekcja.

**W Łódzkim Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego** także trudności: zmniejszyła się liczba podejmowanych inwestycji, spadła znacznie ilość zamówień. Nie ma zatem pieniędzy na wypłaty. Aby temu zaradzić, zdecydowano się zaciągnąć kredyt, oprocentowany w wysokości 55 procent! Bardzo drogi, ale nie było innego wyjścia. Nie uniknięto także zwolnień. Z 11 kierowników pozostało tylko trzech. W styczniu 1990 r. zwolniono ogółem 12 osób, m.in. część introligatorek. Jeżeli sytuacja nie ulegnie poprawie, będą dalsze zwolnienia.

### To jedynie kilka przykładów.

Podobnie dzieje się w innych przedsiębiorstwach i instytucjach. Prawie wszędzie zwalnia się pewną liczbę pracowników. Jednocześnie wiele zakładów rzemieślniczych zaprzestaje dalszej działalności. Z każdym dniem powiększa się więc grono ludzi bez pracy. Zapewne to właśnie oni są dziś w awangardzie tych, którzy najszybciej zaznajomili się z najgorszymi cechami nowego porządku gospodarczego. Jeśli zaś ktoś uważa, że to dobrze, bo zwiększy się wydajność pracy (czemu trudno zaprzeczyć), niech pomyśli i o tym, że jutro on sam może się znaleźć na bruku...

**ANDRZEJ GĘBAROWSKI**

# Ekonomia nie zna sentymentów!

ze str. 1

ny nie pokrywały kosztów produkcji leków.

**— Dlatego w styczniu podniesiono je ponownie. Niektóre osiągnęły 900 procent ceny dotychczasowej.**

— Ekonomia nie zna sentymentów. Od 17 stycznia obowiązują nowe ceny, ale dotyczą one zaledwie 80 specyfików, tymczasem podwyżka październikowa obejmowała ponad 2.000 pozycji.

**— Ile z tych osiemdziesięciu produkuje się w „Polfie"?**

— Zaledwie cztery. Są to płyny dezynfekcyjne. Nowe ceny obejmują te leki, które wymagają surowców sprowadzanych za dewizy.

**— A wasz podstawowy produkt „Alugastrin"?**

— Cena „Alugastrinu" nie uległa zmianie. Pokrywa w 30 procentach koszty materiałów. Do produkcji „Alugastrinu" używany jest sorbit, który w listopadzie kosztował 1.966 zł za kilogram. Dziś kosztuje 11 tysięcy! Do „Alugastrinu" potrzebna jest soda oczyszczona. W grudniu za kilogram płaciliśmy 230 zł, a teraz soda kosztuje 1.150 zł. Nie wspomnę o innych komponentach.

**— Nie ma miejsca na optymizm?**

— Optymizm? Naszą produkcję determinują przeliczniki dewizowe. Jeśli w sierpniu ubiegłego roku ten przelicznik wynosił około 1.000 zł za jednego dolara, to w styczniu doszedł on do 9.500 zł.

Nie mniej dramatyczną wizję roztoczyła przede mną **KRYSTYNA NETZEL-ZIEMBIŃSKA** prezes zarządu **Spółdzielni Pracy Chemiczno-Farmaceutycznej „Polon"** mieszczącej się przy ulicy Pojezierskiej 99

**— Czy firma „Polon" stosuje stuprocentową zwyżkę cen na swoje wyroby, czy też wprowadziła najwyższy pułap, to znaczy całe 900 procent?**

— Przemysł farmaceutyczny winien być rentowny. Niestety, przez wiele lat leki były dotowane. Dziś wygląda to tak: surowce i opakowania musimy kupować po cenach umownych, a ceny lekarstw są nadal urzędowe.

**— Chce pani powiedzieć, że „Polon" produkuje leki ze stratą?**

— Oczywiście!

**— Nie lepiej więc zamknąć zakład?**

— Ponad 50 procent naszej produkcji stanowią lekarstwa, które w tym roku przyniosą nam ogromne straty. Na szczęście oprócz leków produkujemy także sprzęt medyczny jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych.

**— I to pozwala wiązać przysłowiowy koniec z końcem?**

— Niestety, nie wychodzimy nawet na zero.

**— Jakie zatem widzi pani wyjście?**

— Aby przemysł farmaceutyczny całkowicie się nie załamał, musi nastąpić kolejna podwyżka cen leków. Naprawdę nie ma innego wyjścia.

„Polon" produkuje między innymi „Ascofer", „Pridinal", „Polmesilat", „Polomigran", „Hydroxyzinum", „Novoscabin", „Silor 350 F" i „Silon 1.000 F". Weźmy syrop „Hydroxyzinum". Za opakowanie (buteleczkę) płacimy 540 zł, za nakrętkę do niej — 97 zł, za etykietkę z nazwą syropu — 5 zł. Do tego dodajemy syropu za 677 zł. Powinniśmy sprzedawać „Cefarmowi" nasz produkt co najmniej za 1.319 zł za buteleczkę i wówczas wychodzilibyśmy na zero. Ale tak nie jest, bo nas obowiązuje cena urzędowa, więc sprzedajemy po 350 zł buteleczkę! Apteki też na nim nie zarabiają, gdyż tam cena „Hydroxyzinum" wynosi zaledwie 500 zł.

**— Czy ma pani receptę na lek dla producentów leków?**

— Myślę, że dobrze byłoby zlikwidować pośredników, a także poddać rewizji sprawę licznych grup uprzywilejowanych, które korzystają z leków bezpłatnie.

Ostatnim zakładem, do którego pojechałem były **Pabianickie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa"**. Rozmowa z **ANDRZEJEM BANATEM** dyrektorem do spraw handlowych była długa i także nie napełniła mnie optymizmem. Ostatnia, styczniowa, podwyżka cen objęła zaledwie cztery leki. Są to: „Biseptol 480" i „Biseptol 120", „Ibuprofen" oraz „Inaproxen". „Polfa" jest nadal dotowana, choć oprócz lekarstw produkuje się tu barwniki, środki dezynfekcyjne dla służby zdrowia, dla przemysłu rolno-spożywczego, rybołówstwa, dla przemysłu kosmetycznego, a także antybiotyk paszowy pod nazwą „Zn-bacyfracyna". Do końca ubiegłego roku koszty produkcji były wyższe od cen zbytu, a więc produkcja każdego leku była nieopłacalna.

**— Dlaczego tak się dzieje?** — pytam dyrektora **Andrzeja Banata.**

— Bo surowce musimy sprowadzać za dewizy.

**— Pozostaje zatem windowanie cen?**

— Styczniowa podwyżka niewiele dała, nie stworzyła szansy na wyjście z sytuacji, jaka powstała na koniec 1989 roku. Wszystkie leki mające dziś ceny urzędowe są nieopłacalne. Byłyby opłacalne, gdyby te ceny urzędowe zostały podniesione na realną wysokość

**— Konkretnie o ile?**

— Siedmiokrotnie. Nasz „Gardan", „Pabialgina", „Veramid" czy „Piramidon" są lekami popularnymi. A jak wygląda koszt ich produkcji? Oto „Gardan": koszt własny — 376,64 zł za jedno opakowanie (10 sztuk). W aptece kosztuje to opakowanie 150 zł. A my z „Cefarmu" otrzymujemy za te 10 sztuk — 75 zł, bo taka jest jego cena zbytu. A „Pabialgina"? Koszt wytwarzania jednego opakowania (10 sztuk) wynosi 375,50 zł, a cena w aptece jest taka jak „Gardanu". 70 procent surowców oraz opakowanie sprowadzamy za dewizy.

**— Jakie jest wyjście z tak absurdalnej sytuacji?**

— Mam dwa: pesymistyczne i optymistyczne. Od którego zacząć?

**— Od pesymistycznego.**

— Po pierwsze: ograniczenie produkcji leków nieopłacalnych (a nawet ich wstrzymanie) co wiąże się z natychmiastowym zmniejszeniem zatrudnienia. Po drugie: zakład pożera swój, z trudem wypracowany, zysk. A to uniemożliwia jakikolwiek postęp czy rozwój. Po trzecie: przemysł farmaceutyczny w Polsce nie jest przemysłem nowoczesnym (dotąd nie rozwijano go należycie, nie dbano o niego, bo były ważniejsze potrzeby). Mimo wszystko w Pabianicach dzięki licznym modernizacjom i niewielkim inwestycjom, produkcję zintensyfikowano. Dzięki czemu w latach 1987—1989 dostawy leków wzrosły o 33,1 procent.

**— A optymistyczny?**

— Wyjście optymistyczne zakłada, że ceny leków u producentów leków będą wynikać z kosztów wytwarzania uwzględniających zmianę kursu dewiz w koniecznych zakupach surowców importowanych, elementów opakowań pochodzących z importu itp. słowem: żeby Pabianickie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa" mogły się w jakiś sposób rozwijać, uruchamiać nowe leki, ceny muszą im gwarantować opłacalność ich produkcji. I jeszcze jedno: znieść przywilej nabywania leków bezpłatnie. W Polsce co najmniej kilka grup społecznych nie płaci za lekarstwa. Dlaczego?

**EUGENIUSZ IWANICKI**

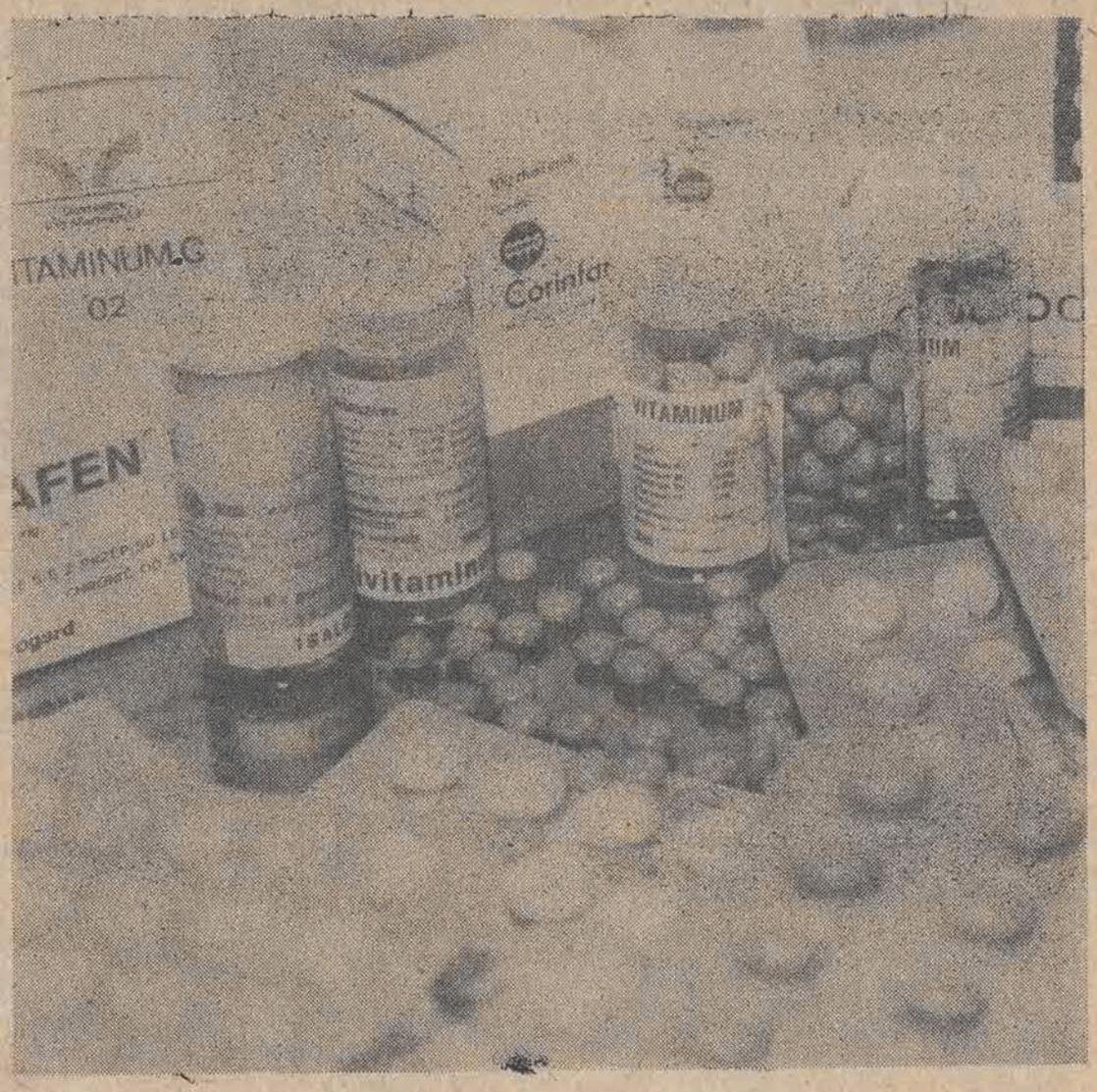


Foto: Grzegorz Gałasiński

# Wielki świat Łodzi bawi się

ze str. 1

„Centrum" dziobał serwowane potrawy tylko dla przyzwoitości, zwierzając się przy tym dyrektorowi Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, Andrzejowi Mikołajczykowi, iż żonę bardzo szanuje i właściwie to nie wyobraża sobie życia bez niej. Pierwsze małżeństwo trwało zaledwie jeden rok i nie pozostało w jego pamięci. Może dlatego, że było to na studiach, które raczej nie sprzyjają dobrej kuchni.

Kolejna dziennikarska gwiazda polskiej telewizji to prezenter „Teleexpressu" Sławomir Komorowski, który łodzianinem nie jest, ale żonę ma stąd. Jolanta Nowińska, ciągle jeszcze na etacie Teatru Nowego, bawi publiczność humorystycznym monologiem.

— *Chwilowo nigdzie nie gram* — mówi aktorka. — *Wychowuję synka Jasia. Ma rok i trzy miesiące...*

— *To świetny facet, choć jest brunetem* — uzupełnia blondyn tatuś nie tracąc nadziei, że syn nabierze z czasem jego cech.

Na estradzie Andrzej Dąbrowski, w niebieskiej koszuli i czarnej muszce, wyśpiewuje „Only you". Ruszają pierwsze pary. Zabawa rozkręca się. Na moment wybija ją z tempa Kazimierz Kowalski, który dopuszczony do mikrofonu wykonuje arię Hołuby ze „Strasznego Dworu" Stanisława Moniuszki.

Atmosferę karnawałową przywraca Ewa Śnieżanka — kolejna rodowita łodzianka. Jest tego wieczoru w doskonałej formie. W długim, wysadzanym cekinami żakiecie poniżej kolan, prezentuje się doskonale. Przycięta krótko, ze ślicznymi klipsami diamencikami, roztacza wokół siebie aureolę gwiazdy. Przez cały wieczór kwestuje na rzecz Rzeczypospolitej.

— *Pochodzę z biednej rodziny i może dlatego jestem zawsze gotowa do udzielania pomocy innym* — mówi. — *Sporo zebrałam na hasło pomocy Rumunii, stale organizuję akcje wspierania domu dziecka w Radości, teraz staram się pomóc rządowi Mazowieckiego..*

Panowie są piosenkarką wyraźnie oczarowani. Amatorów do tańca z nią nie brakuje. Niemal wszystkich intrygują jej perfumy. Są subtelne, gorzkie i ostre. Indagowana raz po raz na ten temat Ewa Śnieżanka zdradza w końcu swój sekret.

— *Nic co męskie nie jest mi obce* — odpowiada z uśmiechem. — *Dlatego używam męskich perfum, najchętniej firmy Maskulin...*

Największą jednak furorę robi przedstawicielka angielskiego biznesu — Gosha Dar z Londynu. Młoda, piękna i do tego z masą pieniędzy — wzdychają mężczyźni.

— *Jest fantastyczna* — krótko komentuje dziennikarz warszawskiej telewizji, kręcący na balu wstawki do „Pegaza". Gosha to po prostu Małgosia z Łodzi, z ulicy Piotrkowskiej 81. Dziś jest szefem brytyjskiej firmy „Madar Trading" handlującej między innymi antenami satelitarnymi „Sacura". Jej przedłużeniem na polskim rynku jest „Mega".

Szczupła i zgrabna, wygląda w sukience mini na zaledwie dwadzieścia parę lat. Polscy świeżo upieczeni „finansiści" walą do niej jeden przez drugiego, zaprzeczając zasadzie, że w interesach uroda się nie liczy. Gosha Dar zamierza osiąść w Polsce na stałe, gdy tylko dwie jej córki Farida i Anisa skończą szkołę. Próbowała już raz powrócić do kraju, ale nie za bardzo wiedziała jakie zajęcie wynaleźć dla męża, który jest właścicielem zakładu naprawy samochodów osobowych „Ferrari".

Gosha Dar króluje. Redaktorzy dwóch ekip telewizyjnych wymyślają coraz to nowe ujęcia dla kobiety biznesu.

Rozmowa przy stoliku, zdjęcia podczas tańca. Podpuszczają nawet Kazimierza Kowalskiego, który przedzierzga się w dziennikarza.

Na tym balu przebywać obok Goshy Dar to nobilitacja towarzyska, to rzeczywiście być „Bliżej Świata".

— *Ty wiesz, że tę biżuterię otrzymała w prezencie od matki lorda, z którym jest zaprzyjaźniona* — ogłasza jeden z gości ściszonym głosem swoim przyjaciołom. Z pewną zazdrością patrzą na towarzysko-finansowe sukcesy przedstawiciele podobnych firm z RFN i Włoch. Gosha przyjmuje te wszystkie dusery z wyrozumiałością i cierpliwym uśmiechem, nie zapominając jednak ani przez moment o swoich interesach.

— *Jak pan sądzi, co można eksportować z Polski* — pyta prawie każdego swojego rozmówcę.

Powstaje wielkie zamieszanie. To rozpoczyna się sprzedaż losów. Jest ich 520, wygranych około 100. Los kosztuje 20 tysięcy złotych. Najwięcej kupuje Ryszard Varisella, właściciel galerii sztuki we Frankfurcie nad Menem w RFN. Sukcesem kończy się także aukcja, podczas której różne drobiazgi będą osiągały cenę 1 miliona złotych.

Jest już po północy. Dwie orkiestry przygrywają na zmianę. Goście roztańczyli się. Rewelacyjnie ubranych pań nie ma. Równie dobrze wyglądają włókniarki na sylwestrze bądź weselu krewniaka. Dominujący kolor to czerń. Kilka strojów należy do fantazyjnych, ale nie jest to fantazja wyszukana. Ot, czerwona sukienka bez ramion, powyżej kolan. Od dołu w stylu lambada, wyżej falbankowa ekspozycja. Albo obcisła, długa, srebrna. Białe obfite bufki na rękawach i takiż dół. Parę spodni, jedna marynarka, trochę żakietów. Bluzki, spódnice...

Fatalne wrażenie sprawiały fryzury. Polki kultury układania włosów jeszcze sobie nie przyswoiły. W mieście najlepszego polskiego fryzjera — Zbyszka razi to jednak ogromnie. Daleko też „bliżej światowczyniom" do doskonałego makijażu. Króluje bylejakość i przeciętność.

Nie należy wróżyć tym paniom zbyt łatwego życia ze swymi ukochanymi mężczyznami. Ci bowiem na balu w „Centrum" prezentowali się okazalej. Staranniej ubrani, z o niebo lepszymi fryzurami. Zdarzało się im wiele wpadek — jak choćby niewłaściwy krawat czy też nieodpowiednia muszka. Było jednak kilku panów doskonale przygotowanych — ubranych i uczesanych z wielką klasą. Widocznie robiąc interesy mają więcej okazji, by zrozumieć na czym polega elegancja i styl.

**MIROSŁAW KULIŚ**

OD REDAKCJI: Jak nas poinformowano z dochodu osiągniętego podczas balu kupiono za 4,5 miliona złotych kolorowy telewizor oraz w tej samej cenie wieżę stereofoniczną, które wraz z zestawem do odbioru telewizji satelitarnej przekazano Szkole Podstawowej nr 60 przy Szpitalu Dziecięcym w Łagiewnikach i jednemu z domów dziecka.

# Powaby i pozory niewinności

ze str. 1

niów. Zawsze kucała w tym samym miejscu i w tej samej pozycji. Jedną nogę opuszczała w dół, a drugą zginała w kolanie i opierała o krawędź muru.

Pewnego razu nieruchoma jak posąg patrzyła daleko przed siebie. Na nagim udzie powyżej pończochy igrał chłodny wiatr północny. Nie zmieniła jednak pozycji. Z rozkoszą znosiła zimno i boleśnie przyjemny dreszcz. Miała cudowne wrażenie, że płynie na roziskrzonej fali. W stanie zachwytu i uniesienia nie zwracała uwagi na drogę, którą przechodził stary Matija. Był to powszechnie lubiany, samotny i dobroduszny dziwak. Mało mówił, uczciwie pracował i obojętnie traktował pieniądze. Ciągle uśmiechał się do ludzi, zwierząt i roślin. Mieszkańcy chętnie wynajmowali go do prac ogrodniczych. Jeśli nie miał żadnego zajęcia, to błąkał się wzdłuż wybrzeża albo po drogach biegnących obok murów otaczających ogrody.

Pięćdziesięcioletni Matija przystanął i wpatrywał się jak urzeczony. Kiedy dziewczyna go spostrzegła, szybko opuściła podniesioną nogę, lecz po małej chwili ustawiła ją w pierwotnej pozycji. Zlitowała się nad starym człowiekiem. A ten, jak przed przydrożną kaplicą, ściągnął z głowy wypłowiałą czapkę. W jego rozszerzonych oczach Marta zauważyła niezwykły blask pełny życia.

*„Walcząc z uczuciem wstydu jak z falą zimna, podniosła nogę nieco wyżej. Matija wyciągnął do przodu najpierw głowę, a następnie całym ciałem śledził ten jej ruch. Jego oczy były duże i czyste; ich spojrzenie, dobywające się z zarośniętej, ogorzałej twarzy, pełne było jakiegoś bogatego, drogocennego ognia i nie pozostawało w żadnym związku z jego ciałem, wykrzywionym ciągłą pracą, z jego żebraczym odzieniem. (Czyn jest to, co widzą patrzące tak oczy?). Podnosząc nogę jeszcze trochę, uczuła jak cierpnie z lęku przed czymś nieokreślonym i przed wysokością. Matija pochylił się ku niej bardziej niż przedtem, jakby był zależny od jej ruchów. Zdawało się, że w tej pozycji nie utrzyma się długo, że upadnie. Dziewczyna, zupełnie już zlodowaciała, podniosła nogę wyżej, podciągnęła ją tuż do piersi, tak że brodą dotykała kolana. Stary człowiek pochylił się jeszcze mocniej. Obydwiema rękami przyciskał czapkę do piersi, zastygły w swej nienaturalnej pozycji i w uniesieniu, które zdawało się przemagać fizyczne prawa".*

Marta była piękną, młodą dziewczyną z pańskiego domu. Matija zaś był starym, biednym wyrobnikiem. Ale wtedy nie miało to znaczenia. Oboje doświadczyli tych samych, niepojętych anonimowych mocy. Niewinna dziewczyna tylko częściowo dobrowolnie objawiła mężczyźnie to, co bardzo chciał zobaczyć, co wprawiło go w religijny zachwyt, przed czym nawet pokornie zdjął czapkę.

Po jakimś czasie Marta gwałtownie wykręciła się i przerzuciła na drugą stronę muru. Ale nie od razu zeszła na ziemię do ogrodu. Jeszcze przez chwilę — stojąc na środkowym szczebelku drewnianej drabinki — obserwowała starego Matiję. Najpierw zatoczył się, jakby raptownie stracił oparcie, a potem ruszył dalej. Marta usłyszała tylko dwa słowa: *„Dzięki, signorina!"*.

Prawdopodobnie nie tylko młodość, uroda i cudownie ukazana intymność tak oczarowały Matiję, lecz także niewinność dziewczyny. Większość mężczyzn odczuwa pewien respekt wobec dziewictwa. Cnota w połączeniu z młodością i pięknością nabiera wręcz sakralnego znaczenia. Pewien czterdziestoletni mężczyzna twierdzi, że nigdy nie uwodzi niewinnych kobiet, ponieważ nie chce zadawać się z boginiami. Nie wierzę mu jednak, że potrafi rozpoznać dziewicę na podstawie zachowania i wyrazu oczu. W tej intymnej sprawie można się chyba łatwo pomylić. Złudzenia mógł mieć, na przykład, bohater powieści Alberta Moravii „Konformista".

Trzydziestoletni Marcello poślubił o dziesięć lat młodszą Giulię. Jego wybranka miała białą cerę, duże ciemne oczy, kasztanowate włosy, pełne i czerwone usta oraz bujne kształty kobiety trzydziestoletniej. Wyglądała na normalną, bardzo pospolitą dziewczynę. Promieniała młodością i świeżością. Napawał otuchą jej dobroduszny głos. Nawet podczas namiętnych pocałunków, kiedy wiła się w objęciach i wzdychała, wydawało się, że robi to niewinnie. Przed ołtarzem uśmiechała się z niewinnością prawie zwierzęcą. (Naprawdę niewinne jest zresztą tylko zwierzę — jak słusznie głosił Hegel). Oczarowany pan młody wyobrażał sobie, że klęczą w kościele całkiem nago. Marzył o dopełnieniu uświęconego obrządku z tą jędrną, zdrową i piersiastą dziewczyną. Nie miał żadnych wątpliwości, że Giulia była dziewicą.

W podróży poślubnej Marcello zastanawiał się, czy ma kochać Giulię już w pociągu na niezbyt wygodnej kanapie wagonu sypialnego. Liczył się z tym, że nie będzie łatwo posiąść niewinnej dziewczyny. Byłby nawet zadowolony, gdyby nie udało mu się od razu pozbawić jej dziewictwa.

*„Była tylko w spódnicy i w bluzce, zdjęła żakiet, który trzymała w ręku. Obfity biust rozpierał batystową bluzkę nadając jej lekko różowawy odcień nagiego ciała; z twarzy biło radosne zadowolenie; tylko oczy, znużone i większe niż zazwyczaj, zdawały się zdradzać namiętne rozgorączkowanie, niepokój graniczący z lękiem. Marcello zauważył to wszystko z głęboką satysfakcją: Giulia była rzeczywiście pełną oczekiwania oblubienicą, która ma się oddać po raz pierwszy".*

Patrzyła na niego nieśmiało i lękliwie. W jej uśmiechu dostrzegał jakby prośbę o przebaczenie. Potem zaczęła płakać i całować męża po ręce. A następnie, wpatrując się z napięciem, nieoczekiwanie oświadczyła, że nie jest taką, za jaką ją uważa. Nie jest dziewicą...

*„Marcello spojrzał na nią i nagle zrozumiał, że normalne cechy, które dotąd przypisywał żonie, były fikcją. Nie wiedział, co się kryje za tym wstępnym wyznaniem, ale wiedział już na pewno, że Giulia, zgodnie z jej słowami, nie była taka, za jaką ją uważał. Ogarnęła go niechęć na myśl o tym, co usłyszy, oraz pragnienie, by nie dopuścić do tych zwierzeń. Ale przedtem musiał ją uspokoić; przyjdzie mu to bez trudu, bo w gruncie rzeczy owo osławione dziewictwo nic go nie obchodziło".*

Okazało się, że Giulia straciła cnotę już dawno. Nie miała jeszcze wtedy piętnastu lat, ale była już bardzo rozwinięta. Zgwałcił ją sześćdziesięcioletni starzec, adwokat Fenizio, przyjaciel rodziny, którego nazywała wujem. Później przez sześć lat była jego kochanką. Zerwała z nim dopiero wówczas, kiedy Marcello oświadczył, że ją kocha. W trakcie tych zwierzeń Giulia zachowała swój zwykły pogodny ton. Marcello zaś nie odczuwał ani nienawiści do adwokata, ani litości do jego ofiary.

*„Sam sposób opowiadania, apatyczny i rozsądny, mimo słów wstrętu i pogardy, wyłączał uczucia tak zdecydowane, jak nienawiść i litość. Więc on także, jak gdyby tym zrażony, skłaniał się do pobłażania i rezygnacji. Czuł tylko zdumienie, czysto fizyczne, dalekie od jakichkolwiek sądów, jak gdyby nagle zapadł się w czeluść, a poza tym smutek, bardziej dotkliwy niż zwykle, wobec niespodziewanego potwierdzenia reguły dekadencji, od której Giulia, wbrew temu, co sądził przez pewien czas, nie była wyjątkiem".*

Giulia została zgwałcona zaledwie w osiem dni po pogrzebie swego ojca. Potem wprawdzie dalej ulegała obrzydliwemu starcowi, ale trudno ją potępiać, ponieważ razem z matką były od niego zależne majątkowo. W trudnej sytuacji materialnej adwokat Fenizio dał jej u siebie w biurze posadę sekretarki. Matka sądziła więc, że wyświadcza im dużo dobrego.

Starsi mężczyźni czyhający na cnotę nieletnich dziewcząt budzą we mnie wstręt. Prawdziwym potworem pod tym względem był kapitan Justiniano Duarte da Rosa z powieści Jorge Amado „Tereza Batista wojowaniem zmęczona". Siłą brał i kolekcjonował dziewczynki poniżej piętnastu lat. Wymagał przy tym nienaruszonego dziewictwa.

W uśpionym mieście prowincjonalnym, gdzie wiele kobiet było skazanych na staropanieństwo i celibat, Justiniano Duarte da Rosa miał duży wybór. Ale niespodziewanie zakochał się w mało efektownej dziewczynce. W trzydziestolecie swych urodzin poślubił czternastoletnią Doris Curvelo. Ta wystraszona chudzina z małym płaskim biuścikiem nigdy nie miała żadnego adoratora. Nie brała udziału w zabawach i tańcach. Obchodziły ją tylko sprawy kościelne. Po szkole mogła zostać skromną nauczycielką lub zakonnicą. Nikt nie przypuszczał, że niewinna i pobożna panienka wyjdzie za największego rozpustnika. W dodatku już podczas ślubu, prawie na oczach gości bezwstydnie oddała się kapitanowi. Najchętniej zrobiłaby to publicznie, przed całym miastem, żeby wszystkie kobiety zobaczyły.

*„Na oczach dziewczynek i dzieci, na oczach koleżanek, tych, które wszystkie bez wyjątku uczęszczały na wzgórze za szkołą, które tam wysmarowywały się pocałunkami i spermą z kolegami, na oczach tych, które robiły to samo w ogrodach willi Guedesów z bogatymi przyjezdnymi albo za ladami sklepów ze sprzedawcami w dni bez klientów. Tak, na oczach tych wszystkich, które przychodziły opowiadać jej o pocałunkach i uściskach, o wzdychaniach i jękach, o macanych piersiach i rozwartych udach, tych wszystkich, które wzbudzały w niej zazdrość i które nią gardziły, przezywały ją „zakonniczką", „mateczką przełożoną". Niech tu przyjdą i sprowadzą resztę kobiet z miasta, również te zamężne i cnotliwe, i lekko pomylone stare panny błąkające się po ogrodach, kumoszki spędzające dni w oknach i w kościołach, zakonnice z klasztoru, pensjonariuszki z burdelu Gabi i te uliczne prostytutki, przyprowadźcie wszystkie bez wyjątku, niech ani jednej nie zabraknie, ani jednej".*

Wbrew pozorom Doris okazała się bardzo dobrą kochanką. W łóżku nie miała sobie równych. Spełniała wszystkie zachcianki kapitana. Była dumna i szczęśliwa, że współżyje z prawdziwym mężczyzną, najlepszym samcem w okolicy. Nie przeszkadzało jej to, że faktycznie stała się niewolnicą swego męża.

Podobno dość często tak jest, że niewinnie wyglądające kobiety potrafią być znakomitymi kochankami. W sprawności seksualnej nie ustępują doświadczonym ladacznicom. Miał rację Watsjajana Mallanaga, że miłowanie cechują mylące pozory.

**MIROSŁAWA SARBIŃSKA**

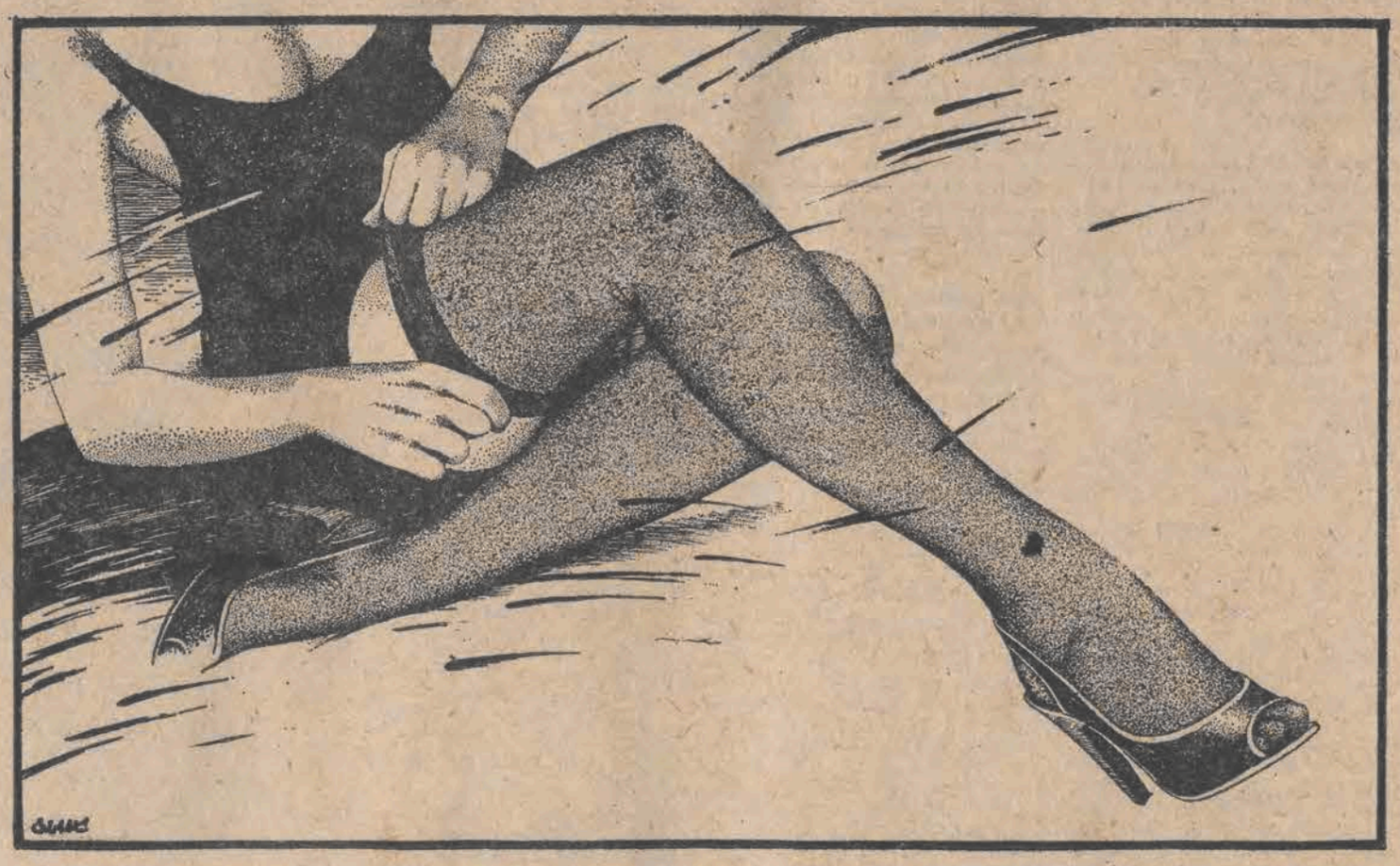

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Reporter „Odgłosów" poznaje Trypolis w Libii

# Ile kosztuje wielbłąd?

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

Do Afryki przyleciałem Tupolewem piątego grudnia 1989 r., po niespełna trzygodzinnej podróży. Lecieliśmy nad Austrią, Sycylią i Maltą. Bilet na tej trasie kosztował wtedy w obie strony trzy miliony, a jeszcze kilka miesięcy wcześniej kosztował dwieście sześćdziesiąt tysięcy. Cena w dolarach jest stała, trzy diabelskie szóstki: 666.

Tupolew wylądował w Trypolisie i wkołował pod rękaw tak, że nie trzeba było kuśtykać z bagażem po trapie, tylko wchodziło się od razu z pokładu do budynku dworcowego na odprawę paszportową i celną.

Przyleciałem w towarzystwie (i na zaproszenie) mojego przyjaciela, dyrektora Zbigniewa Chromińskiego, szefa oficyny LOT w Libii. Wcześniej, przed dziesięcioma laty, Chromiński piastował tę samą funkcję w Madrycie i został jednym z bohaterów literackich mojej powieści „Nie ma pociągów do Barcelony". Wystąpił również pod własnym, nie zniekształconym nazwiskiem w mojej książce o hiszpańskich mistrzostwach świata. Kiedy pojawiliśmy się obydwaj na lotnisku w Trypolisie, Chromińskiego otoczyło momentalnie grono znajomych i zawisł mu na szyi ambasador, nie było natomiast Albina Siwaka. Zostałem przedstawiony. Osobistość uścisnęła mi dłoń i obdarzyła mnie nawet krótkim sportowym uśmiechem, ale na tym limit uprzejmości został wyczerpany.

— *Choć, Zbyszku, z nami* — powiedział sugerując, aby Chromiński odprawił się wygodnym i uprzywilejowanym przejściem dla dyplomatów.

Jeśli w ogóle bywają ludzie z charakterem, to Chromiński do nich należy. Grzecznie, bo zawsze jest grzeczny, lecz stanowczo, bo zawsze jest stanowczy, odpowiedział Jego Ekscelencji, że odprawi się z kolegą-pisarzem. Piszę to wszystko na własną odpowiedzialność. Chromiński w ogóle nic o tym nie wie, nie życzy sobie bowiem żadnych pochwał i żadnej reklamy, pisarz ma jednak prawo do wyrażania swoich opinii bez względu na to, czy ktoś sobie tego życzy czy nie życzy.

Lotnisko w Trypolisie roiło się od Polaków. Każdy wtorek jest tutaj dniem polskim. Samolot, który przyleciał, będzie wracał do Warszawy. Zatem łzy; powitania i pożegnania, dużo podróżnych i dużo kibiców, wymiana grzeczności i uszczypliwości. Święto! Bez względu na to, czy ktoś jest robotnikiem czy dyplomatą, każdy ciągnie we wtorek na lotnisko, stąd również obecność ambasadora.

## 2.

Nazajutrz, szóstego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, pojechałem za zgodą i błogosławieństwem rodziny Chromińskich do Obu Kammash i w ciągu trzech dni zobaczyłem dużo. Zabrał mnie na wycieczkę jeden z dyrektorów kontraktowych „Polimexu — Cekopu", polskiej firmy, która kooperuje z libijską fabryką chemiczną nie opodal granicy tunezyjskiej. Twardy gość z tego dyrektora. Nazywa się Jacek Szyke, pracuje od lat na odpowiedzialnych stanowiskach w polskiej energetyce, budował między innymi trzecią łódzką elektrociepłownię i Turoszów, a na Piotrkowskiej ma szwagra, Włodka Nikonorowa.

Pojechałem z Jackiem Szyke na pustynię. Minęliśmy po drodze kilkanaście miast i osiedli o nazwach, które na każdej mapie mają odmienną pisownię; w każdym razie zrobiliśmy postój w Zitin, w Ragdalin, w Aj Jmayl, w Zaurze i Al Wittyah, a potem wjechaliśmy w Góry Garian (Nafusah Mountains) i zwiedziliśmy dokładnie Jadu, położone na szczycie góry miasteczko, na poły wymarłe, śpiące, zapomniane, z ułomnym meczetem, z domkami w skalnych rozpadlinach i z pieczarami, które kilkaset lat temu zamieszkiwali Arabowie.

Wracaliśmy inną, dłuższą drogą przez księżycowe góry i czerwone, westernowe, wypalone słońcem krajobrazy o przepaściach i dolinach przyprawiających serce o skurcz. Na poboczu drogi leżał rozwalony wielbłąd, który nie wytrzymał widocznie zderzenia czołowego z samochodem. Potem napotkaliśmy u wodopoju inne ogromne stado wielbłądów i wdaliśmy się w rozmowę z pastuchami.

Pastuch libijski, żyjący permanentnie na Saharze, nie ma trudności z udzieleniem podstawowych informacji po angielsku, podczas gdy pastuch polski nie radzi sobie nawet z polszczyzną. Kilku ich było, tych pastuchów-wielbłądników, a wielbłądów było sześćset — siorbały wodę albo odpoczywały, niektóre leżały w piachu, a niektóre były osiodłane; jeden miał spętane przednie nogi ze względu na agresję. Dały się głaskać i patrzyły na intruzów swoimi smoczymi pyskami, a małe były podobne do garbatych żebraków.

Gość w nieskazitelnie białej koszuli, bo nic nie stoi na przeszkodzie, aby pastuch włożył coś takiego na grzbiet, zaproponował mi, abym dosiadł wielbłąda, nie zrobiłem tego jednakże, ze względu na brak aparatu fotograficznego. Co ja sobie będę łamał kości. Byłem świadkiem, jak mój jedenastoletni syn, Łukasz Makowiecki, spadł dwukrotnie z konia w Łagiewnikach. Potem, innego dnia, spadł po raz trzeci i bolała go głowa. Nikt nie powiedział, że mnie również musi boleć głowa. Co innego, gdyby Jacek Szyke, miał aparat i mógł upamiętnić moje bohaterstwo.

## 3.

Pastuch w białej koszuli, z białym papierosem w białych zębach, zwrócił się do nas z uprzejmą propozycją, abyśmy napili się białego wielbłądziego mleka.

Jacek powiedział:

— *Chętnie!*

Ja też powiedziałem:

— *Chętnie, ale nie zabrałem ze sobą szklanki.*

A pastuch powiada:

— *Mleka wielbłądziego nie pije się ze szklanki.*

— *A jak?*

— *Wprost z wymiona.*

— *No nie!* — powiedziałem do Jacka. — *Nie obciągnę wielbłądzicy!*

Wielbłąd dromader, wedle lekcji udzielonej nam przez pastuchów, pije dziesięć — dwadzieścia litów na jedno posiedzenie; po tygodniu przyprowadzają go do wodopoju ponownie, aby znowu wciągnął swoje dziesięć—dwadzieścia litrów, a potem może nie pić już trzy miesiące. Wziąwszy pod uwagę, iż w tropiku, a także na gorących piaskach pustyni człowiek potrafi wchłonąć dziennie dwanaście litrów płynu, wielbłąd doprawdy pije tyle, co nic.

Jacek pyta:

— *Jest to oczywiście stado państwowe?*

— *Nie.*

— *A do kogo należy?*

— *Do trzech facetów.*

— *Ile kosztuje jeden wielbłąd?*

— *Samiec czy samica?*

— *Samiec.*

— *Siedemset — osiemset dinarów.*

— *Czyli siedemset — osiemset dolarów* — tłumaczy mi Jacek. — *Kurs czarnorynkowy jest jeden do jednego.* — I dalej pyta: — *A samica?*

— *Tysiąc dinarów.*

Pół miliona papieru — myślę patrząc na ogromne stado. A ten wielbłąd, co nie wytrzymał nocą zderzenia czołowego z samochodem, wart był osiemset albo tysiąc dolarów które gniją teraz w słońcu czekając na swoich pustynnych grabarzy — na sępy, na kohorty zdziczałych psów, które nienawistne są człowiekowi i zagryzły niedawno (poszarpały i obżarły do kości) kontraktowanego Polaka.

Pies pogryzł kiedyś Mahometa i od tej pory nie cieszy się u Arabów estymą. Arab nienawidzi psa i obrzuca go przy każdej okazji kamieniami, a pies nienawidzi Araba i robi wszystko, aby go dziabnąć. Europejczyka psy się raczej nie czepiają, atakują go wszelako na pustyni z głodu.

Tarantule, czyli moje ukochane czarne wdowy, co to najpierw kopulują z samcem, a potem go pożerają, rozdeptywane są obcasem. Trzeba uważać na płaszczki muchy, komary, żmije i wszelkie inne paskudztwo. Roi się od skorpionów. Pewien szarpany nostalgią Polak, który po kilkunastu miesiącach nieobecności w Polsce złapał tak zwanego Libijca, zaśpiewał mściwie:

*„Nie ameba, nie skorpiony,*
*Lecz ten „Cekop" pier...y!*

## 4.

Ale on w gruncie rzeczy kocha „Cekop". A Libia jest piękna i straszliwie bogata, co widać na każdym kroku — w sklepach, w kioskach i miastach, w wyścielonych marmurem hotelach, w rezydencjach i domach, które pysznią się wymyślną architekturą i wspaniałymi frontami; na doskonałych, budowanych przez zagraniczne firmy (przy udziale najemnej siły roboczej) szosach pośród tysięcy japońskich i europejskich samochodów, które prują jak burza z przeciętną szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ale nie wszyscy jeżdżą tak szybko. Niektórzy jeżdżą jeszcze szybciej. Widzę na prędkościomierzu sto siedemdziesiąt, a potem sto osiemdziesiąt kilometrów i nie czuję jakoś zagrożenia.

Jacek mówi:

— *To jest dobry wóz, nissan.*

— *Ale jak rąbnie kicha, to do Bozi. Całe szczęście, że jedziemy bez pasów.*

— *Dlaczego?*

— *Długo się człowiek nie pomęczy.*

— *Masz specyficzne poczucie humoru. Zauważ, pustynia, a rewelacyjne drogi, wszędzie elektryczność, wszędzie telewizja. I podobnie jest w najodleglejszych zakątkach.*

— *Te wielbłądy, to po co oni pasą?*

— *Na rzeź. Na mięso, a jak żywe, to na wełnę i na mleko.*

— *Dobre jest mleko wielbłąda?*

— *Doskonałe. Wódz pija je codziennie.*

— *A mięso?*

— *Jeszcze lepsze. Przypomina trochę w smaku cielęcinę; innym kojarzy się z delikatną wołowiną, a jeszcze innym z sarniną. Spróbujesz.*

— *Kiedy?*

— *W swoim czasie.*

Mamy jechać razem na granicę z Czadem, gdzie Jacek Szyke musi załatwić jakieś oficjalne interesy. Dziesięć dni potrwa ta wyprawa, a gdzie będziemy spali, nie wiadomo. Tymczasem wszakże, po nocy przespanej w samotnym bungalowie, ruszyłem tropem Janusza Szymańskiego-Glanca i pojechałem do Tunezji. Libijczycy i Tunezyjczycy przekraczają w obydwie strony granicę bez wiz, a Polak płaci dwa dinary. Wozy nieraz kontrolują, pieszym nawet nie sprawdzają paszportów. Wszedłem zatem do Tunezji krokiem śmiałym i zdecydowanym, a działo się to w świąteczny dzień Muzułmanów, w piątek, w sześćdziesiąt osiem godzin i piętnaście minut po wylądowaniu w Trypolisie.

## 5.

W Libii wszelkie napisy są wyłącznie w języku arabskim, a w Tunezji od razu widać francuszczyznę. Francuskie neony, francuskie reklamy, francuskie napisy na autobusach i kawiarniach. Piwo W Libii coś takiego jest w ogóle nie do pomyślenia, i to w najdroższych hotelach. Po obydwu stronach granicy stoją cinkciarze z naręczami tunezyjskich i libijskich dinarów. Podobnie jak kiedyś w Polsce, w Libii cinkciarstwo jest zakazane, ale konie nie biorą sobie tego do serca i świadczą usługi w niebezpiecznym sąsiedztwie policjantów i celników. Polak jakiś do mnie podchodzi i mówi:

— *Babariba. Normalnie, dżez babariba! Skąd jesteś?*

— *Z Trypolisu.*

— *Na kontrakcie siedzisz?*

— *Nie. Na zaproszeniu.*

— *Od dawna?*

— *Od trzech dni.*

— *To nie mamy o czym gadać, kolego. Ja siedzę tu prawie trzy lata.*

— *W Libii czy w Tunezji?*

— *W Libii. Jedni narzekają, smutno im, tęskno, hobza, serek i transferek, a ja, kolego, mam taki charakter, że nie oszczędzam. Ja jem, kolego. Jak ktoś je, to jest w porządku. Babariba, dżez babariba.*

Wróciłem do Libii przez ten sam punkt graniczny i pojechałem z Jackiem Szyke na suk do Sabrathy. Niedaleko Sabrathy są ruiny rzymskie z dużym amfiteatrem, ten suk w Sabrathcie ściąga jednak większą publiczność. Suk to targowisko. Nie będę wyliczał, co tam możesz kupić. Wszystko. Powiedziałem: wszystko! No, może z wyjątkiem bomby atomowej; nie dowieźli jeszcze również sputników ale są w drodze. Wywrotka piachu, piątka Chauda — proszę bardzo. Jeśli sobie zażyczysz, zabiją i oprawią na twoich oczach jagnię. Ceny są stałe, nie wypada się targować. Starsi Libijczycy są serdeczni i nad wyraz uprzejmi, młodzież jak to młodzież, na całym świecie jednaka: skora do zabawy i żartów. Na każdym suku jest coś jak gdyby giełda robotników, a ci robotnicy, to Palestyńczycy, Tunezyjczycy oraz obywatele Czadu. Siedzą w kucki i czekają na okazyjną robotę. Każdy ma u boku zawiniątko z narzędziami. Możesz nająć ich do budowy domu, do wyremontowania łazienki, a jak nie masz cegieł czy drewna, to możesz zaraz kupić jedno i drugie wraz z transportem. Gość, który przywiózł na suk platformę desek czy płyt pilśniowych, nie spieszy się: może będzie tu siedział trzy dni, a może tydzień. Jedno jest pewne: będzie siedział tak długo, dopóki wszystkiego nie sprzeda. Arab jest cierpliwy. Afrykanie w ogóle inaczej liczą czas.

## 6.

Babariba! Tunezyjczycy handlują na tych samych prawach, co obywatele libijscy. Z drugiej strony zaatakowali Libię Egipcjanie. Wykupują żywność i papierosy, o które jest coraz trudniej. W Bengazi sklepy zioną pustką, z czego można wysunąć wniosek, że przyjaźń między narodami nigdy nie jest całkiem bezinteresowna.

## 7.

Wieczorem wracam z dyrektorem Zbigniewem Chromińskim oraz jego żoną Hanną i córką Magdaleną do Trypolisu. Po drodze mijamy kalekie, strupieszałe, podziurawione kulami, wystawione na widok publiczny autokary, którymi dwadzieścia lat temu, w czasach rewolucji, próbowali umknąć do Tunezji zwolennicy króla. Mijamy również wielokilometrowy ciąg rozwalonych albo zrównanych z ziemią budynków. Szczątki wyglądają jak nowe, więc pytam, o co tu chodzi. Zostaję objaśniony, że państwo udzieliło obywatelom pożyczki na rozwój gospodarki rolnej, a cwaniaki, zamiast rozwijać rolnictwo, zaczęli stawiać sklepy i kręcić biznes. Pułkownik rządzi twardą ręką. Zaplakali!

Przez kilka dni zwiedzam w towarzystwie dyrektora Chromińskiego piękne i bogate miasto Trypolis, w którym zresztą mieszkam i które, być może, uda mi się poznać tak dobrze jak Madryt — wówczas mógłbym napisać o nim książkę. Widziałem już port w dużej zatoce, widziałem sławny Plac Zielony, na którym pojawia się czasem Pułkownik, a wojsko defiluje, widziałem dawny pałac królewski przemianowany teraz na pałac Zielonej Książki, w której Wódz wykłada Trzecią Teorię Światową, i która została doskonale przełożona na polski i kilkadziesiąt innych języków. Wrócę jeszcze do tego tematu, poprzestając tymczasem na krótkim i celnym cytacie:

*„Wszystkie systemy polityczne we współczesnym świecie powstały w wyniku pokojowej lub zbrojnej walki o władzę między tymi, którzy ją sprawują — walki klas, grup wyznaniowych, plemion, partii albo jednostek. Jej rezultatem było zawsze zwycięstwo jednego z podmiotów władzy: jednostki, grupy, partii lub klasy, i klęska ludu, czyli porażka prawdziwej demokracji".*

Z daleka tylko obejrzałem Stare Miasto, z bliska natomiast pokazano mi budynek i schody, na których wymierza się publicznie sprawiedliwą karę chłosty. Kobiety i mężczyźni muszą zachowywać się w Libii obyczajnie.

**GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:**

# Wystawa

*Fragmenty wystawy fotograficznej pn. „Ponury", „Nurt" — ich żołnierze (Góry Świętokrzyskie 1943—1945)" pokazywanej w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego.*

MARIA BUDZIAREK-MACIEJCZYK

# Pomyśl

Każde słowo jest rzucone ziarnem
zakwitnie we mnie
lub w tobie
teraz lub kiedyś
dobrem lub złem
Słów dobrych jest tak wiele
że zasiane — dadzą żniwo szczęścia
A złe —
Są trzy złych słów ziarna
— jakie — sam pomyśl
i odbierz im moc, by nie zakwitły
w tobie
lub we mnie
teraz lub kiedyś
Nigdy

# Głośne książki

**Wydawnictwo Oxford University Press wydało książkę Roberta Conquesta „Stalin And The Kirov" (Stalin i morderstwo Kirowa). Kirow zginął 1 grudnia 1934 r. od kuli „niezrównoważonego komunisty" Nikołajewa. Zasadnicze pytanie brzmiało: na czyje zlecenie działał zabójca b. sekretarza Komitetu Leningradzkiego WKP(b), od 1934 r. sekretarz KC? W okresie następnych 4 lat Stalin pomawiał o zabójstwo Kirowa swych rywali, organizując pokazowe procesy i poddając przeciwników różnego rodzaju represjom. (Doczekali się pośmiertnej rehabilitacji w 1987 i 1988 roku).**

**Powieść Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu" oraz pamiętniki Anastasa Mikojana potwierdzają, że Stalin nienawidził Kirowa jako nowego potencjalnego przywódcy. Obszerne partie książki Conquesta dotyczą różnych wersji morderstwa oraz procesów w okresie Wielkiej Czystki 1937/1938. Zdaniem autora, zamordowanie Kirowa było bezpośrednią przyczyną planowanych przez Stalina represji wobec politycznych oponentów, zarówno rzeczywistych jak i wyimaginowanych. Sugerując, że mord na Kirowie prowadził do zapoczątkowanej w grudniu 1934 r. czystki Conquest pisze m. in. „Stalin niewątpliwie obawiał się Kirowa i zdolny był do usunięcia rywala obarczając tą zbrodnią innych swych przeciwników. Bez udziału Stalina zabójstwo Kirowa nie miałoby sensu...".**

**W Wydawnictwie Klett-Cotta w Stuttgarcie ukazała się inna książka — „Robiespierre" autorstwa Maxa Gallo. Robespierre — który pozostawił krwawy ślad we Francji w ostatniej fazie rewolucji — pod względem intelektualnym nie był zbyt ciekawy. Raczej teoretyk i doktryner, nietolerancyjny fundamentalista republikański sądził, że potrafi terrorem zmusić ludzi do głoszenia republikańskich przekonań — pisze „Die Welt". — Robespierre podniósł gilotynę do rangi metody politycznej i to się na nim zemściło. Upadek jego spowodowany był również tym, że jego polityka nie miała żadnej bazy społecznej. Max Gallo w swej ciekawej biografii bardzo obszernie omawia ten aspekt. Interesuje go jednak przede wszystkim aspekt drugi — psychiczna, a raczej psychopatyczna osobowość kontrowersyjnego rewolucjonisty. Gallo tłumaczy postępowanie Robespierre'a frustracjami wypływającymi z trudnego, pozbawionego miłości dzieciństwa. Autor biografii konstruuje wyważony portret fanatycznego szermierza cnoty, niewolny od krytyki, ale w sumie obiektywnie oceniający jego działanie.**

**Oprac.: M.B.**

# Potrzebni pasjonaci...

## — Rozmowa ze ZDZISŁAWEM KONICKIM.

**— Co pan sądzi o Łodzi, jako wieloletni krajoznawca?**

— Dla mnie Łódź jest miastem ciekawym, zielonym i... niebrzydkim! Jest w nim wiele zakątków, zaułków, czy nawet dłuższych ciągów ulic — nigdzie indziej w Polsce i Europie niepowtarzalnych! Jest tu pół tysiąca obiektów zabytkowych. Jest też wiele miejsc, które przy niewielkim nakładzie, retuszu, odświeżeniu — nabrałyby wdzięku i swoistego uroku miasta niezwykłego. Cóż, niestety, nie ma w tym mieście funkcji — „Głównego Estetyka Miasta!"... Czy „Głównego Przyjaciela Miasta"...?

**— Jakie ma pan zdanie o towarzystwach przyjaciół Łodzi i np. Sieradza?**

— Po wojnie byłem jednym z inicjatorów, organizatorów i współzałożycieli TPŁ (22 lata w zarządzie). Towarzystwo działało już w latach 1937-39; szkoda, że obecne nie nawiązuje do tamtego i nie czuje związku z tradycją. Obecne prezydium Zarządu TPŁ nie odgrywa w Łodzi takiej roli, jaką miało dawniej, a szczególnie za prezesa Ajnenkiela! Następni prezesi nie emanowali z siebie takiego zapału i miłości do Łodzi, co ten pierwszy. Tu nie powinno się „działać" i zarządzać zza biurka! Główny Przyjaciel Miasta nie powinien nigdy godzić się na wyburzenie obiektów historycznych, czy zabytków... Zupełnie odwrotnie jest w Sieradzu! Pochwalam pracę społeczną sieradzkich pasjonatów.

**— Co pan odkrył w Archiwum Łódzkim?**

— Łódź — miasteczko zostało już dawno odkryte przez St. Staszica i R. Rembielińskiego! Mimo to, obecna Wielka Łódź czeka nadal na swego współczesnego odkrywcę! Czeka wciąż na życzliwość i zrozumienie. Stale odkrywam na nowo i pokazuję innym jej zabytkową architekturę fabryczną. Pielęgnować zaś tradycje polskiej kultury w tym wielonarodowym ongiś mieście winno szerokie grono prawdziwych miłośników niezakłamanej historii Łodzi.

W Archiwum znalazłem wiele cennych informacji, które zamieszczałem na łamach łódzkiej prasy. Archiwum łódzkie posiada ponad 10 tys. woluminów akt, jest więc dotąd nadal nie zgłębioną kopalnią nietkniętych tematów z przeszłości Łodzi i okolic.

**— Napisał pan książkę o Łodzi „Dziwy nad Łódką"... czy ma pan zamiar pisać i o innych dziwach?**

— Zacząłem od wierszy, już w 1939 r., pisałem je do lat 70., drukowała je prasa regionalna i krajowa. Ktoś powiedział, że poetą się nie jest, poetą się bywa. Przestałem więc pisać wiersze, zacząłem pisać opowiadania, felietony, wspomnienia... („Kronika", „Odgłosy", wszystkie łódzkie dzienniki — to miejsca druku 1946—90).

Prasa łódzka była i jest mi szczególnie bliska. W niej opisywałem dzieje i dziwy łódzkich ulic. Np. taka ulica Sienkiewicza, najpierw nazywała się Grafa, później Dzika, z kolei Mikołajewska, nie licząc zmiany nazwy w okresie ostatniej wojny. Każdy zakręt, skrzywienie polityczne, odbijało się na zmianie nazw łódzkich ulic, czy to nie dziwne? Wschodnia była kierunkową — wschodnią „od urodzenia", później Piłsudskiego, by wrócić znów do pierwotnej, wg. mnie zabytkowej nazwy Wschodniej (obok Zachodniej, Północnej...). Podobnie stara Zakątna, krótko przed 1939 zmieniona na Pogonowskiego, wróciła do historycznej nazwy Zakątnej. Tylko historyczny Przejazd, który stał się Daszyńskiego, później Tuwima — nie może jakoś wrócić do swej pierwszej zabytkowej nazwy związanej z „Nawrotem i Przejazdem" — to też są łódzkie „Dziwy...".

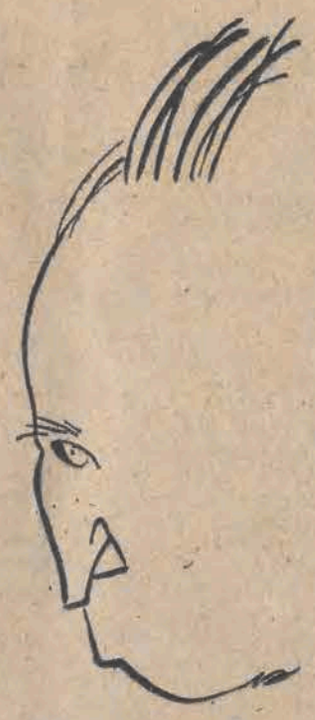

*Rys. Sławomir Arabski*

**— Obchodzi pan jubileusz...**

— Już Boy wyśmiewał oficjalne jubileusze..., ale sam nieoficjalnie je obchodził. I to z jaką pompą! Jubileusze obchodzi się w całej Europie. Urodziłem się w dniu i miesiącu urodzin Chopina, Kolberga, Schopenhauera, Washingtona... **Mój jubileusz 65-lecia urodzin** i 44 lat publicystyki regionalnej jest wg mnie po trosze i moim hołdem dla tamtych naprawdę wielkich ludzi, a także pretekstem do spotkania prawdziwych miłośników Łodzi.

**Rozmawiał:**
**ROMAN GORZELSKI**

# Viva komputer!

Żeby nakręcić film „Porno" Marek Koterski musiał chyba skończyć reżyserię, albo jakieś inne studia — nie wiem jak tam jest teraz. No i musiał jeszcze dostać trochę forsy. Żeby nakręcić swój pierwszy filmik porno, 13-letniemu Ulfowi z Hamburga wystarczyło mieć komputer oraz wrodzone zacięcie do „tych rzeczy" i cierpliwość do programowania.

Ulf jest uczniem piątej klasy i reżyserem filmów, w których występują nagie dziewczyny. Pokazują one biusty i pupy, rzucają wyzywające spojrzenia, robią jednoznaczne gesty.. Tyle tylko, że nie są to dziewczęta z krwi i kości. Filmy porno nastolatka Ulfa rodzą się w komputerze — dzięki najnowszej technice.

Ulf nie jest geniuszem ani wyjątkiem. Całe rzesze chłopców przy pomocy komputerów Atari bądź Amiga tworzą prymitywne pornosiki, dając upust swej fantazji, tęsknotom i pragnieniom popisując się przy okazji wielką pomysłowością i talentami inscenizacyjnymi.

Odbywa się to w ten sposób: za podkładkę służy czasopismo ilustrowane, jak np. PLAYBOY. Z pomocą ojcowskiej videokamery młodociani filmowcy robią ujęcia tytułowej dziewczyny. Następnie między kamerą a komputerem umieszczają „digitizer", który pozwala komputerowi przyjmować wszystkie sygnały obrazu. Teraz naga piękność — trochę nieostra, ale wciąż kokieteryjnie uśmiechnięta — pojawia się na monitorze komputera. Za biustem i tyłkiem kryją się wyłącznie „bity" i „chipy".

Jednakże gołe zdjęcie w wersji elektronicznej od dawna już artystom-komputerowiczom nie wystarcza. Chcą oni aby wszystko się ruszało — zaczyna się więc mozolna dłubanina. Ulf pracował np. aż dwa tygodnie nad swym najnowszym arcydziełem pt. „Lesbijki"

Dobrał się do swoich pin-up-girls za pomocą „programu malarskiego", przeniósł ich ciała punkt po punkcie na monitor, po czym te punkty przesuwał. W efekcie dziewczyny unosiły nogi lub chwytały się za włosy. Gotowe obrazy artysta umieścił po prostu jeden za drugim i wyświetlał je kolejno jak w filmie animowanym. Również w tej sytuacji, w technicznie najtrudniejszej fazie, Ulf mógł się posłużyć specjalnym oprogramowaniem, czyli programem do Atari „Film direćtwor". Program ten pozwala nawet całkowitemu laikowi włączyć do filmu czołówkę i jeszcze dodać dźwięk.

Ulf pracuje nad nowym dziełem, którego roboczy tytuł brzmi „Pani S.". Główna rola przypadła jego wychowawczyni. Ze zdjęcia całej klasy wyciął najpierw jej głowę i dopasował do sylwetki dziewczyny z PLAYBOYA. Jeśli wszystko się uda, pani nauczycielka będzie w filmie robiła striptease.

Jedyny problem, jaki mają młodzi twórcy, to żeby ich nie nakryła mamusia. Wystarczy jednak naciśnięcie jednego klawisza, by na ekranie zamiast rozebranej elektronicznie dziewczyny, ukazało się niewinne zadanie szkolne... Chociaż właściwie, pełne fantazji poczynania swych latorośli, rodzice — w większości wypadków — uważają za godne pochwały zajęcia! I słusznie! Niech żyją komputery!

(Za STERNEM — FORUM)

**A. G.**

# PESTKI DYNI

W amsterdamskim Stedelijk Muzeum jest dział poświęcony najpiękniej wydanym książkom w naszych czasach, w XX wieku. Wśród eksponatów — nie, nie polskich książek tam nie ma (?!) — wyjątkowe miejsce zajmują serie edytorskie **Harlina Quista.**

Quist — Amerykanin, pisarz, aktor i reżyser teatru lalkowego, dobrze poznał najmłodszą widownię, jej upodobania i reakcje. Pewnego pięknego dnia postanowił pożegnać się z teatrem, by rzucić się w wir nowej intelektualnej przygody — wydawanie książek dla dzieci. Gdy powołał do życia wydawnictwo bez kapitału, bez personelu, bez oficyny drukarskiej, słowem, bez tego wszystkiego, co raczej przeszkadza śmiałkom — w Ameryce uznano go za szaleńca. Konkurenci na wszelkie sposoby podstawiali mu nogę, zaś księgarze niechętnie przyjmowali jego „produkcję" do sprzedaży. Bowiem książki były inaczej pomyślane niż tradycyjne dla maluchów. Idea Quista polegała na traktowaniu młodego czytelnika jak osobnika inteligentnego, którego poczucie humoru sprzeciwia się infantylizmowi, uprawianemu przez starszych mizdrzących się do dzieci.

Quist jeździ więc po świecie, szuka pisarzy i rysowników myślących podobnie jak on. I w ten sposób znalazł prawdziwą perłę pod postacią **Nicole Claveloux**, a również swojego współwydawcę na terenie Francji — pisarza **Francois Vidala.**

Nicole Claveloux mieszka w Boulogne, pod Paryżem i tam też ma pracownię, w której robi piórkiem ogromne rysunki, ilustruje książki dla Quista, maluje obrazy i plakaty. Pochodzi z Owernii, a do Paryża przyjechała po ukończeniu szkoły artystycznej w St. Etienne. Niewysoka, mocno zbudowana dziewczyna reprezentuje ten typ wiejskiej urody, jaki spotkać można jeszcze w centralnych okręgach Francji i w Bretanii. Zamknięta w sobie, chętnie uciekała w świat baśni, legendy, mitu. Już jako dorosła dziewczyna nie przestała zaczytywać się w literaturze bajkowej i fantastycznej. Potem sięgnęła po science-fiction. Zna Lema, czyta najchętniej to, co zawiera warstwę czegoś tajemniczego, niespokojnego, wręcz obsesyjnego.

Jej ulubionym rysownikiem pozostał nadal **Gustaw Dore**, nie ten od Biblii czy Boskiej Komedii, lecz od Balzaca, którego ilustrował niezwykle nowatorsko, współcześnie, jakby na modłę nadrealistów. Ten świat zaludniony przedziwnymi zwidami i stworzeniami, oglądany w niezwykłej makro i mikroskali, straszny i podniecający zarazem, jest dla Nicole Claveloux jak gdyby schronieniem przed zbyt niespokojnym i szybkim rytmem życia współczesnego.

Spotkanie z Quistem i Vidalem należy więc uznać za szczęśliwe zrządzenie losu. Kilka opracowanych przez nią książek w serii Quista – Vidala należy do niewątpliwych bestsellerów wydawnictw dla dzieci. Równolegle do twórczości ilustratorskiej i na polu grafiki reklamowej, Nicole od szeregu lat uprawia właśnie tzw. wolny rysunek. Właśnie owe wielkie formatem fantazje piórkiem układające się w cykle tematyczne. Przewodnim motywem jest w nich erotyka.

Erotyzm, który w połowie lat 60. przebojem zdobył sobie prawo obywatelstwa w filmie, w teatrze, w modzie i w obyczajowości, z większymi niż gdzie indziej oporami spotkał się na gruncie sztuk plastycznych, jakkolwiek malarstwo pop zwiastowało nadejście tryumfującego Erosa w wydaniu, nazwijmy to popularnym czy masowym. Rozliczne tabu, których nie odważono się naruszyć w kręgu Breardsley'a, Klimta Somowa i przed którymi zatrzymywali się nawet nadrealiści w latach 30., obalono teraz z tym większą gwałtownością. Sztuka zmierzała do nowej formuły zmysłowości — antyromantycznej i antysentymentalnej; jawnej, zaborczej, nie znającej zakazów natury psychicznej, odsłaniającej wstydliwe zakamarki ludzkiej egzystencji, tego, co w człowieku utajone, mroczne, atawistyczne. Wielu wybitnych artystów (u nas np. Beksiński i Dobkowski), każdy w zupełnie odmiennej stylistyce, „utrwaliło" współczesnego człowieka w nowym, zmysłowym wymiarze. Na tle ich wszystkich erotyki Nicole wydają się być niezwykle oryginalne, sugestywne i „własne". Posiadają specyficzną tajemnicę i drażniąco zmysłową aurę niewiadomego.

I warto zwrócić jeszcze uwagę na fakt, że niewiele k o b i e t na świecie uprawia tego rodzaju twórczość. Nicole jest szlachetnym i interesującym wyjątkiem.

**ANDRZEJ GRUN**

## Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

*Rys. Sławomir Łuczyński*

### NAJTAŃSZA GAZETA ŚWIATA

„Przede wszystkim wkrótce będziemy mieli nową nazwę. Propozycji jest wiele — mówi korespondentowi PAP absolwentka Wydziału Polonistyki i Historii Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego **Alina Lassota**, od czterech lat pracująca w redakcji „Czerwonego Sztandaru", jedynego do tej pory dziennika w ZSRR wydawanego w języku polskim — od „Kuriera Litewskiego", „Głosu Litwy", „Kuriera Wileńskiego" do „Nowego Słowa", ale ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła. — Na pytanie, czy pieriestrojka wiele zmieniła Alina Lassota odpowiada. — Właściwie już od roku to nie ta sama gazeta. Na przykład do tej pory zamieszczaliśmy przeszło połowę materiałów autorskich pisanych przez różnych, ważnych dyrektorów... Tak właśnie się nazywały. Oczywiście dziennikarze zobowiązani byli „podać" je do druku, czyli mówiąc prawdę napisać od nowa, ale dla siebie mieli często tylko jedną kolumnę. Teraz te proporcje uległy odwróceniu. Mamy też nowe działy — m.in. dział mody i — cieszący się ogromnym powodzeniem kącik matrymonialny, w którym ogłaszają się też Polacy zatrudnieni na kontraktach w ZSRR. Pisaliśmy też o Katyniu, o zsyłkach Polaków na Syberię, o Miłoszu. Wszystkie te tematy były do niedawna absolutnym tabu... Mamy 55 tys. nakładu, z czego połowa wysyłana jest do Polski. Ci, co czytają, piszą do nas listy i chwalą. Inni nie kupują, bo spodziewają się partyjnej agitki, jesteśmy organem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Litwy... Gdyby nie ten patronat, polska gazeta nigdy nie mogłaby się na Litwie ukazać. A profity? Nie mamy dotacji, jeden egzemplarz „Czerwonego Sztandaru" kosztuje... 3 kopiejki. Jesteśmy najtańszą gazetą na świecie..."

### DOSKONAŁE FALSYFIKATY

Na podobny pomysł nikt przedtem nie wpadł, a realizująca go włosko-amerykańska firma „Litauer and litauer" włożyła przysłowiowy kij w mrowisko. Wywołała tyleż zachwytów co oburzenia, gromadząc w jednym miejscu 120 obrazów najwspanialszych arcydzieł światowego malarstwa różnych epok. Od „Mony Lisy" poczynając, poprzez dzieła Perugina, Giotta, Rafaela, Tycjana, Rubensa, Delacroixa, Renoira, po Ajwazowskiego i Picassa, wybranych przez specjalną komisję włoskich historyków sztuki. Te wspaniałości światowej kultury eksponowano w Pałacu Strozzich we Florencji. Przywieziono je z najsławniejszych muzeów i galerii m.in. z Prado, Luwru, Ermitażu, z Amsterdamu, Budapesztu i Wiednia.

Zachwyty więc zrozumiałe, ale oburzenie? Otóż wszystkie te dzieła były doskonałymi falsyfikatami, w tym wiele kopii współczesnych oryginałom i wykonanych przez znanych malarzy, niektóre stanowiły jedyne ślady po oryginałach, jak np. „Św. Mateusz i anioł" Caravaggia, który spalił się podczas ostatniej wojny w Berlinie.

Organizatorzy wystawy nie ukrywali tego faktu, przeciwnie, wyraźnie to podkreślali w doskonale wydanym katalogu wystawy, napisanym przez znawców malarstwa m.in. przez Umberto Eco. Niemniej, wystawa przyczyniła się do powstania dwóch obozów: tych, którzy uznali, że przyczyniła się ona i to w sposób doskonały, do udostępnienia tego, co nigdy by zapewne wielu nie zobaczyło oraz na tych, którzy uznali, iż był to po prostu rodzaj oszustwa, zaś gromadzenie w jednym miejscu tylu kopii dzieł różnych epok i stylów zamieszało tylko zwiedzającym w głowach. Wystawa zyskała ogromny rozgłos i powodzenie wśród publiczności, a organizatorzy — duże pieniądze.

### REWELACJA

**Alberto Moravia** jest pisarzem tak płodnym i cenionym zwłaszcza przez czytelników — bo główne nagrody literackie omijają go — że niemal w każdym roku jakąś jego nową książkę można uznać za wydawniczą rewelację. W roku 1989 była nią powieść **„Podróż do Rzymu"** stanowiąca jakby dalszy ciąg napisanego w 1943 roku opowiadania **„Augusiyn"**.

Jak zwykle u Moravii, psychologicznym tłem powieści są różne odcienie seksu. W „Podróży do Rzymu" są to przeżycia 20-letniego Mario de Sio związane z kompleksem matki. Z matką kojarzą mu się wszystkie poznane i pociągające go psychicznie kobiety, z jakimi zetknął się w Rzymie, do którego powrócił z Paryża.

Telegraficzne streszczenie nowej powieści Moravii może sprawiać wrażenie, że jest ona zbyt uboga w głębsze treści. Jest jednak odwrotnie, o czym świadczy choćby fakt, że „Podróż do

# Nekrofilia

Klasyczny film dokumentalny był, bez najmniejszych wątpliwości, dziełem sztuki, tzn. widać było za nim postać twórcy, który starał się przekazać własną wizję świata. Opisywane wydarzenia nie zawsze odgrywały przy tym rolę decydującą, przeciwnie, często wyglądały nad wyraz banalnie i dopiero talent i mistrzostwo reżysera wydobywały z nich nieuświadomione możliwości. Cóż, na przykład, bardziej zwykłego niż połów śledzi, przewóz poczty, deszcz, amatorska orkiestra tramwajarzy, albo wręcz oddawanie książki do biblioteki. A przecież odkąd zwrócili na to swoją kamerę Grierson, Watt, Ivens, Karabasz czy Resnais nie możemy tych zdarzeń zapomnieć.

Dziś wiele się zmieniło i robione zwykle pod auspicjami telewizji filmy dokumentalne stają się faktycznie reportażami, w których problemy organizacyjne i techniczne prawie bez reszty zastępują sztukę; pytanie „jak on tam dotarł?!" zastępuje okrzyk „jak on to zrobił!". I konsekwentnie na pierwszy plan wydobywają się pokazywane wydarzenia. Naturalnie w tej sytuacji nie mogą one być zwyczajne; nie idzie już bowiem o to, żeby uzmysłowić widzowi co kryje się w codziennych czynnościach podobnych mu ludzi, ale muszą być niezwykłe, chodzi bowiem o przedstawienie widzowi rzeczy, którym z bliska nigdy się nie przyglądał. W im bardziej chronione przed oczami ogółu miejsce dotrze kamera, tym lepiej, tym drożej można sprzedać efekt. Towarem szczególnie pożądanym w tej licytacji jest seks i śmierć, przy czym, ponieważ seks jest już towarem dostępnym coraz powszechniej i to w rozmaitych opakowaniach, śmierć wydaje się zdobywać wyraźną przewagę.

Jej też poświęcona jest seria filmów pod wspólnym tytułem „Twarze śmierci". Oglądamy w niej szereg zgonów i tyle samo sytuacji, w których śmierć wisi w powietrzu; począwszy od wypadków drogowych, poprzez wojnę w Salwadorze, boks, wyczyny kaskaderów, taśmowe zabijanie zwierząt, katastrofy samolotowe, aż do zbiorowej egzekucji w Nigerii. Niektóre z tych wypadków rzeczywiście są interesujące; oto, na przykład, widzimy walkę bokserską i obserwujemy zawodnika, który niedługo zostanie znokautowany, a potem umrze, oto jesteśmy świadkami nieprawdopodobnego wyczynu: niejaki Henry Powers próbuje przeskoczyć napędzanym silnikiem rakietowym samochodem rzekę szerokości jednej mili...

Nie da się ukryć, że przyjemnie patrzeć sobie na to wszystko siedząc wygodnie w fotelu i popijając kawę, zwłaszcza że akcję komentuje naukowiec, doktor **Frances B. Gröss,** jak sam się przedstawia. Człowiek zawsze w końcu miał nieprzeparty pociąg do podglądania bliźnich w sytuacjach najbardziej dla nich intymnych i tragicznych, a nie ma przecież nic bardziej intymnego i tragicznego niż śmierć.

W miarę jednak trwania seansu zaczynamy czuć coś w rodzaju wstydu, jakbyśmy zakradli się do prosektorium i podglądali nieboszczyków. Film bowiem, mimo pozorów naukowości, ani myśli zatrzymać się chwilę i zastanowić, współczuć czy choćby pomilczeć! Tym bardziej ani mu się śni przekazać jakiś autentycznie przeżyty pogląd; ludzie padają jak Indianie w westernie, a reżyser je kanapki i grymasi, że nie wygląda to dostatecznie malowniczo i każdy powinien wykonać jeszcze co najmniej dwa salta z pełną śrubą.

Szczytem tego wszystkiego jest wywód siedzącego w ogrodzie i popijającego tequillę doktora Grossa na temat zgubnych skutków wojny, która toczy się właśnie za wysokim murem. Taki właśnie mur dzieli wszystkie wydarzenia tego filmu od jego realizatorów, a sam doktor robi wrażenie aktora filmów porno. Szkoda jednak, że stary dobry film dokumentalny wydaje się na zawsze odchodzić w przeszłość.

RYSZARD NAKONIECZNY

TWARZE ŚMIERCI, reż. Conan Le Cilaine, narracja Frances B. Gröss, scen. Alan Black, muz. Gene Kaver, kierownicy zdjęć Peter B. Good i Demetrie Permo.

# Gdy mury runęły...

MARIOLA KNAGA

Przemysław Gintrowski — do niedawna będący jeszcze na indeksie — kompozytor, autor tekstów i gitarzysta wystąpił w Łodzi na trzech koncertach. Na pierwotnie zaplanowane dwa, w maleńkiej piwniczce CIK-u, bilety rozeszły się błyskawicznie. Postanowiono więc zorganizować dodatkową imprezę, w większej już sali Domu Kultury „Lutnia", która i tak nie zdołała pomieścić wszystkich chętnych, a najzagorzalsi zwolennicy talentu polskiego barda, przycupnęli w ciszy i skupieniu na podłodze.

Postać Przemysława Gintrowskiego, reprezentującego nurt piosenki zaangażowanej, politycznej i mocno opozycyjnej w stosunku do panującego u nas do niedawna ustroju, była dotychczas zakazana, znana jedynie z wydawnictw tzw. drugiego obiegu oraz nielegalnych koncertów. Działalność artystyczną rozpoczynał razem z **Jackiem Kaczmarskim** w 1981 roku, po powstaniu „Solidarności". W październiku 1981 roku obaj wyjechali do Francji, skąd Gintrowski powrócił już bez swego kolegi, który wybrał emigrację. Potem nastąpił niechlubny okres stanu wojennego, co nie oznacza, że w tym czasie Gintrowski „zawiesił gitarę na kołku". Koncerty odbywały się nadal, w konspiracji, a na ich miejsce wybierano najczęściej kościoły lub mieszkania prywatne. Wśród stałych miejsc spotkań był kościół, w którym służył ks. Jerzy Popiełuszko. Jemu właśnie szczególnie przypadła do gustu jedna z pieśni z programu **„Raj"**, zatytułowana **„Powrót"**.

W sumie od początku działalności do chwili obecnej powstało 6 cyklicznych programów. Pierwszym były **„Mury"**, z którego pochodzi chyba najbardziej znana piosenka wykonywana przez Gintrowskiego, autorstwa katalońskiego barda — **„A mury runą..."**. Piosenką tą rozpoczął się łódzki koncert w DK „Lutnia". W tym cyklu Gintrowski zaśpiewał też utwór do słów **Zbigniewa Herberta — „Mur"**. Jak przyznał podczas koncertu, Herbert należy do jego ulubionych poetów, a sam poeta określił się kiedyś żartobliwie „tekściarzem pana Gintrowskiego". Kolejno powstawały programy: **„Raj"**, **„Muzeum"** — jego premiera odbyła się w warszawskiej „Zachęcie", a treść stanowiły piosenki skomponowane specjalnie do eksponowanych na wystawie obrazów; **„Pamiątki"**, **„Raport z oblężonego miasta"** i, do końca jeszcze nie zrealizowany, program **„Kamienie"**, którego bohaterami są postacie historyczne, poczynając od biblijnej Judyty, kończąc na znanych postaciach z historii Polski i historii powszechnej. Premiera tego ostatniego programu jeszcze się nie odbyła, z prozaicznego powodu — trudności ze zdobyciem czarnego płótna, które ma być elementem scenografii.

Gintrowski z towarzyszeniem pianistki wykonał fragmenty wszystkich swoich programów, z pasją i żarliwością dorównującą produkcjom Włodzimierza Wysockiego. W obecnych, zmienionych realiach naszej rzeczywistości, kiedy „mury runęły", aby przyciągnąć publiczność, nie wystarczą już tylko zaangażowane teksty. Obronić się mogą jedynie prawdziwe talenty, a Gintrowski zdaje się mieć w sobie ową „iskrę Bożą", choć nie wzniósł się może jeszcze na wyżyny artyzmu tych największych światowych piewców wolności, bojowników o prawa człowieka — Cohena czy Wysockiego. A może czas wielkich bardów z wolna przemija...?

Wypełnione do ostatka, głównie przez młodą publiczność, sale na łódzkich koncertach i wykupione „na pniu" kasety z nagraniami artysty (w cenie 18 tys. zł) nie potwierdzają na razie tych obaw.

Foto: Wiktor Sawiuk

# Przed jubileuszem

Na marzec **Filharmonia Łódzka im. A. Rubinsteina** zaplanowała obchody 75-lecia własnej działalności. Przewidziano kilka interesujących koncertów jubileuszowych, jestem wszakże zdania, że pierwszy z nich z powodzeniem mógłby odbyć się już teraz, tzn. w bieżącym tygodniu. Dlaczego? To proste. Za historyczny bowiem moment rozpoczęcia pracy kierowanej przez **Tadeusza Mazurkiewicza Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej** (nazwę: **Orkiestra Filharmoniczna w Łodzi** zespół przyjął kilka lat później, w trakcie kadencji nowego szefa, **Bronisława Szulca**) uznać trzeba dzień 17 lutego 1915 roku. Wtedy to, w ówczesnym Teatrze Wielkim przy ul. Konstantynowskiej 16, odbył się debiut przyszłych filharmoników. Dochód przeznaczono na rzecz zubożałych muzyków, nie mających w latach wojny zatrudnienia. Dopiero powodzenie tej właśnie imprezy dało asumpt do dalszych występów w następnym miesiącu, do powołania zarządu oraz uwieńczonych rychło powodzeniem starań o przejęcie Domu Koncertowego przy ul. Dzielnej (chodzi oczywiście o obiekt przy obecnej ul. Narutowicza 20, będący teraz już tylko architektoniczną atrapą — straszydłem). Warto jeszcze dodać, że nie wiadomo, czy powstanie ŁOS byłoby w ogóle możliwe, gdyby nie finansowe wsparcie przemysłowca **Karola Scheiblera**. Podobni sponsorzy z hojną ręką przydaliby się i w naszych czasach — myśli pewnie cierpiący od lat z braku wystarczających dotacji państwowych **dyr. Lasocki** a wraz z nim zubożali, etatowi muzycy z orkiestry.

Często słyszy się twierdzenie, że Łódzka Filharmonia jest drugą, jeśli idzie o staż, placówką w kraju. To prawda. Palma pierwszeństwa należy do orkiestry warszawskiej, zawiązanej w roku inaugurującym obecne stulecie. Ale godzi się przypomnieć, że w tymże 1901 roku również i w naszym mieście zorganizowano całkiem przyzwoity, 50-osobowy zespół o charakterze symfonicznym. Swój 5-letni żywot wiódł on pod patronatem powstałego w 1899 roku **Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego**, którego dyrektorem artystycznym był notabene znany kompozytor **Henryk Melcer** (kolejny obok **Tansmana** czy **Bacewiczówny** wybitny twórca związany z Łodzią, o którym dziś w naszym mieście nie za bardzo się pamięta). Zresztą już w drugiej połowie ubiegłego wieku, w rozpoczynającej swój „bieg do nowoczesności" (wówczas takie określenie miałoby rację bytu) Łodzi przemysłowej istniało kilka niewielkich zespołów muzycznych. Na uwagę spośród nich zasługuje np. ansambl **Roberta Orzechowskiego**, realizujący nawet abonamentowe cykle koncertowe. Wspomnę, że wiele szczegółów dotyczących tego okresu znaleźć można w pracach nieżyjącego już badacza lokalnej kultury muzycznej, **dra Alfonsa Pellowskiego**. Jak się orientuję, spora część jego dorobku naukowego nadal czeka na opublikowanie.

Nasza orkiestra sposobi się zatem do jubileuszu, choć nie będzie on zbyt wesoły. Gdy w 1975 roku obchodzono szumnie 60-lecie, uświetnione wizytą i występem Maestro Rubinsteina, środowisko muzyczne wciąż żyło jeszcze nadzieją i złudzeniami. Może nawet podobnymi do tych, które pojawiły się w roku 1945, gdy łódzcy orkiestranci „wożeni po miastach i mieścinach w rozklekotanych ciężarówkach wojskowych, przebierali zdrewniałymi od zimna palcami. Na wiecach i spotkaniach z przedstawicielami nowej władzy, gdzie czytano Manifest PKWN, grywali wiązanki melodii narodowych." Te słowa pochodzą z wydanej z okazji 60-lecia księgi dokumentującej historię i bogaty dorobek filharmoników. Jest tam także napisane: „Teraz mieszkańcy Łodzi budują swe nowe, piękniejące miasto, miasto przyszłego stulecia. W planach urbanistycznych nie pominięto też Filharmonii. Już za lat kilka otrzyma nowoczesną siedzibę...".

Złudzenia prysły, PRL-owskie władze nie potrafiły dotrzymać i tego przyrzeczenia. Ruina dotychczasowej sali koncertowej i będący jej następstwem koczowniczy status jednego z najlepszych w kraju zespołów symfonicznych w drugim co do wielkości mieście Polski, to obraz kulturalnego skandalu rzeczywiście na miarę minionego 45-lecia. Dziś jest tylko ta satysfakcja, że można o tym swobodnie mówić. Przedtem były zakazy, przedtem potrafił np. przyjść do mnie I sekretarz komórki partyjnej przy FŁ i oznajmić w imieniu władzy, że za karę, za poruszanie drażliwego tematu, nie pojadę nigdy z orkiestrą na tournée jako obsługa prasowa. I, faktycznie, jedynie takie obietnice były dotrzymywane sumiennie.

Cóż, czekamy na jubileusz, bo już nie na szybką poprawę sytuacji. Nowy gmach filharmonii mamy na razie tylko na wybitym niegdyś medalu pamiątkowym z podobizną A. Rubinsteina.

JANUSZ JANYST

# Kronika

Z inicjatywy Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi odbyło się 6 bm. spotkanie przedstawicieli środowisk artystycznych naszego miasta z prezydentem Waldemarem Bohdanowiczem. Debatowano nad sytuacją łódzkiej kultury. Jak powiedział w podsumowaniu dyskusji Waldemar Bohdanowicz: „Wcześniej czy później staniemy przed problemem czy stać nas w Łodzi na wszystkie istniejące instytucje artystyczne". Tej gorzkiej prawdzie trzeba — niestety — spojrzeć w oczy. ▶ Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych odgrywająca znaczącą rolę na mapie kulturalnej naszego kraju obchodziła 6 bm. czterdziestolecie. Z okazji jubileuszu wyróżniający się pracownicy tej wielce zasłużonej placówki dla edukacji naszego społeczeństwa uhonorowani zostali odznaczeniami, odznakami i nagrodami. Wśród odznaczonych znaleźli się m.in.: Wojciech Blomberg — któremu przyznano Krzyż Kawalerski OOP, Wiesław Drymer — Złoty Krzyż Zasługi, Stanisława Błachuta — Srebrny Krzyż Zasługi, Stanisław Trybura — Brązowy Krzyż Zasługi. Pamiątkowy Medal otrzymała WFO od senatu PWSFTviT w Łodzi za zasługi położone dla tej uczelni. Jubilatce życzymy wielu nowych sukcesów. ▶ Nadzwyczaj atrakcyjnie zapowiadają się tegoroczne plany programowe Muzeum Historii Miasta Łodzi. Najciekawszą bezsprzecznie imprezą — o charakterze międzynarodowym — będą galowe, wielkie uroczystości, związane z otwarciem Galerii im. Artura Rubinsteina (20—22 kwietnia br.). Zbiegną się one z przekazaniem muzeum 14 odnowionych sal w najstarszej części byłego pałacu Poznańskiego. Przygotowany został już scenariusz oraz opracowana koncepcja stałej wystawy: „Łódź — historia, kultura, codzienność...", z wykorzystaniem nowych, odrestaurowanych pomieszczeń w skrzydle od ul. Zachodniej. Planuje się też otwarcie ciekawej ekspozycji literackiej, poświęconej spuściznie po Marianie Piechalu (bogata dokumentacja epistolograficzna, książki, zapisy magnetofonowe). Kontynuowany będzie w MHML cykl pn. „Salonowe potyczki", z udziałem m.in. Szymona Kobylińskiego, Zygmunta Kałużyńskiego, Krzysztofa T. Toeplitza, Aliny Janowskiej i Bohdana Tomaszewskiego. W okresie letnim, w części ogrodowej, zorganizowany zostanie happening pn. „Artysta wobec miejsca". ▶ W ramach cyklu „Premiery muzealne", zaprezentowany został w kinie ŁDK nie znany film Krzysztofa Kieślowskiego pt. „Krótki dzień pracy". ▶ Kolejny wieczór z wielce interesującego cyklu „Sagi Łódzkie", któremu patronuje TPŁ, odbył się 5 bm. w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Tym razem poświęcony był on dziejom rodu i fortuny Poznańskich. ▶ W lokalu Łódzkiego Oddziału SARP, 7 bm. odbyła się uroczystość wręczenia nagród wyróżniającym się łódzkim architektom. Nagrodę Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Architektów Polskich za całokształt twórczości w 1989 r. otrzymał Witold Millo. Dyplomy wręczono również zwycięzcom konkursu SARP na projekt roku: Markowi Lisiakowi i Maciejowi Musiałowi. Gratulujemy. ▶ Rozstrzygnięty został konkurs na powieść sensacyjno-kryminalną, ogłoszony w 1988 r. przez Krajową Agencję Wydawniczą, Oddział w Łodzi. Jury przyznało jednogłośnie I nagrodę Janowi Bąbińskiemu, łódzkiemu dziennikarzowi, współpracującemu z naszym tygodnikiem, za powieść „Mord przy rue de Sueur". Serdecznie gratulujemy! ▶ Na noworocznym spotkaniu Zespołu Starszych Dziennikarzy łódzkiej prasy, radia i telewizji, w Klubie Dziennikarza, tradycyjnym zwyczajem uhonorowano seniorów, którzy w tym roku ukończyli bądź ukończą 75 lat. Okolicznościowe adresy urodzinowe, sygnowane przez przewodniczącego Zarządu Głównego SD RP Artura Howzana, otrzymali redaktorzy: Krystyna Wyrzykowska, Stanisław Gromiec, Marian Jeżewski, Władysław Płoszyński i Jan Sawicki. Życzymy wszelkiej pomyślności! ▶ Emisję codziennych programów rozpoczęła 6 bm. we Wrocławiu pierwsza w Polsce prywatna stacja telewizyjna „Echo". W początkowym okresie program tej stacji emitowany będzie przez cztery godziny dziennie, na 28 kanale. ▶ Nakładem Wydawnictwa „Alfa" ukazała się rewelacyjna publikacja pt. „Zmowa. IV rozbiór Polski" — opracowana przez Andrzeja Leszka Szcześniaka. Zawiera ona bogatą dokumentację źródłową i fotograficzną dotyczącą paktu Ribbentrop — Mołotow. Autor opracowania ujawnia też w obszernym wstępie wiele zakulisowych, nie znanych szczegółów związanych z zawarciem tego układu.

Opracował: JAK

# Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Rzymu" uznano za bestseller literacki nie tylko we Włoszech, ale w skali światowej i że do edycji tej powieści przygotowuje się kilka renomowanych oficyn wydawniczych w świecie.

## OCALONE

Przez długie lata **„Dzienniki" Michała Bułhakowa** uważane były za zaginione. Ostatnio opublikował je jednak tygodnik „Ogoniok". 7 maja 1926 r. w mieszkaniu pisarza przeprowadzona została rewizja: zabrano dwa rękopiśmienne egzemplarze opowiadania **„Psie serce"** oraz trzy zeszyty **„Dzienników"**. Pisarz, który zdawał sobie sprawę z nadciągającego zagrożenia, nie zamierzał jednak ustąpić i 24 czerwca złożył pierwsze odwołanie. Nie przyniosły także skutku czynione na prośbę Bułhakowa interwencje innych osób, m.in. Gorkiego.

Był to początek najtrudniejszego okresu w życiu pisarza. Bułhakow, który zyskał już popularność u czytelników, skazany został na milczenie. Nie wolno było ani drukować jego utworów, ani grać w teatrach jego sztuk. Stan ten doprowadził pisarza ostatecznie do dramatycznej decyzji wyjazdu ze Związku Radzieckiego. I właśnie, wkrótce po złożeniu podania o wyjazd za granicę — 3 października 1929 r. „Dzienniki" zostały zwrócone autorowi. Jednak znajdujący się w depresji pisarz zniszczył je, podobnie jak pierwszy wariant swej powieści o Chrystusie.

Bułhakow spalił „Dzienniki", które przeleżały na Łubiance przeszło trzy lata. Ale jak się obecnie okazało, ich tekst nie zaginął. Ocalili go właśnie funkcjonariusze GPU, którzy przed oddaniem autorowi dokładnie skopiowali, a złożona w archiwach kopia dotrwała do naszych czasów. Jeszcze jeden z bułhakowskich cudów — stwierdzają dziś miłośnicy twórczości autora **„Mistrza i Małgorzaty"**.

## BYLI ZAKŁOPOTANI

„W kongresie moskiewskim powiedział **Jacques Le Goff**, rektor Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, zdobywca kolejnej nagrody literackiej **„Il Premio Tevere"** — wzięli udział radzieccy historycy wszystkich orientacji zarówno ci, którzy nigdy nie zgadzali się z linią ideologiczną marksizmu-leninizmu, jak nastawieni bardziej zachowawczo. Otóż wszyscy — czy to powodowani modą czy to własnymi przekonaniami — opowiedzieli się za odejściem od marksistowskiego dogmatyzmu. Uderzyło mnie przede wszystkim jednomyślne potępienie oficjalnej ideologii, która narzuciła pewien sposób przedstawiania własnej historii. Wszyscy stwierdzili, że najpilniejszym obecnie zadaniem jest przemyśleć historię ZSRR od początku... Wszystko staje w miejscu, gdy dochodzi się do Lenina. Rozprawiano się z dogmatem marksizmu i materializmu historycznego, ze stalinizmem i poststalinizmem, i to o wiele radykalniej niż się sądzi. Ale Lenin wciąż pozostaje tabu. Może historycy, podobnie jak politycy, uważają, że nie należy obalać wszystkich pewników przeszłości jednocześnie. Zwlekają więc. Gdy powiedziałem im, że obalenie mitu Lenina jest konieczne, by pieriestrojka do końca spełniła swe zadanie, byli bardzo zakłopotani..." **(„Forum")**

# Galeria pisarzy

KONRAD FREJDLICH

Rys. Sławomir Arabski

Fakty i dane, które warto poznać.

# Policji nikt nie kocha...

**Rozmowa z generałem MARKIEM OCHOCKIM — szefem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi.**

**Stan bezpieczeństwa jest zły. Zrodziły się nowe zagrożenia. Jak pan to ocenia?**

— Ewidentny wzrost przestępczości nie jest w Łodzi zjawiskiem odosobnionym. Podobne zjawiska występują w całej Polsce. W 1989 roku przestępczość wzrosła o prawie 32 proc. w stosunku do 1988 r. Zmniejszyła się ich wykrywalność. W aglomeracji łódzkiej o 65 proc. więcej wszczęto spraw aniżeli w 1988 r.

**— Jak to wygląda w liczbach bezwzględnych?**

— Są to 22 472 przestępstwa. Wykrywalność zmniejszyła się z 73,7 proc. do 44,3 — o 29,4 proc. Wzrosło więc zagrożenie, ale też i nasze możliwości skutecznego działania są z każdym rokiem coraz gorsze. Wynika to z postępującej anarchizacji życia społecznego we wszystkich prawie dziedzinach. Rośnie zacofanie techniczne, pogarsza się wyposażenie w środki skutecznego zwalczania przestępczości. W 1989 roku dały o sobie znać wyjątkowo dotkliwe braki kadrowe. Bardzo wielu funkcjonariuszy odeszło z czynnej służby, szczególnie dzielnicowych, inspektorów służb kryminalnych i operacyjno-dochodzeniowych. Odeszli z różnych przyczyn. Jedni na emeryturę, inni po 10, 12 latach służby. Odeszli ludzie, którzy poznali rzemiosło, element przestępczy. Ludzie najbardziej pożyteczni. Nie wytrzymali presji społecznej, złej atmosfery wokół milicji tworzonej wszędzie, przypominającej nagonkę. Odchodzili w następstwie licznych, nie zawsze przemyślanych wypowiedzi na posiedzeniach Sejmu, Senatu, w innych gremiach, mało precyzyjnych, powiedziałbym w formie plotkarskiego ujmowania spraw mających zupełnie inny wymiar. Odchodzili też z powodu niskiego uposażenia...

**— Panuje powszechne przekonanie, że jesteście najlepiej uposażeni.**

— Wokół naszego uposażenia krążą mity, tymczasem ciągle nie nadążamy za średnią krajową! To powodowało ogromne trudności z naborem.

Wróćmy jednak do stanu zagrożenia. Może powiem rzecz bardzo niepopularną, ale poselska ocena organizacji ORMO, w moim osobistym przekonaniu, była wysoce krzywdząca. Nie wolno tak oceniać ludzi za 40 lat pracy społecznej. Nie padł ani jeden głos w jej obronie za tyle lat pracy w ruchu drogowym, w przeciwdziałaniu przestępczości nieletnich, w niesieniu pomocy dzieciom, rodzinom. To jest dorobek, którego nie powinno się przekreślać. Ta 300-tysięczna organizacja funkcjonowała przy minimalnych dotacjach resortu, a wspierała nas w różnych dziedzinach, szczególnie w służbie patrolowej. W jednostkach pełniących służbę patrolową liczba funkcjonariuszy nie jest duża, to znikomy procent. Przy czym obciążeni są dodatkowo, bez regulacji prawnej, przez instytucje różnymi doprowadzeniami, wywiadami dla sądów, komorników, instytucji, zadaniami, które nie wchodzą w zakres naszych obowiązków.

**— Czy dlatego nie widuje się dzielnicowego w miejscu zamieszkania?**

— Między innymi. Miasto podzielone jest na 380 rejonów, czyli jeden dzielnicowy przypada na około 3 tys. mieszkańców. To jest wielkość optymalna, aby dzielnicowy mógł znać mieszkańców, ich problemy, kłopoty, mógł nieść skuteczną pomoc i zabezpieczać podległy mu teren. W tej chwili brakuje nam około 30 dzielnicowych. Wymagamy od dzielnicowego dużego doświadczenia życiowego, zawodowego. Dzielnicowy bardzo często rozstrzyga drobne, lecz życiowe sprawy ludzi. Trzeba dzielnicowego odpowiednio przygotować, wyszkolić...

**— Według rozpowszechnianych opinii ORMO służyła systemowi. Jak pan to ocenia?**

— Nie ma na świecie organów policyjnych, które by nie miały pomocników, ludzi z nimi współdziałających. Nie w znaczeniu konfidencjonalnym, opłacanych, ale działających społecznie. W każdym państwie różnie się ci ludzie nazywają: w Berlinie Zachodnim np. jest organizacja ochotników policji, są umundurowani, uzbrojeni, posiadają środki przymusu. Są opłacani przez zarząd miejski. Policyjne służby pomocnicze są w Anglii, we Francji. Jest to kapitał ludzki, bez którego żadna policja nie może się obejść, ponieważ jej siły są z reguły niewielkie, ograniczone możliwościami płatniczymi państwa. W naszym przypadku te 300 tys. ludzi w skali kraju służyło, według mojej oceny, jak najlepiej w umacnianiu ładu, bezpieczeństwa państwa i porządku. A ponieważ działali w systemie, który obowiązywał przez 45 lat, więc byli w jakimś stopniu wytworem tego systemu. Nie znaczy to, że można jednoznacznie przekreślać wszystko to, co ci ludzie robili.

**— Co wpływa na pogorszenie się stanu bezpieczeństwa?**

— Wiele czynników. Braki rynkowe, które powodują, że każdy towar zbywany jest na czarnym rynku. Przykładem — nagminne włamania do samochodów, kradzieże opon, akumulatorów, które natychmiast sprzedawane są na bazarach. Żaden z nabywców nie pyta sprzedającego skąd ma towar, choć nietrudno się domyślić, że w wielu przypadkach pochodzi z kradzieży. A zatem kupujący akceptuje po cichu taki proceder i zrzuca odpowiedzialność na milicję. Ludzie zgłaszają do nas pretensje, że nie interweniujemy na bazarach. Nie możemy przecież co niedzielę organizować „bław" i „nalotów" Dopóki nie zniknie krąg społecznego przyzwalania, przymykania oczu na taki proceder uprawiany m.in. na bazarach, sama milicja nie będzie się w stanie z nim uporać. Owszem, społeczeństwo jest uwrażliwione, ale na niektóre tylko grupy przestępstw — na przypadki zabójstw, zgwałceń, na przestępstwa szczególnie odrażające, wtedy możemy w 100 proc. liczyć na pomoc. Natomiast kradzież, spekulacja, handel alkoholem, jego produkcją — z tym już bywa różnie.

**— Ilu ludzi wyszło po amnestii z więzień?**

— Z zakładów karnych wyszło 17,5 tys. osób. Dwa lata wstecz w zakładach karnych przebywało około 120 tys. osób. Kolejne amnestie zmniejszyły liczbę przebywających w zakładach karnych do 56 tys., obecnie do 30 tys. Owe 56 tys. osób przebywających w zakładach karnych sytuowało nas na poziomie Francji.

No, ale cóż. Niewiele czasu upłynęło od ostatniej amnestii i wielu przestępców zdążyło już wrócić do zakładów karnych. I wielu jeszcze wróci! Może powiem rzecz niepopularną, choć, jak sądzę, wielu myśli podobnie: sposób reakcji więźniów w zakładach karnych — zdemolowane zakłady, 64 miliardy strat, kilka ofiar śmiertelnych (część zginęło w wyniku przywracania porządku przez służbę więzienną, lecz część w wyniku... samosądów!), wszystko to świadczy o tym środowisku! A przecież za te 64 miliardy strat będzie musiało zapłacić społeczeństwo.

**— Wielu ludzi boi się tych, którzy wyszli z więzień.**

— Może nie powinni bać się wszystkich jednakowo, lecz obawy te są niekiedy uzasadnione.

**— Jak to wygląda w Łodzi?**

— Mamy już kilkadziesiąt takich przypadków. Podobnie jest w innych rejonach. Oto wiadomość z Dolnego Śląska: człowiek zwolnionych z zakładu karnego pierwsze kroki skierował do kościoła w Zagrodnie okradając go z licznych przedmiotów liturgicznych. Zatrzymany powrócił do więzienia. Z Tomaszowa Mazowieckiego — ojciec wrócił z więzienia i pierwsze, co zrobił, zgwałcił... córkę. W Łódzkiem przypadki włamań, kradzieży...

Nie jestem przeciwko amnestii, uważam jednak, że powinniśmy się kierować rozsądkiem. Ludzie, którzy przypadkowo znaleźli się w zakładach karnych, proszę mi wierzyć, opuścili je po kolejnych aktach łaski — w 1988, na początku 1989 roku. Ten ostatni akt uczyniony był „na siłę" i takie są jego skutki.

**— Ile osób, w naszym przypadku, opuściło zakłady karne?**

— Według danych, którymi dysponujemy — 318. Tylu mieszkańców Łodzi opuściło zakłady karne do 1 stycznia 1990, tylu powróciło do miasta, choć nie wszyscy zgłosili się do jednostek MO, mimo nałożonego obowiązku. Oczywiście, innymi danymi może dysponować sąd, PCK, który udziela pomocy. W PCK mógłby pan niejednego się dowiedzieć, jak to jeden ze zwolnionych zażądał pieniędzy na taksówkę, którą przyjechał i zamierzał jechać dalej, bowiem był bardzo... zmęczony. Zażądał więc należnej mu pomocy charytatywnej...

**— W sytuacji, kiedy biednym oferuje się zupki, te 64 miliardy strat nabiera szczególnej wymowy. Mimo to uważam, że winniśmy dać tym ludziom szansę.**

— Oczywiście, trzeba pomóc, aby w sposób rozsądny zaczęli nowe życie. Jednakże nie wolno przymykać oczu na to np., że na ponad 20 tys. wolnych wówczas miejsc pracy, zgłosili się po nią jedynie bardzo nieliczni!

**— Czy zmiany, jakie zachodzą w naszym życiu odczuwalne są też w milicji?**

— Odczuwalne pod każdym względem. W miarę jak będziemy się europeizowali, przechodzili do świata o innej gospodarce, będziemy również, niestety, przejmowali zarówno dobre, jak i złe uwarunkowania tego świata. Zmieni się więc struktura przestępstw, grupy przestępcze, gangi, ich międzynarodowe powiązania. Już mamy do czynienia z „nowymi" przestępstwami, że wspomnę wrocławską spółkę „Wartex", która w krótkim czasie naciągnęła ludzi na 4 miliardy złotych i pewną sumę dolarów. Cóż z tego, że prezes i członkowie zarządu siedzą w więzieniu, skoro ludzie zostali oszukani i nikt im pieniędzy nie zwróci. Musimy nauczyć się zwalczać nowe rodzaje przestępstw, poznawać nowe czynniki kryminogenne...

**— Nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie.**

— Korzystamy z doświadczeń innych. Wbrew pozorom, czy to jest policja państwa o wysokiej demokracji, metody działania są podobne, struktury także. Musimy nauczyć się rozpoznawać zjawiska i przystosować się do skutecznego ich zwalczania. Nie ważą one jeszcze na polskiej przestępczości, ale przypłyną i do nas.

**— Czy macie kontakty z policjantami innych państw?**

— Nigdy nie straciliśmy kontaktu z zagranicą, zawsze mieliśmy dopływ literatury fachowej, a pewne ogniwa zajmowały się śledzeniem tych zjawisk na świecie. Z tym, że o niektórych przestępstwach słuchaliśmy jak opowieści o żelaznym wilku. Inne zaś u nas występujące nie znane były na Zachodzie. Jednakże większość stanowi przestępczość kryminalna, taka sama w każdym kraju: zabójstwa, napady, włamania, kradzieże. U nas np. już pojawiły się gangi międzynarodowe, które dokonywały kradzieży samochodów, nawet w Stanach Zjednoczonych, przerzucając je do Polski. Mamy więc przestępców, którzy światowo niejako myślą i działają. Musimy się do tego przystosować. Wracamy do Interpolu... Powiem może rzecz niepopularną, za którą wiele osób mnie zgani; otóż uważam, że milicja polska do dobra formacja, wbrew temu, co się o niej mówi. Jest to dobrze zorganizowany aparat policyjny...

**— To dlaczego jest tak krytykowana?**

— Bo działała w określonym systemie. Lecz w miarę możliwości aparat ten dobrze wykonywał swoje funkcje. To, że przez wiele lat mieliśmy spadek przestępczości, a wręcz zanik niektórych grup, których w Polsce już nie ma, choć występowały kilkadziesiąt lat temu, że była wysoka wykrywalność — to nie były statystyczne retusze. Był to sprawnie funkcjonujący aparat i jednoznaczne przekreślenie jego dorobku jest rzeczą najmniej rozsądną. Nie wolno psuć mechanizmu, który dobrze funkcjonuje, można go jedynie doskonalić. I nie wiem, czy sama zmiana nazwy milicji na policję cokolwiek rozwiąże. Po prostu trzeba ją dostosować do nowych warunków działania, które niesie ze sobą rok 1990 i myśląc już o roku 2000.

**— Czy zmieniając nazwę będziecie w stanie odbudować zaufanie społeczeństwa?**

— Nie wiem, czy sama zmiana nazwy spowoduje, że automatycznie już następnego dnia noszeni będziemy na rękach albo — jak pisze „Gazeta Wyborcza" — od momentu jak milicjanci w Piekarach Śląskich zdali legitymacje partyjne, od tego dnia inaczej patrzy na nich społeczeństwo. Mam pewne obiekcje.

Mnie np. nazwa: Policja Państwowa nie odpowiada. Policja Państwowa miała w swojej tradycji pięć lat kolaboracji z okupantem, ewidentnej współpracy z wrogiem. I tego nic nie zatrze. Czy sama nazwa „policja" nie wystarczy. Tak jest na całym świecie. Nie ma „policji francuskiej", „policji angielskiej". Jest po prostu: policja. Przepraszam, ale to są moje osobiste odczucia.

Gdy idzie o odbudowę zaufania — to myślę, że jest to niemożliwe na fali tego, co się teraz dzieje. Tworzony oddolnie milicyjny ruch związkowy — a jego namiastką były rady funkcjonariuszy, które nie zyskały większego poparcia. Może wreszcie powstanie organizacja związkowa broniąca nie tylko interesy poszczególnych funkcjonariuszy, ale i milicji w ogóle, jej dobrego imienia, resortu. Ale i ten ruch nie stanowi panaceum na wszystkie dolegliwości. Bo nie jest znów prawdą to, co piszą w wielu gazetach, co mówi się, że we wszystkich organizacjach policyjnych na świecie funkcjonują związki zawodowe. W Europie jedną z nielicznych jest policja zachodnioniemiecka, która ma związki zawodowe. We Francji, Anglii są jedynie pewne piony, których funkcjonariusze mają prawo zrzeszania się. Nie mówiąc już o policji politycznej, która nigdzie nie ma takiego prawa. Podobnie karabinierzy nie mają takiego prawa. Przede wszystkim wymagana jest dyscyplina. I to wszystko. Uprawiamy tanią demagogię, stosujemy tanie chwyty, ale czemu to ma służyć? Skoro powiadamy, że zaczynamy mówić tylko prawdę, więc powiedzmy, jak to naprawdę jest z organizacjami ochotników policji, które są wszędzie. Jak jest w policjach na świecie, jak było u nas...

**— A jak było i jak jest na świecie?**

— Może to truizm, ale trzeba to powiedzieć: policji nikt i nigdzie na świecie nie kocha, mimo że ją w wielu państwach szanują. Szanują przede wszystkim na podstawie wieloletniej tradycji, jak np. w Wielkiej Brytanii; na podstawie skrupulatności, precyzji działania i bezwzględności — jak w Stanach Zjednoczonych, jak to jest, na zasadzie wrodzonej dyscypliny u Niemców. U nas policja nigdy nie była kochana, a jej tradycje są niewielkie. Została stworzona w 1919 roku, początkowo jako milicja, potem dopiero stała się policją. W Łodzi również pierwszym organem strzegącym ładu i bezpieczeństwa była, powołana przez PPS 13 listopada 1918 r., Milicja Ludowa. Obok niej istniały milicje miejskie. Dopiero 9 stycznia 1919 r. wchodzi w życie dekret o Policji Komunalnej, podlegającej władzom miejskim. 24 lipca 1919 r. wydano ustawę o powołaniu Policji Państwowej, jako organu wykonawczego władz państwowych i samorządowych. W miesiąc później powołano sześć komend okręgowych Policji Państwowej, przemianowanych w pięć lat później na komendy wojewódzkie PP. W okresie międzywojennym policja w Łodzi liczyła około 3 tys. funkcjonariuszy, nie licząc oczywiście rezerw.

**— Jakich rezerw? Co to było?**

— Oddziały rezerwy policyjnej powołał Prezydent RP w 1936 r. Była to służba przygotowawcza dla kandydatów do policji. Minister Władysław Raczkiewicz stworzył pięć kompanii rezerwy policyjnej do specjalnych zadań w służbie bezpieczeństwa państwa. Trzy kompanie stacjonowały w Warszawie, po jednej w Łodzi i w Częstochowie. Tego samego roku powołano siedem kompanii, potem osiem, dziewięć. W 1938 r. było już ich dziesięć, w rok później — jedenaście, potem dwanaście. Nie były one wliczane w siły policyjne, w ogólną statystykę. Istniały także trzy szwadrony rezerwy policyjnej powołane w 1938 r., a w rok później — dalsze dwa szwadrony. Rok wcześniej w szkole policyjnej w Mostach Wielkich powołano kompanię do specjalnych zadań. Taktykę dla tych jednostek określał minister w porozumieniu z komendantem głównym PP. Słynny jest rozkaz gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego z 1937 r., który zabraniał dzielenia kompanii na plutony, bo „w akcji przeciwko tłumowi — jest to dosłowne stwierdzenie — kompania stanowi najniższą jednostkę taktyczną". A wszystko po to, aby tłum nie bił policjantów.

**— A jaka była struktura policji politycznej?**

— W r. 1921 powstał w Komendzie Głównej Wydział IV D, a w terenie jego ekspozytury i agentury. Zadania cytuję dosłownie: „Walka ze szpiegostwem, komunizmem i akcją antypaństwową w ogóle". Policja polityczna miała więc zadanie inwigilowania całego, legalnego i nielegalnego, politycznego i związkowego ruchu robotniczego. W 1924 r. następuje likwidacja tego wydziału, a w jego miejsce powstaje policja polityczna, której zadaniem jest: śledzenie wszelkich przejawów życia politycznego i społecznego oraz ściganie sprawców czynów, które ze względu na swój charakter, tendencje lub taktykę zagrażają całości ustroju Rzeczypospolitej. Pracą policji politycznej zajmował się wydział V Komendy Głównej PP. Po pięciu latach zlikwidowano ją i wcielono do służby śledczej, wtedy to powstała słynna „Defa", której sposób działania pamięta wielu spośród żyjących w Polsce, nie tylko komunistów...

**— Jak liczebna była policja?**

— 1 listopada 1922 r. w Łodzi było 2.947 policjantów, w Polsce zaś — 49.388 funkcjonariuszy PP, nie licząc wspomnianych kompanii, szwadronów i innych, rzecz zrozumiała nie ujawnianych funkcjonariuszy.

**— Wspomniał pan o „Defie". Co to było?**

— Podam panu dość wymowne szczegóły: od 1918 do 1939 roku w Polsce miały miejsce 18 362 strajki, które objęły 142 248 przedsiębiorstw. W strajkach wzięły udział 8 600 702 osoby, w ich wyniku utracono 62 119 313 dni robocze. Policja interweniowała w 1 443 strajkach...

**— Czyli rozpędzała?!**

— Oczywiście. W czasie rozpędzania... zabito 141 osób. W samych tylko akcjach strajkowych, bowiem w dwudziestoleciu międzywojennym policja zastrzeliła około 500 osób. A tak między nami: nie przypominam sobie jakoś ani jednego pomnika, upamiętniającego tamte ofiary. Ale to już inna kwestia. Rannych — w wyniku tych akcji policyjnych — było ponad 2 tys. osób, aresztowanych — 5 tys., zwolnionych z pracy na skutek akcji strajkowych i represji postrajkowych — 24 952 osoby z 4 256 zakładów. Są to dane bardzo ścisłe...

**— Przyznam się, że zaskoczył mnie pan! Okazuje się, że żyjemy w świecie pełnym mitów i legend.**

— Sądzę, że są one preparowane w określonym celu. Mam świadomość, że za to, co powiedziałem, spotka mnie surowa krytyka, ale są to fakty, których nie da się ukryć. A skoro tak, to trzeba je znać, tak jak trzeba mówić: aparat policyjny robi to, co do niego należy; na całym świecie! Nie ma żadnego aparatu policyjnego, który by nie miał policji politycznej zajmującej się inwigilacją określonych ruchów społecznych, politycznych, działalnością partii i wszystkim, co może szkodzić państwu, jego ustrojowi. Wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną te obszary życia są nadzorowane i kontrolowane...

**— Również rejony przestępczości. Zatem czy zna pan łódzki światek przestępczy?**

— Myślę, że tak, pracowałem tutaj prawie całe życie. Służbę rozpocząłem od najniższych funkcji w służbie kryminalnej, do zastępcy naczelnika tego wydziału, potem komendanta dzielnicy Łódź-Śródmieście. Sądzę więc, że mam dobre rozeznanie.

**— Pomówmy o konkretach.**

— W aglomeracji zamieszkuje około 30 tysięcy osób, które w różnym wymiarze miały kłopoty z prawem i o których trzeba pamiętać. Jest wśród nich około 220 zabójców, około 3,5 tys. bandytów...

**— Jak to zabójców, bandytów? Na wolności?**

— Oczywiście, ci ludzie odbyli kary i żyją teraz wśród nas. Jest także 4600 włamywaczy, około 8 tys. złodziei.

**— Zawodowych?**

— Karanych nie po raz pierwszy. W związku z tym milicja musi o nich pamiętać. Mamy też około 1000 gwałcicieli, około 1 500 prostytutek, około 400 narkomanów i około 2 500 nieletnich przestępców, z którymi w różnym wymiarze mieliśmy kłopoty. Spośród nich wszystkich jest około 2 500 osób, które wielokrotnie weszły w kolizję z prawem. Najgroźniejszych jest około 800 osób, które są pod stałą pieczą milicji. To jest to zaangażowanie, którego nie widać na co dzień. Dlatego być może nie ma milicjanta, który powinien chodzić w patrolu, bo musi permanentnie kontrolować określone miejsca, skupiska elementu przestępczego. Proces wykrywczy — to żmudna praca, polegająca na obserwacjach, zasadzkach, rozpoznaniu, na stosowaniu różnej techniki. To, że prawie 45 proc. spraw udało nam się w 1989 roku wykryć — przy takim mnóstwie kłopotów — to wcale niezły wskaźnik, skoro Scotland Yard ma 42 proc., a policja RFN w sprawach np. kradzieży 20—24 proc. wykrycia...

**— A jak wyglądamy w innych porównaniach?**

— W Polsce mamy 1 250 przestępstw na 100 tys. mieszkańców, w Anglii — 6 577, w Austrii — 5 156, w Danii — 8 100, w Finlandii — 10 846 (w tym wypadku mogą być liczone takie przestępstwa, które u nas znane są jako karno-administracyjne, to zależy od kwalifikacji). Dalej w Holandii — 6 370 przestępstw na 100 tys. mieszkańców, Norwegii — 3 610, w RFN — 6 963, Szwecji — 11 244, USA — 5 443, Japonia ma bardzo mały wskaźnik — 1 287. Wykrywalność natomiast przedstawia się tak: w RFN — 45,6 proc., czyli na poziomie łódzkiej milicji w 1989 r., za to kradzieży już tylko w 30 proc., napady — 20 proc., włamania — 50 proc. Włochy — 30,6 proc. wykrywalności, 26 proc. kradzieży, a 30 proc. włamań. Wielka Brytania — 37 proc., 34 proc. kradzieży, 22 proc. włamań, 29 proc. rozbojów i napadów. Dania — 14 proc. wykrywalności sprawców kradzieży, 47 proc. włamań i 15 proc. napadów. Japonia ma najwyższe wskaźniki wykrywalności — 63,4 proc. Tak więc na tym tle mogę powiedzieć, że nie jesteśmy najgorsi.

**— Skąd te dane?**

— To są dane Interpolu!

W 1989 r. w Polsce stwierdzono 547 589 przestępstw, natomiast w 1938 r. — 545 905, czyli prawie idealnie podobne wskaźniki. Różnice zachodzą w poszczególnych grupach przestępstw: np. w 1938 r. — 1 658 zabójstw, zaś w 1989 roku — 556. Są kategorie przestępstw, które w ogóle zginęły — dzieciobójstwa 802 przypadki w 1938 r., fałszerstwo dokumentów — 4 697, oszustwa — 27 077 przypadków. Są kategorie, które dzisiaj prawie nie występują. Fałszerstwa pieniędzy — 1 393 przypadki w 1938 r., porzucenie dziecka — 2 475, albo w mniejszej skali, samobójstwa, których było wtedy 4 347 przypadków.

**— Dziękuję panu za przybliżenie spraw, o których niewiele się wie i mówi.**

**Rozmawiał:**
**MARIAN ZDROJEWSKI**

Fragmenty książki wydanej przez „Aneks" w Londynie w 1987 roku (3)

# Zapis protestu

JERZY KROPIWNICKI

*23 kwietnia, Niedziela Wielkanocna, 32 dzień głodówki ciągłej*

Budzę się na długo przed pobudką. W celi jest dosyć jasno. Słońce wschodzi bardzo wcześnie. Leżę w łóżku twarzą do okna. Niebo błękitne. Słychać ćwierkanie ptaków. Cicho, spokojnie. Nie słychać jeszcze normalnego życia więziennego — szczęku zamków i krat, tupotu kolumn więźniów, okrzyków strażników, dźwięków dzwonków, hałasu samochodów ciężarowych oraz bud „do transportu skazanych". Wiosenny, pogodny poranek niedzielny.

Jest mi dobrze. Leżę pod trzema kocami i podwójną warstwą gazet włożoną między koce. Przy każdym ruchu rozlega się cichy, stłumiony szelest papieru. Jest mi ciepło. Z najwyższą niechęcią myślę o tym, że trzeba będzie wstać. Jeszcze nie teraz.

Słyszę kroki na dziedzińcu, popiskiwanie, jakieś strofująco-uspokajające słowa. To chyba strażnik odprowadza psy po „nocnej służbie". Trzask otwieranej bramy, głosy kobiece, ostry stukot kroków — przychodzi personel szpitala więziennego i przychodni. Częstotliwość trzasków otwieranej i zamykanej bramy zwiększa się. Rośnie gwar głosów, zwiększa się tempo kroków. Główna fala przeszła. Trzaski bram rzadsze, kroki szybsze — to „spóźnialscy" z dziennej zmiany — strażnicy, personel administracyjny, pielęgniarki, lekarze...

Słyszę dzwonek telefonu w dyżurce, odległy odgłos wyrazów do słuchawki. Potem kroki na korytarzu, milknące w dosyć regularnych odstępach. Pobrzękiwanie kluczy niesionych w ręku, szmer odsuwanych kukli — w tej ciszy słychać to niezwykle wyraźnie. Kroki zamierają pod moją celą — bryzg światła, szmer kukla i kroki oddalają się. Uśmiecham się.

Po co zapala światło, przecież już dzień, widać wnętrze celi. No tak, pewnie regulamin... Może na „kogucie" (wieża strażnicza na murze więziennym) prowadzą kontrolę nocnych „kuklowań"? Lepiej zapalić światło w dzień niż potem wyjaśniać, czy było „kuklowanie" (zaglądanie do cel), czy też nie. Obchód skończony. Otwiera sąsiednie drzwi. Z prawej strony.

Budzi kalifaktorów. Słychać zaspane głosy budzonych i łajanki strażnika. Dźwięk kotłów. Szczęk otwieranej kraty kończącej korytarz. Słyszę ich jak idą dziedzińcem pod oknem. Dzwonek. To brama. Nie. Wejście do naszego oddziału. Szybkie kroki, szczęk zamka, głośne powitania. Zmiana służby. Niedługo pobudka. Jeszcze chwilę poleżę...

Szczęk zasuw, zapalanie świateł w celach. Trzeba wstać. Zanim się umyję, ogolę, posiedzę na muszli, przygotuję herbatę, wypiję — to akurat będzie transmisja radiowa mszy. Poza tym — zapowiedziano wczoraj mszę, ale nie podali, o której. Mogą wpaść na pomysł zrobienia jej dla nas o 8. Wprawdzie do tej pory organizowali mszę w godzinach popołudniowych — ale kto ich wie.

Chciałbym mieć przedtem „rozruszany" organizm. Wstaję. Uwinąłem się ze wszystkim przed 9. Stolca nie było mimo moich wysiłków. Przy goleniu (bardzo długa obecnie operacja) zaciąłem się tylko cztery razy. Wypiłem herbatę. Zapaliłem papierosa. Początek transmisji zastał mnie umytego, ubranego, rozgrzanego herbatą, przy stoliku „do nauki".

Po mszy słyszę kroki na korytarzu, głos Stańskiego, potem Patryka, Piotrka. Prowadzą ich kolejno do „dwójki". Czekam na swoją kolej. Minuty mijają — nic się nie dzieje. Co jest? Naciskam dzwonek. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

Oddziałowy (jakiś nowy), oficer i jeszcze kilku funkcjonariuszy. Oficer wyjaśnia, że pójdę w „drugiej turze". Dziewięciu na „dwie tury" — absurd. Chyba nie „robią numeru"? Czekam cierpliwie. Wreszcie słyszę, wykrzykiwane „Boże, coś Polskę". Głos Patryka słychać wyraźnie. Tadka i Piotrka — słabiej.

Odprowadzają ich. Teraz nasza kolej. Nasłuchuję: Andrzej, Romek, Leszek. Otwierają się drzwi — na mszę!

Na korytarzu rewizja. Obmacują, sprawdzają zawartość kieszeni, przeglądają książeczki do nabożeństwa. Prowadzą do „dwójki". Witam się z kolegami, z zakonnikiem. Romek krząta się przy ołtarzu. Rolę tę spełnia stolik ze specjalnymi podstawkami — żeby był wyższy...

„Dwójka". Mieszkaliśmy w tej celi w sześciu: Andrzej, Władek, Piotrek, Patryk, Mundek i ja.

Wówczas, na jesieni ubiegłego roku, była to jedyna skanalizowana cela na oddziale. Przed nami mieszkali tu więźniowie — pracownicy kartoteki. Nas przeniesiono po zakończeniu tamtej osiemnastodniowej głodówki. Zgodziliśmy się na to, jako na rozwiązanie prowizoryczne, po otrzymaniu przyrzeczenia (dotrzymanego), że w ciągu miesiąca zostanie skanalizowany cały oddział.

„Dwójka" jest celą o rozmiarach nieco większych niż półtora „standardowej" na tym oddziale. Powstała przez rozebranie ściany między dwiema sąsiednimi celami i zamurowanie drzwi. Półmetrowej szerokości „słupy przyklejone" do przeciwległych ścian połączone takiejż szerokości „poprzeczką wyrastającą" z sufitu, to właśnie pozostałości tej ściany działowej. W miejscu zamurowanych drzwi, nad umywalką, drugi „kukiel" do podglądania z zewnątrz. Grubość muru sprawia, że wycięcie do kukla przypomina otwór strzelniczy w średniowiecznej twierdzy.

W rogu celi — muszla klozetowa. W okresie naszego tu zamieszkania wybudowano wokół muszli rodzaj parawanu: konstrukcja z metalowych rurek, mocno przytwierdzona do ścian i podłogi, obciągnięta białym płótnem. Cela ma dwa okna. Dokładniej mówiąc: półtora. Półtora, bo część powierzchni dawnej celi zostało zajęte przez solidną grubą ścianę, wzniesioną „dla potrzeb" sąsiadującego z „dwójką" bunkra.

Owa ściana, swą grubością, zajmuję dokładnie tę drugą połowę okna — można to sobie obejrzeć ze spacernika. W oknach kraty z solidnych prętów żelaznych. Kiedyś była w nich ponadto gęsta siatka, ale na naszą „uprzejmą prośbę", zawierającą również obawę, że nie zdzierżymy i odkujemy sami — zlikwidowano tę dekorację tuż przed naszym wprowadzeniem się. I tak już zostało.

Na ścianie „znajomy" grzyb, sięgający już nieomal sufitu. Od chwili, gdyśmy się stąd wyprowadzili, zaszły pewne zmiany. Wyniesiono więzienne łóżka, stoliki i stołki. Zaczęto przerabiać celę na świetlicę. W okresie jesiennego „odprężenia" odmalowano ściany, przykryto część podłogi brązową wykładziną, z więziennych zakładów meblarskich przyniesiono „całkiem cywilne" stołki i wyścielane krzesła oraz... stół-grę „piłka nożna".

Ten stół z podstawkami przybył tu najpóźniej — gdy zapadła decyzja, że msze dla nas będą się odbywać nie w centralnej świetlicy, a na oddziale XIV. Zakończenie remontu i kompletowanie wyposażenia zbiegło się w czasie z kolejną zmianą polityki w stosunku do więźniów politycznych. Po okresie „humanitarnym" nastąpił powrót do „ładu i porządku". W efekcie „dwójka" zdążyła posłużyć kilka razy jako kaplica, ale jako świetlica — już nie. W końcu stycznia zniknęły w niej wszystkie sprzęty. „Dwójka" spełniła odtąd funkcję „pomieszczenia do przeszukań osobistych".

Teraz — jak widać — wrócono do koncepcji „świetlicy i kaplicy". Rozglądamy się po celi, rozmawiamy, czekamy na Władka. Andrzej wygląda mniej „malowniczo" niż cztery dni temu — brak tych śladów krwi na twarzy, ale twarz ma ponurą i wzrok zgaszony. Rozmawia tylko ze mną. Leszek i Romek spoglądają na niego od czasu do czasu ukradkiem. Są zaniepokojeni. Wchodzi oficer — w drzwiach „asysta" kilku strażników.

— Proszę zaczynać! Frasyniuk nie chce wyjść.

Zrywamy się z Romkiem z krzeseł, podchodzimy do niego. Prosimy, żeby pozwolił nam z Władkiem porozmawiać. Po pewnym wahaniu, zgadza się. Idziemy. Władek za kratą „tygrysówki" chodzi wyraźnie zdenerwowany. Oficer agresywnym tonem rzuca:

— No, Frasyniuk, przestaniecie się wygłupiać i włożycie skarbową marynarkę?

Na Władka działa to jak ostroga, ale zanim wybuchnie, „wchodzimy". Zwracamy się do oficera, że przecież to my mieliśmy z Władkiem rozmawiać a nie on: do Władka, żeby jednak włożył marynarkę i poszedł na mszę, że go prosimy. Wtrąca się inny oficer — nazywamy go „Pobożny". — i przyłącza się do naszych próśb. Nawet grzecznie — ale zupełnie niepotrzebnie.

Napięcie i frustracja Władka wyładowuje się na nim. Zakładając marynarkę, Władek krzyczy do oficera, zwracając się do niego per „ty". „Pobożny" jest zaskoczony. Protestuje, zwraca Władkowi uwagę, że przecież on się zwraca grzecznie, że nie „tyka", więc dlaczego...?

Głupio wyszło. W tej scenie niewątpliwie „Pobożny" ma rację. I czuje to, więc rozczula się nad sobą, że on grzecznie, a jego tak... Udaje się jakoś uspokoić Władka, „utulić" oficera. Wracamy do „dwójki". Można zacząć mszę. „Pobożny" siada w kącie jako nadzór. W uchylonych drzwiach widać głowy dwóch strażników. Trochę to rozprasza, bo stają za plecami zakonnika.

Na szczęście nudzi się im to szybko. Wkrótce po rozpoczęciu mszy przechodzą na przeciwną stronę korytarza, „na papierosa". „Pobożny" zachowuje się przyzwoicie. Szybko zapominamy o jego obecności... Msza przebiega normalnie. Większe tylko wzruszenie — pierwsza po tak długiej przerwie. Wzruszenie widać także u zakonnika. W tak egzotycznej sytuacji jeszcze nie był...

Po Podniesieniu muszę skorzystać z pomocy Leszka, żeby wstać z kolan. Słaby jestem. Do Komunii nie odważam się klęknąć. Natychmiast po „Idźcie Ofiara skończona" zaczynamy „Boże, coś Polskę". W tym zestawie nikt chyba nie ma słuchu muzycznego. Nieważne. Śpiewamy. Głośno. Coraz głośniej...

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki*
*otaczał blaskiem potęgi i chwały,*
*coś ją osłaniał tarczą swej opieki*
*od nieszczęść, które pognębić ją miały.*
*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie*
*Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie.*

...Zwyczaj śpiewania tej pieśni przynieśliśmy tu my, z „Solidarności". Nadzór więzienny, po pewnym zaniepokojeniu — jakoś to „przełknął". Śpiewaliśmy tę pieśń od drugiej mszy, od października...

*Ty, któryś potem, tknięty jej upadkiem,*
*wspierał walczących za najświętszą sprawę,*
*A chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem*
*Wśród nieszczęść samych,*
*pomnażał jej sławę...*

....Zakaszlałem się, brakuje mi oddechu. Ale przecież w tym gronie ja dysponuję najsilniejszym głosem. Leszek ma „starą" chorobę strun głosowych, Władek, Romek i Andrzej mają „średnio donośne" głosy, Andrzej jest „na dodatek" zupełnie bez formy. Posiadacze silnych głosów — Patryk i Piotrek byli w poprzednim zestawie...

A tu trzeba mocno, głośno. Bo my to im w twarz rzucamy, bo chcemy, żeby całe więzienie słyszało... Bo to nam potrzebne. Bo to przywraca nam poczucie godności i siły. Więc choćbym miał płuca wypluć i skonać po ostatnim *„racz nam wrócić, Panie..."* Ale dopiero po ostatnim! Wcześniej nie wolno!

*Jedno Twe słowo, ziemskich władców Panie,*
*Z prochów nas podnieść znowu będzie zdolne,*
*A gdy zasłużym na Twe ukaranie —*
*— obróć nas w prochy, ale w prochy WOLNE!*

To „wolne" wykrzykujemy nieomal wypluwając płuca, aż pogłos „wolne" echem wraca z korytarza. Strażnicy na zewnątrz budzą się. Dociskają drzwi. Jak gdyby wróciły nam wszystkie siły, cała energia, jak gdybyśmy się z ciał wyrwali i tylko już głosy z nas zostały. Głosy silne, wyrywające się poprzez rygle, kraty, mury gdzieś tam daleko, wysoko... Po raz drugi tutaj słyszę głos Leszka. Słyszę niesamowicie napięte, do granic możliwości organizmu ludzkiego, głosy Romka, Władka, Andrzeja. Ostatnie.

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,*
*Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!*

to już nie śpiew pięciu nie najlepszej kondycji fizycznej mężczyzn. To nie zadyszane rzężenie dwóch „głodomorów", szept „strunowca", „bełkotliwy akompaniament kalek muzycznych". Jest to huk wprawiający w drżenie mury, orkan nieokiełzany, dla którego nie ma barier, przeszkód, murów...

Zakonnikowi łzy ciurkiem cieką po twarzy. „Pobożny" zrywa się i ocierając twarz rękawem wybiega z celi.

Kończymy wyczerpani. Długo nie mogę odzyskać oddechu. Ale czuję się dobrze, lekko...

Romek bierze talerz z kawałkami pociętego w „ósemki" jajka na twardo. Moment zawahania — decyduję się jednak „uściubić" symboliczny kawałek „ósemki". Składamy sobie życzenia, wracamy do celi.

Po powrocie siadam ciężko na łóżku i zgięty wpół siedzę tak — nie wiem jak długo. Nie mam sił. Nie chce mi się zdjąć kurtki. Nie chce mi się nawet położyć. Trwam tak nie poruszając się i o niczym nie myśląc.

Z odrętwienia wyrywa mnie wejście ekipy „karmicieli". Nieznani. Zażenowani, wyraźnie czujący się nieswojo. Przepraszają, wyjaśniają — oni ze świątecznego dyżuru z miasta, oni z więzieniem nie mają nic wspólnego... Starają się postępować bardzo delikatnie, ale niewiele to zmniejsza moje odruchy wymiotne...

Jestem wyczerpany. Potwornie wyczerpany. Czas do kolacji spędzam leżąc na łóżku. Nic nie robię. O niczym nie myślę. Nic mi się nie chce. Nawet spać.

Do kolacji jest słodzona herbata. Biorę cały litrowy słój — będzie na rano. Zagotowuję tę herbatę, doprawiam esencją. Czuję się już nieco lepiej. Uświadamiam sobie, że jakoś mniej dziś odczuwałem głód. Sprawdzam kaloryfer — gorący. Znowu grzeją.

Najchętniej już bym się położył. Jeszcze nie mogę. Trzeba zrobić zapis dnia (...) Zrobione. Jeszcze tylko „zapis fizjologii": stolca brak, wzdęć jeszcze mniej jak wczoraj. Kończę równo ze zgaszeniem światła.

Jak zwykle — jeszcze przez jakąś godzinę nie mogę zasnąć. Chyba godzinę, bo dwa razy przeżywam błysk zapalonego światła i szmer przesłony kukla, a do północy sprawdzają co pół godziny...

■

Z różnych szuflad.

# Książki z dedykacjami

ANDRZEJ KEMPA

Lubię od autorów otrzymywać ich książki, koniecznie z dedykacjami, ale choć cenię wszystkie jako dar przyjaźni, pierwszeństwo daję oryginalnym, ciepłym wpisom na kartach tytułowych, zarezerwowanych tylko dla autora. Taki wpis świadczy o proweniencji książki, a pośrednio o związku pisarza z odbiorcą dzieła. Dedykacja, jako formuła ofiarowania, może być drukowana lub rękopiśmienna, prozaiczna lub poetycka, lapidarna lub rozwinięta w treści. W odległych stuleciach przybierała formę panegiryku na cześć możnego protektora, nawet jeśli był on w wieku nie kwalifikującym go jeszcze do odbierania czołobitnych deklaracji. Najwięcej dzieł zadedykowali podobno autorzy ks. Adamowi Kazimierzowi Czartoryskiemu (1734—1823), generałowi ziem podolskich, gorliwemu mecenasowi nauk i uczonych. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że jeden z autorów Józef Szyszkowski podarował mu swe dzieło „Promptuarium eruditionum poeticarum" (Sandomierz 1748), kiedy książę miał zaledwie 14 lat.

Dedykacje Mickiewicza nie wykraczały poza przeciętność, brak im było serca i pomysłowości, po prostu zdawkowe *„na pamiątkę przyjaźni"*, *„w dowód szacunku"*. Więcej ciepła emanowało z dedykacji na paryskim wydaniu „Poezyj" (1828) dla Tadeusza Bułharyna: *„Tadeuszowi Bułharynowi, doznanemu przyjacielowi ten pierwszy egzemplarz wydania dziełek swoich poświęca Adam Mickiewicz, w Petersburgu 1829"*. Tu warto dodać nie uwzględnioną jeszcze w zbiorach Mickiewiczowych dedykacji notkę poety na egzemplarzu „Konrada Wallenroda", odnalezionym niedawno w Bibliotece im. Lenina w Moskwie: *„Tadeuszowi Bułharynowi na pamiątkę poświęca Adam Mickiewicz w Petersburgu 1828 kwiet. 29"*. Bułharyn pozostawał wówczas pod urokiem Mickiewicza. 19 lutego 1828 r., tuż po ukazaniu się „Konrada Wallenroda", pisał do Mikołaja Polewoja: *„Pocałuj ode mnie Mickiewicza. „Wallenrod, jego cudo — już wydrukowany i ryciny całkiem niezłe, a kompozycyjnie nawet dobre"*.

Bywało i tak, że serdeczne słowa dedykacji okazywały się z czasem pustym frazesem, czekiem bez pokrycia. Zanim Ludwik Napoleon Bonaparte został cesarzem, na jednym ze swych dzieł o artylerii napisał dedykację: *„Panu Wiktorowi Hugo z wyrazami największego szacunku i żywej sympatii"*. Po latach mimo owej deklarowanej sympatii do pisarza skazał go na wygnanie.

Książki z odręcznymi dedykacjami autorów, ze względu na swój unikalny charakter, bywają przedmiotem kolekcjonerstwa, a i w bibliotekach znajdują godne miejsce, zazwyczaj i w wyodrębnionych działach cimeliów. Bibliotekarze twierdzą, że *„częstotliwość występowania książek zaopatrzonych w rękopiśmienne zapiski wybitnych autorów podnosi niewątpliwie wartość naukową i zabytkową danego księgozbioru"*.

Co pewien czas wydawane są zbiory dedykacji jednego autora np. wspomnianego już Mickiewicza lub dedykacji na książkach należących do wybitnych pisarzy lub kolekcjonerów: Juliana Tuwima, Stanisława Czernika, Czesława Jankowskiego, Juliusza Wiktora Gomulickiego. Józef Długosz opracował „Rękopiśmienne dedykacje autorskie w księgozbiorze Ossolineum" (Wrocław 1967), a Aleksander Janta napisał szkic „O Lechoniowskim zbiorze dedykacji autorskich" (1961). Wcześniej, bo w 1935 r., Jan Lorentowicz opublikował rozprawkę „Dedykacje", w której zarejestrował kilkadziesiąt znakomitych tekstów napisanych przez równie znakomitych ofiarodawców. Znajdujemy w niej tekst dedykacji skreślonej przez Tuwima na egzemplarzu „Rzeczy czarnoleskiej" (Warszawa 1929), podarowanym poecie Arturowi Oppmanowi: *„Kochany Panie Arturze! Kiedy się upijemy? Zróbmy to jak najprędzej, bo trzeba będzie to pijaństwo powtórzyć! Ściskam serdecznie dłoń! Z Czerniakowa na Żoliborz posyła pozdrowienia Gajowy czarnoleski oraz rotmistrz I pułku Pegazów"*. Szczególnym trafem podobną poetykę przyjął po kilku latach Karol W. Zawodziński, dedykując swój „Zarys wersyfikacji polskiej" (Wilno 1936): *„Julianowi Tuwimowi, naczelnemu wodzowi armii Pegazów, przedkłada posłusznie autor, emerytowany tejże armii ujeżdżacz"*. Jeszcze później, w 1947 r., Wiktor Grosz na rosyjskim wydaniu „Opowieści kanterberyjskich" Chaucera napisał: *„Drogiemu Junianowi Tuwimowi, Generałowi poezji Szeregowiec pióra W. Grosz"*.

Jan Izydor Sztaudynger zadedykował „Piórka z gór" (Kraków 1961) *„Stanisławowi Czernikowi te fraszki chyba bliskie ludowi — z przyjaźnią terminator u ludu"*. Maryla Wolska posiadała „Skarb" Leopolda Staffa z autografem: *„Niżej podpisany autor ośmiela się prosić J.W. Panią o rzucenie kilku gwiazd Jej uwag na niebo jego duszy, odbitej w zwierciadle jeziornym twórczości"*. Stanisławowi Łempickiemu poświęcił książkę „Poszumy Bajkału" (Zakopane 1927) J. Birkenmajer: *„Drogiemu Panu Prof. Dr Stanisławowi Łempickiemu, którego antologia poetycka z roku wielkiej wojny towarzyszyła mi na froncie pod Czerniowcami i Kirlibabą w roku 1916, tę garstkę wierszy, owoce żołnierskiej doli, śle z pozdrowieniem Józef Birkenmajer"*. Wzmianka dotyczyła książki St. Łempickiego i Adama Fischera „Polska pieśń wojenna. Antologia poezji polskiej z roku wielkiej wojny" (Lwów 1916).

Na jednej z książek podarowanych przez Joachima Lelewela Bibliotece im. Ossolińskich we Lwowie jej „dzieła" (autor — według osobliwego słownictwa Lelewela) dopisał uwagę: *„egzemplarz wyjątkowy, jeden z tych niewielu, co na dary przeznaczone mają piętnaście kart barwionych"*.

I ja mam w swoim księgozbiorze sporo interesujących dedykacji. Ferdynand Hoesick poświęcił swą książkę „Warszawa. Luźne kartki z przeszłości Syreniego Grodu" (Poznań 1920) *„Profesorowi Gustawowi Baumgarterowi, na pamiątkę miłych paru godzin wspólnie w Dolinie Małej Łąki w Tatrach spędzonych, z pozdrowieniem z Krakowa. Autor. Kraków 6 września 1922"*. Adolf Dygasiński na zbiorku nowel „Z siół, pól i lasów" (Warszawa 1887) skreślił słowa: *„Na pamiątkę chwil wspólnie spędzonych raczcie przyjąć, Szanowny Panie, te kilka moich utworów, autor"*. Na książce „Jakby dziś. Opowieść o biskupińskim grodzie" (Aleksandrów Kujawski 1939) Stanisław Królikiewicz napisał: *„Jurkowi Tymienieckiemu z życzeniem, aby dorównał w cnocie biskupowi Tymienieckiemu a w nauce Kazimierzowi Tymienieckiemu"*.

Spośród wielu książek z dedykacjami skreślonymi dla mnie przez zaprzyjaźnionych pisarzy wybieram tylko jedną. Jest nią „Antykwariat przy Piotrkowskiej" z jakże osobistą inskrypcją: *„Andrzejowi Kempie — przyjacielowi ze „wspólnego pokoju" na Bystrzyckiej i ze wspólnych tropów antykwarycznych — tę skromną książeczkę ofiarowuje Jurek Wilmański. Łódź, sierpień '84"*. Kadr zatrzymany w pamięci: „wspólny pokój", jak u Uniłowskiego, Bystrzycka to już Lumumby, dlatego tę dedykację cenię sobie ogromnie.

*„Dedykacja rękopiśmienna jest zarówno wdzięcznym, jak i trudnym materiałem do badań. Wdzięcznym, gdyż mówi wiele o stosunkach między konkretnymi ludźmi zapisuje nie zapisaną kartę historii autorów, książek, ludzi z kręgu autora, odsłania rzeczy zakryte"* — pisał Jan Trzynadlowski. A czemu jest materiałem trudnym — spytacie. Po cóż to wiedzieć?

■

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia - podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

**Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.**

**Na Twój telefon czekają redaktorzy:**

**15 lutego 1990 r. — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.**

**22 lutego 1990 r. — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.**

**TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.**

## SPRAWOZDANIE Z REPORTERSKIEGO DYŻURU Z 8.02.1990 R.

Proponując naszym Czytelnikom tematy do rozmowy chcieliśmy umożliwić im wypowiedzenie się o tych problemach, które powinny nas wszystkich obchodzić. Nie wyciągam jednak wniosku, że Czytelnicy nie interesują się samorządnością, skoro nikt w tej sprawie nie zadzwonił. Wniosek nasuwa się zupełnie inny. Rozmowa telefoniczna kosztuje! Czytelnicy teraz mniej dzwonią niż podczas dawniejszych dyżurów, a to bez wątpienia wiąże się z ceną rozmowy, jaką trzeba zapłacić za pierwsze 3 minuty i każde następne. Minął już czas, że przez telefon można było sobie po prostu pogadać. A szkoda!

Nie wszyscy jednak liczą się z kosztami telefonicznych rozmów. Na przykład pan **Jerzy Libich** zadzwonił z myślą, że porozmawia z Pawłem Tomaszewskim, który jest chory i musiałam zastąpić go na dyżurze. Pan Jerzy Libich — wyraźnie zaskoczony zmianą — usiłował przekonywać mnie, że nie nadążamy za rzeczywistością, gdyż nie piszemy o tym, o czym piszą inni. Zapytany, co sądzi o tematach poruszanych w ostatnim numerze „Odgłosów", przyznał, że... „Odgłosów" od pewnego czasu nie czyta. I na tym skończyliśmy rozmowę.

Pani **Elżbieta Kaczmarek** z Retkini też nie oszczędzała na rozmowie telefonicznej, aby wyrazić uznanie dla „Odgłosów", że zdecydowały się drukować program telewizyjny. Podoba jej się pomysł z 12 stroną, gdzie zamieszczamy różne ciekawostki i nie tylko oraz rysunki na pierwszej stronie. Dziękuję za uznanie w imieniu zespołu!

Pan **Czesław Makowski** jest stałym naszym rozmówcą. Postawił sobie za zadanie sprawdzenie deklaracji dyrektora MPK złożonych, w wywiadzie dla „Odgłosów". 6 lutego stanął na przystanku przy ul. Juliana Tuwima w pobliżu ul. Targowej o godz. 6,15 i stwierdził, że do 6,18 przyjechały 4 autobusy linii „80" i „83". Następnego dnia było podobnie. A więc nadal autobusy jeżdżą — przynajmniej o tej porze — stadami.

Pani **I.A.** — dane do mojej wiadomości — jeszcze raz zadzwoniła w sprawie przystanku przy ul. Tuszyńskiej i J. Gagarina dla autobusów „52", „61", „69". Jej zdaniem są warunki dla zatrzymywania się tam autobusów, czemu zaprzecza MPK.

Pan **J.K.** — dane również do mojej wiadomości — zaprotestował przeciw — jak się wyraził — „bandyckiemu kredytowi", który dłużnikom nalicza PKO. Zaproponował, aby reporter „Odgłosów" udał się do PKO i posłuchał, co ludzie mówią. Dziękujemy, skorzystamy!

**BOGDA MADEJ**

## PECH

Wyjątkowego pecha ma znany tyczkarz Mirosław Chmara. Najpierw wypadł z autokaru wraz z dużym pakunkiem. Później ukradziono mu nowego volkswagena. Kupił więc BMW i natychmiast wybito w tym samochodzie szybę. A gdy wreszcie wybrał się wraz z żoną do dyskoteki, pobili go nieznani mężczyźni, łamiąc mu żuchwę.

Naszym zdaniem — dość tego. Domagamy się od losu sprawiedliwości. Tyloma nieszczęściami można obdarzyć co najmniej trzy osoby.

**A. G.**

## KARNAWAŁ W PEŁNI

Kierownik restauracji „Pałacyk", Maciej Bartkowiak zaprasza na mający odbyć się 17 lutego bal maskowy. W tym dniu restauracja „Europa" zorganizowała bal elektryków.

24 lutego kierownik restauracji Hotelu „Centrum", Juliusz Woch serdecznie zaprasza do wzięcia udziału w balu prasy.

Codziennie (prócz niedziel) na chętnych czekają dancingi. Restauracja Hotelu „Centrum" przewiduje w programie nocnym dancingów występy variete. Cena: wstęp — 5.000 zł., karta konsumpcyjna — 10.000 zł.

W restauracji Hotelu „Savoy": wstęp — 3.000 zł., karta konsumpcyjna — 5.000 zł.

W „Casanovie" wstęp kosztuje 5.000 zł. (bez karty konsumpcyjnej), w „Europie" — 4.000 zł.

**M.G.**

## CHROŃMY PAWIE

Z wrocławskiego ZOO skradziono kilka papug rzadkiego gatunku. Zachodzi podejrzenie, że złoczyńcy działali z pobudek nie tylko komercyjnych. Przypominają się przecież gorzkie słowa wieszcza o przedrozbiorowej Polsce: **„Pawiem narodów byłaś i papugą..."**. Czy następny zamach kryminalny dosięgnie teraz pawi? W Polsce wszystko jest możliwe, nawet to, że będzie lepiej jak by powiedział Stefan Kisielewski.

**kof.**

## ORZEŁ A SPRAWA POLSKA

Przez prasę polską przewala się fala publikacji na temat orła i jego korony. Heraldyka wysuwa się na królową nauk. Do pisania o symbolach narodowych zabierają się nawet dziennikarze gazet, gdzie tego orła całe lata oskubywano z piór. Ta gwałtowna odmiana budzi raczej śmiech pusty i niedobre skojarzenia. Czy to nie daremne? „Nie polezie orzeł w g...".

**j.d.**

*Rys. Dariusz Pietrzak*

## BEZROBOTNI STUDENCI

Gwałtownie spadło zapotrzebowanie na studenckie usługi. Na przykład studentom z warszawskiego „Bratniaka" pozostało sprzątanie przystanków. Nie lepiej jest w „Universalu". Ceny są wysokie, a gdyby je obniżyć — zabraknie chętnych do pracy. I tak źle, i tak niedobrze.

**ZENEK P.**

# A gdyby obniżyć taryfę?

Zapytałem taksówkarza: — Nie lepiej obniżyć taksę i jeździć?

— Lepiej — odpowiedział.

— To, co przeszkadza?

— Powiedzmy, że wywieszę kartkę, iż u mnie taniej. Inni szyby mi potłuką lub opony potną. Solidarność musi być!

— Ale teraz solidarnie stoicie.

— Stoimy, bo ktoś w zarządzie był zachłanny i tak wymyślił.

— Ilu miał pan pasażerów poprzedniego dnia?

— Dwóch.

— A teraz?

— Stoję od 5 rano i nic.

— A za „licznik razy 100" pojechałby pan?

— Każdy by pojechał.

— To czemu nie jedzie?

— Przed kolegami wstyd się przyznać.

— Ale żyć z czegoś trzeba?

— Ano, trzeba...

I tak właśnie zaczyna się rynek.

**MAREK J.**

W Warszawie, przy ulicy Wiejskiej.

# Hasła i demonstracje

Polska Partia Polityczna będąca kontynuacją słynnej pomarańczowej Alternatywy lansowała hasło: **„Havel na Wawel"**.

Studenci Akademii Nauk Społecznych protestowali przeciwko rozwiązaniu swojej uczelni i utożsamianiu ich z „betonem partyjnym". Innym razem sensację budzi emerytka z Bydgoszczy, obwiesiła się plakatami: **„Polskie serca w sejmie i senacie, oczekujemy zmian na lepsze"**. W ręku miała biało-czerwoną flagę z wizerunkiem Matki Boskiej, wyrażała poparcie **„dla ewolucyjnych zmian w Polsce i premiera Mazowieckiego"**.

W ostatnim czasie najczęstszymi „gośćmi" przy Wiejskiej byli zwolennicy i przeciwnicy budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Ci pierwsi głoszą, iż taka elektrownia będzie mniejszym złem dla środowiska naturalnego, niż dymiące i zanieczyszczające powietrze elektrownie konwencjonalne. Uważają też, że jeśli już tyle pieniędzy zainwestowano w budowę „Żarnowca" to trzeba ją dokończyć.

Natomiast przeciwnicy „Żarnowca", uważają, iż taka inwestycja pociągnie za sobą wzrost naszego zadłużenia do około 78 mld dolarów. Istnieje bowiem konieczność zaciągnięcia kolejnych kredytów na zakup różnych potrzebnych urządzeń. Poza tym czas amortyzacji takiej elektrowni wynosi około 30 lat (na przykład wodnej ok. 5 lat) i w obecnej sytuacji gospodarczej nie stać nas na tak długie zamrożenie kapitału. Koszt wytworzenia 1 kw energii jest tu niemal trzykrotnie wyższy niż w elektrowni konwencjonalnej. Wątpliwości budzi lokalizacja „Żarnowca". Przebiega bowiem w tym miejscu uskok tektoniczny (aktywny w ostatnich 70 latach). W pobliżu znajdują się również złoża metanu. W takich warunkach budowa nawet zwykłego zakładu przemysłowego może grozić katastrofą...

A co o tym myślą ludzie, mieszkający kilkaset kilometrów od „Żarnowca"?

**Emerytka, lat 67:** — Jest mi wszystko jedno... Gdyby to było dobre dla kraju?

**Nauczycielka, lat 54:** — Dosyć już mamy środowisko zatrute. Nie chce by za parę lat u nas było to co w Czarnobylu.

**Elektronik, lat 29:** — Jest niepotrzebna. Zbyt drogo kosztuje.

**Studentka, lat 24:** — Powinni zadecydować fachowcy. Mogłaby się odbyć publiczna dyskusja, w której obie strony przedstawiłyby swoje racje.

**Prawnik, lat 35:** — Trzeba budować. Za dużo pieniędzy włożono w Żarnowiec. Nie można dopuścić, by banda smarkaczy dyktowała jak się ma zachować państwo.

**Włókniarka lat 48:** — Dlaczego mamy żyć w zimnych mieszkaniach? Wszyscy mają takie elektrownie, a my nie możemy?

**ANNA GRONCZEWSKA**

## JERZY KIBIC ZDRADZA TAJEMNICE...

Jerzy Kibic zdradza tajemnice Jerzego Urbana. Gdzie? W cyklicznym wydawnictwie, które będzie ukazywało się raz w miesiącu. Zeszyt pierwszy nosi tytuł: **„Podarte rajstopy"**. W zeszycie tym Jerzy Kibic zdradza „polityczno-erotyczne tajemnice byłego rzecznika rządu".

Przy tej okazji „Sztandar Młodych" przypomina odpowiedź pewnego dziennikarza, którego zapytano o różnice między rzecznikami rządu: Jerzym Urbanem i Małgorzatą Niezabitowską?

**— Na Małgorzatę** — odpowiedział zagadnięty **z przyjemnością patrzę, Jerzego Urbana bez przyjemności z zainteresowaniem słucham.**

**ZENEK P.**

## W HOTELACH SĄ WOLNE POKOJE (Według stanu na 6.02.1990)

**Hotel „Centrum"** (396 miejsc, 284 pokoje) posiada ok. 50 proc. wolnych miejsc.

**Hotel „Polonia"** (212 miejsc, 121 pokoi) ma aż 150 wolnych miejsc.

**Hotel „Savoy"** (153 miejsca, 96 pokoi) dysponuje 60 proc. wolnych miejsc.

**Hotel „Mazowiecki"** na 134 pokoje (268 miejsc) ma 72 wolne.

**Hotel „Orbis Grand"** (315 miejsc, 215 pokoi) posiada 40 proc. wolnych miejsc.

**Hotel „Świętowit"** (380 miejsc, 212 pokoi) — 50 proc. wolnych miejsc.

**M.G.**

Rozmyślania pani woźnej.

# Bułka i pan Mahomed

1.

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba..." — wątpię, aby moja, od dawna nieżyjąca babka znała ten czy jakikolwiek inny utwór Kamila C. Norwida, lecz wychowałam się właśnie w takim polskim domu, gdzie kruszynę podnosiło się z ziemi, a każdy bochen przed napoczęciem był znaczony znakiem krzyża. Ów symboliczny gest zaświadczył o szacunku dla „darów nieba", natomiast ich kruszynę podnosiło się ze względu na pamięć czasów które były czasami wielkiej poniewierki i głodu. Moja babka, rzucona wichrami pierwszej wojny światowej wraz z sześciorgiem dzieci aż na Ural, do Ufy, tym najmłodszym i — najsłabszym — zgniatała skórki chleba z pajęczyną aby uczynić je pożywniejszymi i zasłaniała kocami okna, aby z dnia uczynić noc, bo nocą śpi się i nie je. Z sześciorga dzieci do Polski nad Niemnem powróciło z moją babką tylko czworo — dwoje zmarło na tyfus głodowy.

2.

Dwójka wspaniale, zdrowo wyrośniętych czternastolatków zabawia się na dużej przerwie kopaniem czegoś, co jest okrągłe, ma rumianą skórkę, kosztuje pięćset z czymś złotych, i jeszcze jest przekrojone, przesmarowane masłem i przełożone czymś smakowicie różowym. Ten pod oknem — to bramkarz; ten drugi — to zawodnik, celujący do bramki. Po bokach, od najstarszych po najmłodszych smakoszy ze świetlicy. Zabawa przednia, kibice rozochoceni, a zapał zawodników szczery i bojowy, jedynie przedmiot umownie służący za piłkę przy kolejnym kopnięciu przestaje spełniać swoją funkcję: plaster szynki wypada i przylepia się efektownie do ściany, masło rozpaćkuje się mniej efektownie, lecz równie skutecznie, a i sama bułka rozmienia się na dwie sponiewierane połówki. Koniec zabawy. Jeden z zawodników miażdży resztę bułki obcasem adidasa.

Taka scena rozegrała się w łódzkiej szkole w drugiej połowie stycznia 1990 roku, kiedy w większości domów trwa walka o zwykłe bytowanie.

3.

Podnieść ręce w geście oburzenia, potępić? Ale dlaczego potępiać, oburzać się, podsumowywać i uogólniać, skoro w tym czasie „Łódzkie Wiadomości Dnia" podsuwają telewidzom obraz wyrzuconych na śmietnik dziesiątków kilogramów wołowych krzyżowych, schabów i toruńskich? A w sklepach kolebią się na hakach poczerniałe, cuchnące, obślizgłe kilogramy mięs, których już nikt nie kupi, bo obniżka cen na nie zbyt zapóźniona?

4.

W tym samym czasie, kiedy chłopcy z mojej szkoły rozkopują bułkę, a handlowcy zesmrodzone mięso wyrzucają na śmietnik — minister Jacek Kuroń ubolewa nad faktem, że polskim dzieciom grozi niedożywienie. Że niedożywienie wynika z biedy, tego minister Jacek Kuroń nie mówi, nie proponuje dzieciom charytatywnej zupki, stwierdza natomiast społeczną potrzebę stworzenia systemu dotacji do szkolnych obiadów. Żeby tego pożywnego wkładu mięsnego było w obiadach więcej.

I oto zaraz objawia się nam pan Mahomed. Pan Mahomed robi w naszym kraju od kilku lat dobry biznes, i odpowiadając na apel ministra Jacka Kuronia postanawia raz w tygodniu ofiarować bezpłatnie pewną ilość mięsa ursynowskiej szkole — o czym informuje w „Sygnałach Dnia" bliżej nie znany mi dziennikarz.

5.

W mojej szkole Komitet Rodzicielski od lat ma w zwyczaju fundowanie bezpłatnych obiadów dzieciom z najuboższych rodzin. Wydaje się obecnie dwadzieścia obiadów. Setka dzieci za obiady płaci pełną stawkę, w styczniu skalkulowaną na tysiąc złotych. Nie mam konia z rzędem, ale gdybym go miała, podarowałabym każdemu, kto potrafi dzisiaj ugotować obiad z mięsem za tysiąc złotych. Jeśli jeszcze w grudniu 1989 roku intendentka mogła serwować wkładkę lub mięso trzy razy w tygodniu, po cztery deko mięsa na dziecko, to w styczniu 1990 roku rachunek uprościł się znakomicie: 10 kg wołowiny po 15 tys. złotych za kilogram równa się 150 tys. złotych, podczas gdy globalna stawka dzienna wynosi tylko 120 tys. złotych. Więc raz w tygodniu 120 dzieci w mojej szkole otrzymuje pewną ilość mięsa, po wytrybowaniu kości z owych dziesięciu kilogramów, i podzieleniu reszty na sto dwadzieścia porcji. Aż przyjemnie patrzeć na dzieci, które się tak posilnie dożywiają. Toteż gdyby pan Mahomed wzbogacił moją szkołę swoim darem, to niezależnie od ilości, nasza intendentka byłaby ogromnie mu wdzięczna, a dzieci od kolejnej pożywnej, dekowej wkładki mięsnej w zupie wprost tyłyby w oczach.

6.

Rozmyślam nie tylko nad norwidowską, symboliczną kruszyną chleba, co ją przez uszanowanie dla „darów", ale i nad dziesiątkami, setkami, tysiącami ton tych różnorakich darów — wciąż i wciąż marnowanych, gnojonych, paskudzonych w naszym wciąż i wciąż — mimo superinflacji — przebogatym kraju. I doceniając ideę szlachetnych w intencjach akcji ministra Jacka Kuronia, kłaniając się panu Mahomedowi i jemu podobnym wątpię, czy tędy droga. Chociażby ze względu na tych czternastolatków, bo to naprawdę nie ich wina, ani ich grzech, że skopali zamiast piłki bułkę z masłem i szynką.

**EWA OSTROWSKA**

# Pocztówka z Zakopanego

Dwutygodniowy urlop w Zakopanem zaplanowany na luty kosztuje 400—450 tys. zł. (na osobę!). Za łóżko w pokoju dwuosobowym w prywatnym domu przedsiębiorstwo „Tatry" żąda od 8 do 10 tys. zł dziennie. Jedna noc spędzona w 8-osobowym pokoju w „Domu Turysty" kosztuje 7.5 tys. Cena miejsca w dwuosobowym pokoju na Kalatówkach kształtuje się w granicach 15—20 tys. od osoby — za jedną noc.

Żądni luksusów wynajmują pokój w hotelu „Kasprowy" (119 tys. za dobę). Za taki sam pokój goście zagraniczni płacą 1 milion 64 tysiące złotych...

Turystów nie brakuje (nawet tych zagranicznych). Prawie wszystkie domy wczasowe mają komplet.

Na Krupówkach wieje nudą. Zniechęceni narciarze chodzą i narzekają na drożyznę. Kierpce — 93 tys. (a z podbiciem 217 tys.). Serdak — 990 tys. złotych. Oscypek — 300 złotych.

Bilet na Gubałówkę kosztuje 1600 zł. Kolejką na Kasprowy — 12 tys. (komercyjna cena biletu 32 tys.). Za wyciąg na Halę Gorczykowej i Gąsienicowej — 2 tysiące.

Rachunek jest więc prosty — za 10 dni jeżdżenia po dwóch najatrakcyjniejszych trasach narciarskich trzeba zapłacić 280 tys. zł. Każdy cudzoziemiec mieszkający w hotelu „Kasprowy" może zamówić sobie miejscówkę na Kasprowy Wierch, w obie strony, za jedne 65 DM.

Polskie narty wyprodukowane w Szaflarach są stosunkowo tanie, ich cena waha się od 200 do 240 tys. Ale nie są dobre. Ceny krajowych butów zjazdowych: 330—600 tys. zł. Za narty firmy „Atomic" czy „Völk" płacono na bazarach 150—180 dolarów. Buty „Koflacha" warte są dziś 150—170 USD. Koszt wiązań i montażu 35—56 tys. zł, w zależności od rodzaju nart. Wypożyczenie nart krajowych kosztuje 6 tys., zagranicznych od 8 do 10 tys. zł za dobę. Ceny biletowe na imprezy — widowisko regionalne w wykonaniu zespołu B. Obrochty (1000 zł). Kabaret „Długi" (5000 zł). koncert kwartetu „Jorgi" (4000 zł), występy T. Drozdy (8000 zł).

Dużą popularnością cieszy się zakopiański „Cocktail" — bar". Długa kolejka ciągnąca się wzdłuż Krupówek świadczy, że nikogo tu już nie odstrasza cena herbaty — 800 zł czy lodów — 7000.

Działa prywatny przewoźnik — konkurent PKS, drogich taksówek i góralskich bryczek. Pojemność MINI-busu — 9 osób. Ceny biletu z dworca PKS: do Kuźnic — 1500, do Doliny Kościeliskiej — 2500, na Krzeptówki — 2000. Inne kierunki w obrębie miasta (minimum 7 osób) — 1500 zł.

**„Może za rok będzie lepiej"** — pocieszają się wyjeżdżający z Zakopanego. Lepiej? — możliwe. Ale czy taniej?

**MARZENA MRÓZ**

**Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.**

## BĄDŹMY CZUJNI!

Żądanie zjednoczenia dwóch państw niemieckich wybuchło nagle i od razu z ogromną siłą. Manifestanci na ulicach wielkich miast Niemieckiej Republiki Demokratycznej noszą flagi Republiki Federalnej, mury Lipska, Magdeburga i Drezna pokrywają się zjednoczeniowymi hasłami. Te hasła są przecież jednoznaczne — zjednoczenie to po prostu włączenie NRD w organizm kontrolowany przez władze RFN. Nie łudźmy się. Po połączeniu obu państw będziemy mieć Republikę Federalną tuż za łużycką Nysą. Pośród innych napisów czytuje się także i takie: **„Jetzt an der Oder"**. Co to znaczy? To znaczy: — **„Obalamy mur w Berlinie, a budujemy go na Odrze"**.

Polakom zatrudnionym na terenie tego kraju kelner w restauracji nie podaje obiadu, nie sprzedaje im się chleba i piwa, samochody należące do Polaków są obrzucane kamieniami, a nawet niszczone, jak to zdarzyło się na pewnej, prowadzonej przez nasze przedsiębiorstwo, budowie. Mimo kilku konferencji i przemówień, dyskryminujące zarządzenia nie zostały dotychczas odwołane, nie mówiąc o tym, że, niezależnie od nich, atmosfera społeczna jest po prostu antypolska.

Powtarzają się — owszem — tu i ówdzie wzmianki o nienaruszalności polskiej granicy zachodniej. Nie ma takiej wzmianki w dziesięciopunktowym programie kanclerza Helmuta Kohla, dotyczącym zjednoczenia Niemiec. Na wszelkie nagabywania w tej sprawie kanclerz odpowiada ze zniecierpliwieniem, że już o tym mówił i nie widzi potrzeby, aby do tematu wracać. Powtarzają się jednak wypowiedzi niektórych polityków zachodnioniemieckich podtrzymujące tezę o otwartości problemu granic, o tym, że zostaną one ostatecznie przesądzone dopiero w traktacie pokojowym. Być może, że do takiego traktatu dojdzie. Zjednoczone Niemcy będą wtedy już tak silne, że mogą zdominować dyskusję kongresową.

Przez dziesiątki lat RFN domagała się tzw. łączenia rodzin. Z Polski w ramach łączenia rodzin wyjechały setki tysięcy ludzi, którzy pojęcia nie mieli o niemieckim języku i niemieckiej kulturze. Poczuli w sobie niemiecką krew, połączyli się z ciociami i wujkami. Teraz już o łączeniu rodzin się nie mówi. Mówi się o organizowaniu mniejszości niemieckiej tu, w Polsce, o otwieraniu niemieckich szkół, niemieckich ośrodków kulturalnych, niemieckich stowarzyszeń.

Do Gdańska przyjeżdżają Niemcy, którzy tu kiedyś posiadali własne nieruchomości. Nieruchomości zostały odbudowane przez Polaków od fundamentów. Niemieccy pretendenci gotowi są zapłacić koszty odbudowy ale, jak twierdzą, nieruchomości pozostają przecież nadal ich własnością. Składają we władzach miejskich odpowiednie wnioski o rewindykację. Wnioski te nie są odrzucane, przeciwnie, są przez władze Gdańska rozpatrywane.

Polskie długi na Zachodzie są przedmiotem spekulacyjnego obrotu. Cena naszych zobowiązań spadła do 17 procent. Te nasze długi skupywane są głównie przez kapitalistów z RFN. Będzie tak, że nasze obiekty przemysłowe, warte setki milionów dolarów, czy nawet miliardów dolarów, będą przez kapitalistów zachodnioniemieckich kupione za grosze.

„Polityka" w numerze z 14 stycznia 1990 r. zamieściła rozmowę z Leonidem Pocziwałowem. Rozmowa zahacza, między innymi, o sprawy polsko-niemieckie. Chodzi o mniejszość niemiecką w Związku Radzieckim. Domaga się ona autonomii. Rozważa się projekt utworzenia samorządnego rejonu niemieckiego na terenie byłych Prus Wschodnich, w tej części, która po wojnie weszła w skład republiki rosyjskiej. Największym miastem jest tutaj Kaliningrad, ale ponieważ — wg. słów Leonida Pocziwałowa — Kalinin jest postacią historycznie skompromitowaną, możliwy byłby powrót do poprzedniej nazwy: Königsberg. Na naszej północnej granicy mielibyśmy więc zwarte osadnictwo niemieckie z Königsbergiem jako stolicą. „Nie bójcie się, wojny nie będzie" — mówi Pocziwałow. Ale tu nie chodzi o wojnę. Chodzi o to osmotyczne przenikanie naszego organizmu przez żywioł niemiecki. Chodzi o zaciągnięcie ponownie nad nami wielkiej niemieckiej chmury. Czy to jest katastrofizm co tu mówię?

Przed wojną istniała grupa intelektualistów polskich w Wilnie z Czesławem Miłoszem na czele, którzy katastroficznie ostrzegali przed niebezpieczeństwem niemieckim. Wtedy ich wyśmiewano. Historia przyznała im rację. Po co historia ma się powtarzać?

Jerzy Waldorff powiedział niedawno w telewizji: — nienawidziłem stalinizmu i opartego na nim ustroju, a teraz modlę się, aby Związek Radziecki pozostał zwarty i silny. Dlaczego? Bo widzę znowu zagrożenie niemieckie. Spotyka się często zdanie, że niebezpieczeństwem niemieckim straszył nas komunistyczny reżim dla własnych celów politycznych. Jest w tym oczywiście trochę prawdy, ale najgłośniej ostrzegał nas Edmund Osmańczyk, pisarz przecież antyreżimowy. Myślę, że i Jerzy Waldorff i Edmund Osmańczyk mieli i mają rację.

Prezydent Czechosłowacji Vaclav Havel, w parę zaledwie dni po swym wyborze, pojechał do obydwu państw niemieckich. Była to dla mnie podróż niezmiernie znacząca. To było nie tylko otwarcie na zachód, to było otwarcie ramion zjednoczonym Niemcom. Pierwszym politykiem wysokiej rangi, odwiedzającym Rumunię po przewrocie, był zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych Hans Dietrich Genscher. Ruchliwość tej dyplomacji, wielka gotowość nawiązania jak najbliższych kontaktów z Niemcami ze strony Rumunii, Czechosłowacji, a także Bułgarii nie są przecież obojętne dla naszej racji stanu.

Mają się odbyć w NRD wybory. Ponieważ opozycja uznała, że za mało ma możliwości przeprowadzenia agitacji wyborczej, zachodnioniemiecki tygodnik „Der Stern" zgłosił natychmiast gotowość poświęcenia całego, kilkusetstronicowego numeru tejże akcji. Numer „Sterna" poświęcony agitacji wyborczej w NRD, ma być wydany w nakładzie ponad miliona egzemplarzy i rozdawany bezpłatnie w Republice Demokratycznej. Jest to rzecz bez precedensu w stosunkach pomiędzy dwoma, formalnie suwerennymi, równorzędnymi państwami. Trudno wątpić w skutki takiej agitacji.

**Czujność takich publicystów jak Edmund Osmańczyk, Jerzy Waldorff i setki im podobnych, była i jest w pełni uzasadniona.** Może nawet dziś bardziej niż kiedykolwiek.

**WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI**

## INACZEJ O RPA

Reportaż Andrzeja Makowieckiego — „Czarny bal w Durbanie" („Odgłosy" nr 44/29.X.1989 r.), zawiera szereg interesujących spostrzeżeń na temat sytuacji w RPA. Są jednak w artykule błędne i nieprecyzyjne sformułowania. Można to ująć w sposób następujący:

1) Liczba Afrykanerów — potomków holenderskich, francuskich i niemieckich osadników z XVII i XVIII w. wynosi ok. 2 900 tys. osób, a nie 3 600 tys. na ogólną liczbę 4 949 tys. białych. Wśród pozostałej grupy białej ludności dominują Anglosasi. Są również Żydzi (120 tys. anglojęzycznych), Portugalczycy (70 tys.), Niemcy (40 tys.), Grecy (20 tys.) i cała mozaika narodowościowa ze wszystkich krajów europejskich. Polonia jest szacowana na co najmniej 12,5 tys. osób.

2) Koloredzi to nie ludy Bantu i Zulu! To osobna grupa rasowa wymieniona na drugim miejscu po białych w Konstytucji RPA, gdzie poszczególne grupy rasowe ludności są wymienione w porządku mającym swoje odniesienie w historii kraju. Koloredzi to potomkowie pierwotnych mieszkańców Południowej Afryki i osadników europejskich. Zalicza się do nich Hotentotów, Buszmenów, Griqua i inne plemiona oraz grupę Malajów. Liczba ich wynosi 3 127 tys.

3) Czarni czyli ludy Bantu to właśnie Zulusi — najliczniejsza grupa ludności czarnej oraz Xhosa, Swazi, Sotho, Tswana, Ndebele, Venda i Shangan Tsonga. Plemiona te podlegają jeszcze dalszym podziałom. Liczba czarnych obywateli RPA wynosi 20 613 tys., wyłączając obywateli niepodległych homelandów (Transkei, Ciskei, Venda i Bophuthatswana).

4) Azjaci czyli Hindusi (z niewielką liczbą Chińczyków) w liczbie 928 tys. nie „ponoszą wszelkich ciężarów i upokorzeń apartheidu", ponieważ wraz z Koloredami korzystają z praw wyborczych i udziału w rządzie od 1984 r.

5) Umieszczona na zdjęciu tablica informacyjna o plaży przeznaczonej do użytku przez białą grupę rasową zawiera teksty w języku angielskim, afrikaans i zuluskim. Afrikaans to nie „afrykański", bo takie pojęcie nie istnieje. Zaś użycie obok w nawiasie terminu „staroholenderski" jest również nieprecyzyjne. Afrikaans — język urzędowy i ojczysty 60 proc. białych i 90 proc. Koloredów powstał na bazie języka holenderskiego i widać w nim wpływ języków francuskiego, niemieckiego, angielskiego, a nawet hotentockiego.

6) Osobne plaże dla ludności białej należy rozpatrywać w kontekście istnienia podobnych obszarów dla pozostałych grup ludności. W okresie przedwyborczym zniesienie takich zastrzeżeń mogło kosztować rządzącą partię utratę wielu miejsc mandatowych. Obecnie problem ten nie istnieje w sensie formalno-prawnym, a jedynie zwyczajowym. Charakterystyczne, że rzecznicy zniesienia segregacji rasowej ze strony białych np. na basenach publicznych byli zwykle posiadaczami własnych, prywatnych kąpielisk.

7) Sformułowanie „wrzeszczący prezydent" pod adresem ustępującego prezydenta P. Bothy było delikatnie mówiąc nie na miejscu, biorąc pod uwagę że pośrednią przyczyną jego odejścia była choroba serca. Również włożone w jego usta słowa nie bardzo pasują do jego spokojnej, opanowanej postaci, co można było zaobserwować chociażby w emitowanym przez naszą TV serialu „Apartheid". Należy stwierdzić, że żaden rząd w historii Południowej Afryki nie dokonał tylu zmian w polityce wewnętrznej względem czarnych obywateli, co rząd P. Bothy.

Republika Południowej Afryki pod kierunkiem nowego prezydenta F.W. Klerka wkroczyła na drogę reform. Powstaje zasadnicze pytanie, czy kolejne osłabianie barier rasowych doprowadzi do budowy państwa opartego na zgodnej współpracy wszelkich ras — czy też upadający system zdruzgocze swym ciężarem „świat w jednym kraju", jak bywa nazywana Południowa Afryka.

**TOMASZ LENCZEWSKI**

## KTO IM POMOŻE?

Byłem członkiem harcerskich „Szarych Szeregów" i jako taki powinienem być uznany za kombatanta. Ale przez całe lata ZBoWiD nie chciał uznać jednostek harcerskich walczących z Niemcami, mając im za złe, że nie byli w Armii Ludowej. Kiedy zgodził się „wspaniałomyślnie" na nasze racje, my sami nie kwapiliśmy się do niego wstępować. Dopiero w roku 1986, gdy ZBoWiD przejąwszy „monopol" nad przyznawaniem praw kombatanckich postawił nas w krytycznej sytuacji, za zgodą naszych władz „Szaroszeregowych" w Warszawie, wstąpiłem do tego związku (1 lipca 1986 r.), uzyskując prawa kombatanckie.

Od dwudziestu lat istnieje (rzekomo przy ZBoWiD w Łodzi) zespół byłych członków „Szarych Szeregów" pracujący na terenie Łódzkiej Komendy Chorągwi ZHP. Zespół ten zrzesza w swoich szeregach nie tylko „Szaroszeregowców" lecz i tych, którzy nie bywali i bywają uznani przez ZBoWiD, np. założona w roku 1939 w Łodzi i rozbita przez gestapo w lutym 1940 r. organizacja „Legion Wyzwolenia" która w poważnej części składała się z harcerzy.

Blisko 50 lat, które minęły od dnia wybuchu wojny spowodowały, że najmłodszy z nas świadek tamtego wydarzenia liczy już ponad 60 lat, a wielu ukończyło 80 lat. Z tych osiemdziesięciolatków żyją jeszcze nieliczni, którzy organizowali lub rozwijali harcerstwo łódzkie. Wśród nich są m.in. **Władysława Matuszewska,** była Komendantka Pogotowia Harcerek w Łodzi, która za okupacji była więziona w Ravensbrück, zaś po wojnie, zaleczywszy obozowe choroby w Szwecji, powróciła do kraju. Drugą osobą jest hm **Dominik Patora** ostatni komendant ula „Kominy" (łódzkiego) „Szarych Szeregów".

Rok 1989 okazał się dla tej dwójki osób bardzo pechowy. Ulegli wypadkom ulicznym i po leczeniu szpitalnym przebywali w domu z unieruchomionymi w gipsie kończynami. Niemal do chwili, kiedy ulegli wypadkowi uczestniczyli w pracach z młodzieżą harcerską i w chorągwianej komisji historycznej. Wypadki przerwały uczestnictwo tych osób w dalszych pracach nad zbieraniem materiałów z historii ZHP.

Pozostaje więc jeszcze jedna nie załatwiona sprawa, jaka w okresie dawnego ZHP lat dwudziestych i trzydziestych dałaby się w harcerstwie prowadzić i załatwić bez zbytecznych apeli i przekonywań. Ludzie starzy, instruktorzy harcerscy, niesprawni, pozbawieni pomocy fizycznej przeżywają ostatnie lata swego życia samotnie. Obecnie harcerstwo, do działalności którego przyczynił się także jeden z leaderów obecnej władzy, nie kwapi się do udzielenia pomocy starym, wysłużonym członkom swojej organizacji. Mają inne kłopoty np. utrzymanie się na resztkach zachowanych posad i etatów itp.

Inne organizacje harcerskie (te niezależne również, a jest ich według „Gazety Wyborczej" ponad 20) walczą o swój prymat, nie interesując się ludźmi starymi, na których autorytety powołują się jeszcze, lecz jedynie po to, aby utrwalać własną popularność i program.

Któż więc zainteresuje się coraz bardziej zniedołężniałymi i starzejącymi się instruktorami harcerskimi, jeżeli młodzież harcerska przyjmując ich młodzieńcze ideały nie zauważa już tych postaci odchodzącej historii harcerstwa?

**MIECZYSŁAW KOZAK**

## Z TARNOWA DONOSZĄ

Tradycyjnie około nowego roku otrzymujemy życzenia z Tarnowa od Barbary i Józefa Zbirogów. Tak stało się i w tym roku. Dziękujemy i wzajemnie życzymy wszystkiego najlepszego!

Barbara i Józef Zbirogowie prowadzą w Tarnowie Teatr im. Ludwika Solskiego. Ostatnio w „TeMi" (28 stycznia 1990 roku) w artykule Marka Stremeckiego pt. „Teatr gra dalej" znalazł się następujący fragment:

*„Na koniec dobra wiadomość dla panów teatru tarnowskiego i chyba jednak dla tego województwa. W Warszawie wysoko oceniono pracę państwa Zbirogów wraz z zespołem i placówka nasza została zakwalifikowana do drugiej grupy, czyli w 75 procentach będzie wspierana przez resort. Brakującą sumę powinny wyłożyć miejscowe władze. Na dodatek Teatr im. L. Solskiego może liczyć na dodatkowe pieniądze na wydarzenia specjalne. To wszystko dotyczy 1990 roku. Co będzie dalej, nie wiadomo. Na pewno jednak stworzono w Tarnowie czas i trochę komfortu do zajęcia się działalnością — jak mówią urzędnicy — merytoryczną. Tylko pozazdrościć".*

Gratulujemy! I jeszcze raz życzymy wszystkiego najlepszego!

**REDAKTOR DYŻURNY**

## WSZYSTKIM, KTÓRZY KOCHAJĄ ZWIERZĘTA

W sierpniu 1989 roku zmarła literatka Maria z Dowgielewiczów Korewa. Urodzona w 1906 roku w Pińsku, wychowywała się na Syberii, studiowała na Uniwersytecie Wileńskim, uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim 1944, a po II wojnie zamieszkała w Łodzi. Była żoną zmarłego w 1976 roku, profesora Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej — Witolda Korewy.

Sylwetkę Marii Korewy znaleźć można w wydanym ostatnio „Słowniku autorów" Tadeusza Błażejewskiego (KAW Łódź 1989). Maria Korewa publikowała w wydawanym w Łodzi (1945—46) tygodniku dla młodzieży „Przygoda". W 1948 roku wydała książeczkę dla dzieci „Mały żeglarz Koczkodanik". Jest autorką 34 powieści dla młodzieży: „Atahelpa pierwszy wódz Indian" (I wyd. 1949), „W blasku luti" (1960) oraz „Długa podróż Alego ben Hafiza" (I wyd. 1982). Ta ostatnia pozycja uzyskała nagrodę w konkursie „Czytelnika" oraz w 1984 roku nagrodę prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży. Nagrody tej w swojej przedmowie T. Błażejewski nie podał.

Maria Korewa była niezwykle skromną, przeuroczą osobą. Jej odejście zasmuciło wszystkich przyjaciół i znajomych, których miała spore grono. Maria Korewa była wielką miłośniczką psów i kotów. Do końca życia opiekowała się dwoma psami przybłędami, a książkę „Długa podróż Alego ben Hafiza" dedykowała „Wszystkim, którzy kochają zwierzęta". Książki M. Korewy natychmiast znikają z księgarni.

**CZESŁAW ŻYLIŃSKI**

## TYLKO TRZY WARUNKI!

Kilkanaście lat temu mój dobry znajomy z Wiednia ożeniony z Polką, moją koleżanką, i prowadzący niezbyt duży (jak na tamte warunki) biznes, przedstawił mi swoją teorię na temat polskich perspektyw gospodarczych.

„Ponieważ szybko pogubiłem się w waszych licznych programach, wypracowałem sobie własny test. Niewykluczone, że któregoś roku — powiedział — będę mógł u was w dowolnym sklepie oddać bez problemów pustą butelkę. Niewykluczone też, że będzie ona znormalizowana w skali kraju ze stałym napisem, a nie kosztowną nalepką z papieru. Być może w środku będzie wreszcie nadający się do picia płyn. Jeśli te trzy warunki zostaną wreszcie spełnione, zrozumiem że poruszacie się do przodu".

I co?

**JOANNA POLECKA**
**(Gdańsk)**

## NA ULICY PIOTRKOWSKIEJ

Idąc Piotrkowską często zadzieram głowę i podziwiam piękno łódzkich kamieniczek. Podziwiam piękno, które lada chwila może ulec zniszczeniu czy kasacji. Całe śródmieście Łodzi jest dziełem sztuki (jakże niedocenianym), zabytkiem, rzeczą niepowtarzalną, a mimo to niszczymy te wartości lub nie dbamy o ich urok (co jest chyba równoznaczne). Obecnie rozwala się (bo jak to inaczej nazwać) kamienicę przy ulicy Zielonej. Nie oszczędzono też gmachu Łódzkiego Dworca Kaliskiego, reprezentującego styl secesji wiedeńskiej.

Czy ze spokojem ducha i uśmiechem na ustach będziemy patrzeć na demontowanie coraz to innych zabytków? Dlaczego warszawianie mają śliczną, zadbaną Starówkę, krakowianie Sukiennice i Rynek także piękne? Chyba wytworzyliśmy specyficzną, „łódzką mentalność" polegającą na „dawaniu" i zniszczulicy. Od dłuższego już czasu walczy się o zamknięcie ruchu samochodowego na ulicy Piotrkowskiej (te spaliny) i utworzenie deptaku. I nic.

Cóż z tego, że historycy sztuki wołają na alarm, gdy w fasady kamienic wbija się rury gazowe. Kogo to obchodzi? Jednostki. Szkoda, że te tylko. Bardzo szkoda.

Jeśli tak dalej pójdzie, idąc ulicami Łodzi będziemy mogli „podziwiać" nowoczesne sklepy z napisami typu „KUPNO—SPRZEDAŻ". A póki co podążając do centrum modlę się w duchu: *„Boże, błagam Cię o to, by żaden gzyms nagle nie spadł mi na głowę..."*

**DARIA GRUNT**
**uczennica XXXI LO w Łodzi**

## ZAŚPIEWAĆ W OPOLU

Komitet Organizacyjny XXVII Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu wraz z innymi organizatorami tej imprezy ogłosił konkurs otwarty na piosenkę. Piosenka byłaby prezentowana na Festiwalu „OPOLE — 90".

**Trzeba:** — nadesłać „głos z fortepianem" lub kasetę magnetofonową skomponowanej piosenki, — trzy egzemplarze tekstu piosenki w maszynopisie, — oświadczenie, że piosenka nie była nigdzie wykonywana, które należy podpisać godłem, podobnie jak piosenkę, — kopertę oznaczoną tym samym godłem, w której są dane autora.

**Można:** — przesłać nie więcej niż trzy utwory, — wskazać przyszłego wykonawcę.

Wszystko to trzeba zrobić i przesłać do **15 kwietnia 1990** roku pod adresem: **Zarząd Główny Związku Autorów i Kompozytorów Polskich ZAKR w Warszawie (kod: 00-092), ul. Hipoteczna 2** lub pod adresem: **„Estrada Opolska", 45-056 Opole, ul. Kośnego 32 A. Zawsze z dopiskiem: „Konkurs na piosenkę „Opole — 90".**

**Przewidziano wysokie nagrody.**

WARTA: — Miasto szczyci się trzema Stanisławami: lotnikiem Stanisławem Skarżyńskim, rzeźbiarzem Stanisławem Szukalskim i pisarzem Stanisławem Kaszyńskim.

# Staś z Warty

TADEUSZ GICGIER

1.

Jadę do Warty. Za Sieradzem mijam po drodze Małków, gdzie na wysokiej skarpie, po lewej stronie szosy, wznosi się pałac Pstrokońskich. Jego ostatnie właścicielki, Walentyna i Maria Pstrokońskie, zapraszały tu w początkach naszego wieku znanych ludzi nauki, malarzy, pisarzy, m. in. Władysława Reymonta. W kilka lat po śmierci pisarza postawiono w małkowskim parku pomnik Reymonta, który w czasie wojny został zburzony. Podczas którejś z bytności w Bibliotece Wojewódzkiej w Sieradzu mówiono mi, że jednym z inicjatorów odbudowy tego pomnika był Stanisław Kaszyński. Zapraszał do Małkowa i do innych sieradzkich miejscowości kolegów z uczelni i ze Związku Literatów, którzy przy okazji rocznic Reymontowskich wygłaszali referaty, a honoraria przeznaczali na odbudowę pomnika w Małkowie. Przy odsłonięciu pomnika, w maju 1967, Stanisław Kaszyński wygłosił odczyt o życiu i twórczości Władysława Reymonta oraz jego związkach z Ziemią Sieradzką. Było to, jak mi powiedziano, piękne przemówienie, którego wysłuchały liczne rzesze zgromadzonych w małkowskim parku.

2.

Najpierw odwiedzam dom rodzinny przyjaciela, stojący przy warciańskim rynku. Rozmawiam z siostrą Stanisława Kaszyńskiego, panią Barbarą Neyman

— *Tu się urodził, tu w latach trzydziestych chodził do szkoły powszechnej. W r. 1939 zdał egzamin do gimnazjum sieradzkiego. Ale wybuchła wojna i wkrótce straciliśmy ojca, który został rozstrzelany przez Niemców jako zakładnik. Czternastoletni Staś, dla ratowania bytu naszej rodziny, zaczął pracować w miejskiej szwalni, a potem w miejskim przedsiębiorstwie rolnym. Znał nieco język niemiecki, więc dorabiał sobie jako tłumacz w gminie. Tłumaczył żywą mowę i pismo, to były jego pierwsze „wprawki literackie", zaczął też pisywać wiersze i zapoczątkował gromadzenie swego księgozbioru. Uczęszczał na komplety tajnego nauczania, co pomogło mu, zaraz po wyzwoleniu, zdać do trzeciej klasy gimnazjum w Rudzie Pabianickiej.*

*Bardzo pilnie się uczył, zawsze siedział w książkach. Przychodzili koledzy, stawali pod oknem, wołali:* „Stasiu, Stasiu, chodź grać z nami w piłkę!". *Staś zasłaniał wtedy okna i nie było go w domu. Oczywiście czasami grywał w piłkę, nasza niania nawet mawiała:* „Stasiu, nie graj w piłkę, bo sobie nogi popsujesz, a masz zgrabne nogi!'. *On chodził do kolegów na boisko, ale tylko wtedy, gdy już uporał się z lekcjami. Od najmłodszych lat był bardzo obowiązkowy.*

*Gdy zaczął uczęszczać do gimnazjum w Rudzie Pabianickiej, na każde ferie i święta przyjeżdżał do nas, do domu. Ale nie wystarczało mu życie rodzinne, ciągnęło go do rówieśników — organizował w Warcie teatr amatorski. Wpłynęły na to zapewne tradycje rodowe, nasz ojciec grywał w teatrach amatorskich, także obaj dziadkowie, ojciec ojca i ojciec makti, mama grywała; no i mnie brat również wciągnął do amatorskiego teatru. Wystawiliśmy Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej" i Kruczkowskiego „Odwety", które były również grane w Sieradzu i Zduńskiej Woli. Brat wyreżyserował te obie sztuki, w drugiej sam nawet zagrał na scenie. Pamiętam, że wśród mieszkańców Warty nasz teatr wzbudził duże poruszenie, było to przecież zaraz po wojnie, życie zbiorowe dopiero się organizowało.*

*Także później, w okresie studiów i pracy na Uniwersytecie, brat był stałym gościem w naszym domu. W Warcie spędzał wszystkie święta, wszystkie wakacje, przyjeżdżał sam albo ze swą córką Kasią. Tu u mnie pisał, przeważnie nocami, swoją pracę magisterską* „Atak Goszczyńskiego na Fredrę", *pracę doktorską* „Dzieje sceny kaliskiej" *i część rozprawy* „Teatr łódzki w latach 1945—1962", *za którą to rozprawę uzyskał stopień doktora habilitowanego. Tu tłumaczył z języka serbo-chorwackiego sztukę Brešana* „Przedstawienie „Hamleta" we wsi Głucha Dolna", *tutaj przygotowywał wiele recenzji dla pana Dejmka, z którym współpracował jako kierownik literacki Teatru Nowego. I co ciekawe: nic mu absolutnie nie przeszkadzało. Mój syn rozrabiał, bo był urwis nie z tej ziemi, ja gotowałam lub sprzątałam w domu, często był hałas — a Staś spokojnie zajmował się swymi pracami, świetnie potrafił się wyłączyć...*

*Kiedyś, pamiętam, było to w wakacje, ugotowałam obiad, a brat gdzieś wyszedł i nie wraca. Wreszcie przychodzi po jakichś dwóch godzinach. Ja mówię:* „Stasiu, bój się Boga, gdzie ty tak długo byłeś, wszyscy czekamy na ciebie!" *A on na to:* „Widzisz, Basiu, spotkałem Leosia...". *A to był taki Leoś, z którym brat chodził do szkoły, a który dawno temu wyjechał z Warty. Teraz spotkali się po latach i ten Leoś powiedział mu tak:* „No, ty to jesteś wielki człowiek, jakiś tam profesor czy docent, nie wiem, jak to się nazywa, i ty to ze mną nie pójdziesz do gospody na piwo...". *No i powiedz, Basiu, czy w tej sytuacji mogłem z nim nie iść do gospody?*

*Innym razem, także w czasie wakacji, wzięliśmy na przystani dwa kajaki i płyniemy sobie Wartą w stronę Sieradza, a rzeka była wtedy czysta i piękna, nie taka obrzydliwa jak jest teraz. Ja z mężem i synem płynę w jednym kajaku, brat płynie w drugim. Naraz patrzymy: nie ma go za nami. Czekamy godzinę, dwie, trzy, wypatrujemy — przepadł jak kamień w wodę. I co się okazało? Gdzieś po drodze nad rzeką stał znajomy Stasia, pan Marian Bobrowski, postać barwna i rodzajowa, trochę zbieracz, trochę malarz-amator, więc brat przybił do brzegu i przegadali tak ze sobą kawał czasu, zapominając całkiem o bożym świecie...*

*Bardzo często nie przychodził na kolację, no bo znowu spotkał czy Tomka Wagnera, czy jakiegoś innego kolegę, a ja godzinami wyczekiwałam przy garnkach. Ale kiedy wracał, umiał mnie zawsze rozbroić, mawiał wtedy:* „Ach, siostrzyczko, jak ty świetnie gotujesz! A ten twój rosół to będę pamiętał przez całe życie!"

*No a syn mój, Olgierd po ukończeniu liceum poszedł w ślady brata i zaczął studiować polonistykę. Staś bardzo cieszył się z tego.*

*Brat wiele podróżował po kraju, a nie mówię tu o jego systematycznych podróżach do Gdańska, gdzie prowadził zajęcia teatrologiczne w tamtejszym uniwersytecie. Działo się to w tym samym czasie, kiedy kierował Zakładem Dramatu i Teatru w Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego. Często wyjeżdżał za granicę. Pod koniec lat pięćdziesiątych był lektorem języka polskiego w Uniwersytecie Belgradzkim, w początkach lat sześćdziesiątych przebywał w Wiedniu jako teatrolog i stypendysta rządu austriackiego. Potem były podróże i odczyty naukowe w Anglii, RFN, Francji, Finlandii, Czechosłowacji, no i ostatnia podróż do Stanów i Kanady, gdzie przebywa obecnie jego córka Kasia.*

3.

Staszek, jak nazywaliśmy go w Łodzi, otrzymał stypendium Fundacji Kościuszkowskiej dla dalszych badań nad życiem i twórczością Jana Lechonia, którym zajmował się od wielu lat. Na podstawie tekstów poety opracował scenariusz pt. *„Pamiętnik intymny"*, wystawiony na Małej Scenie Teatru Nowego w Łodzi w r. 1974. Zebrał i opracował artykuły i recenzje Lechonia z lat 1916—1962 i wydał je w r. 1981 w PIW pt. *„Cudowny świat teatru"*. Zebrał, opracował i opatrzył wstępem *„Strofy o Janie Lechoniu"* (WŁ. 1985). Po powrocie ze Stanów, prawie natychmiast, zaczął publikować w „Życiu Literackim" nowe *„Lechoniana"*.

A sama podróż? Wybierał się w nią wiosną 1987, ale lekarze stanowczo mu ją odradzili ze względu na stan jego serca. Pojechał dopiero jesienią, kiedy jego zdrowie uległo poprawie. W początkach grudnia przysłał kartkę, w której pisał:

*„Moi Drodzy, żałuję, że nie spotkaliśmy się przed moim wyjazdem za Atlantyk, ale myślami byłem tak w mieście Łodzi, jak i w New York City. Przebogate wrażenia, nowe zupełnie dla mnie doświadczenia — udało mi się stosunkowo szybko zaadaptować, więc żyję normalnie, a bardziej nawet intensywnie niż w kraju. Jako że Święta niebawem, przyjmijcie z tej okazji najlepsze życzenia — Staszek".*

Przysyłał mi kartki z każdej swojej podróży. Kiedy ja wyjeżdżałem, pisywał do mnie długie, serdeczne, konsztowne listy — to prawdziwa rzadkość w dzisiejszej dobie upadku sztuki epistolograficznej.

4.

W budynku *„Muzeum Miasta i Rzeki Warty"* zastaję dwie panie, które dobrze znały Stasia Kaszyńskiego: dr Eugenię Kaleniewicz i Marię Racięcką. Pani Maria opowiada o Stasiu z ławy szkolnej, jak wyróżniał się spośród innych uczniów, jak razem śpiewali w chórze. Mówił mi już coś na ten temat Henryk Czarnecki, pisarz i wieloletni pedagog, który prowadził chór w gimnazjum w Rudzie Pabianickiej: Staszek miał również zainteresowania melomańskie, był nawet stypendystą nauki śpiewu solowego!

— *Gdy spotkaliśmy się po wielu latach* — mówi pani Maria Racięcka — *a wiedziałam już, że Staś został profesorem, nie śmiałam mu mówić per* „ty". *Ale on rozładował zaraz sytuację, powiedział:* „Marysiu, chyba sobie ze mnie żartujesz?" *Był bardzo dżentelmeński i szarmancki wobec swych wszystkich dawnych koleżanek.*

5.

Parę ładnych lat temu wybraliśmy się ze Staszkiem i jego żoną Bożeną na bal sylwestrowy do łódzkiego NOT, pozostawiając synów, ich Juliusza i naszego Piotra, pod opieką nieocenionych teściowych. Staszek był w świetnym humorze, wygłosił piękny toast z nieskazitelnie białej serwetki, a gdzieś po północy wpadł na pomysł, aby kłaniać się wszystkim paniom i składać im noworoczne życzenia. Większość nieznajomych pań potraktowała to naturalnie, ale jedna chciała koniecznie wiedzieć, skąd właściwie zna się ze Staszkiem? Wtedy zabłysnął jego talent aktorski: trzeba było widzieć, jak grał zdziwionego, jak się oburzał, że owa pani go nie poznaje...

6.

Mówi dr Eugenia Kaleniewicz, niestrudzona lekarka-społeczniczka, zasłużona działaczka PTTK w Sieradzu i w Warcie:

— *Poznałam późniejszego profesora Kaszyńskiego, kiedy był jeszcze chłopcem, a więc zaraz po wojnie. Zachorował wtedy ciężko na zapalenie stawów, a ja jako lekarka przyszłam po raz pierwszy do domu państwa Kaszyńskich. Kiedy dowiedziałam się, że jego ojca spotkał tragiczny los, że rodzina została osierocona — bardzo się tym przejęłam. Odwiedzałam często chorego i ogromnie się cieszyłam, kiedy stopniowo wracał do zdrowia. Później, już jako teatrolog, Stanisław Kaszyński był konsultantem naszego teatru amatorskiego przy Szpitalu dla Nerwowo Chorych w Warcie. Prowadziłam ten teatr i poprosiłam go o współpracę, bo zawsze darzył mnie sympatią.*

*Prof. Kaszyński dawał swym podopiecznym tematy do prac magisterskich związane z życiem kulturalnym, a zwłaszcza z tradycjami teatralnymi naszego miasta. Mamy takie dwie prace w naszym muzeum PTTK w Warcie i bardzo je sobie cenimy.*

*Ostatni rozdział w jego działalności społecznej to okres, kiedy pełnił funkcję prezesa powołanego przed trzema laty do życia Towarzystwa Przyjaciół Miasta i Rzeki Warty. Pan profesor wzbraniał się przed objęciem tej funkcji przekonywał, że jest przecież nieobecny w Warcie, że tylko tu przyjeżdża, ale w końcu dał się namówić. Zabrał się, jak to on zawsze, energicznie do pracy, zorganizował sesję popularno-naukową poświęconą światowej sławy rzeźbiarzowi, Stanisławowi Szukalskiemu, sam też wystąpił z odczytem o nim. Na rok przed pięćdziesiątą rocznicą Września, kiedy powstała myśl upamiętnienia mieszkańców Warty, którzy zginęli w obozach zagłady — załatwił z naszym proboszczem sprawę umieszczenia tablicy pamiątkowej w murach kościoła, mnie zaś zlecił, abym uzyskała na to zgodę konserwatora wojewódzkiego, co też zrobiłam. Niestety, dalszych kroków już nie poczynił...*

*Zapoczątkowaliśmy w naszym warciańskim Muzeum ekspozycję poświęconą prof. Stanisławowi Kaszyńskiemu. Zbieramy do niej materiały i pragniemy zaapelować do wszystkich, którzy go znali i z nim się przyjaźnili, aby zechcieli przekazać nam pamiątki po nim. Mamy trzech sławnych rodaków, wszyscy trzej to Stanisławowie: pierwszym był pilot Stanisław Skarżyński, zdobywca Atlantyku Południowego, drugim wspomniany Stanisław Szukalski, a trzeci to Stanisław Kaszyński, nasz Staś z Warty, jak go tu powszechnie nazywają.*

7.

Stanisław Kaszyński był również poetą. W roku 1963 wydał tomik zatyt. *„Poszukiwanie krajobrazu"*, później, od czasu do czasu, publikował wiersze w pismach literackich. Znany krytyk, Henryk Pustkowski, tak pisał o nim:

*„Pragniemy potraktować twórczość poetycką S. Kaszyńskiego nie tylko jako zjawisko autonomiczne — odcięte niejako od korzeni jego twórczości naukowej i kulturowej, ale właśnie jako sferę mediacji między sztuką i refleksją nad nią. Wydaje się bowiem, że nie sugerując się autentyczną skromnością autora „Poszukiwania krajobrazu", który wierszom swoim nie przydaje wartości równoważącej imponujący przecież dorobek naukowy, słuszniej będzie dla tej poezji znaleźć miejsce nie na prawach „lirycznego wybryku", ale koniecznego w twórczym procesie elementu ekspresji osobowości, momentu modelującego dalsze, bardziej już sproblematyzowane, urefleksyjnione działania".*

Sam poeta natomiast, we wstępie do zbioru wierszy *„Krąg najbliższy"* (1984), określał się następująco:

*„Należę do tej nielicznej — na nieszczęście czytelników coraz mniej zresztą licznych — konfraterni wierszopisów, która nie mieni się poetami i nie wpisuje się w ich poczet, a jedynie sytuuje się w szeregu rejestratorów emocji i refleksji. Dlatego nie wiem, czy to co piszę, jest twórczością, właśnie: owe przystanki wzruszenia, wywołujące migawki i wspominki z lat dawnych i dni dopiero co zbiegłych, a przetrawione doświadczeniem i przede wszystkim sentymentem wieku dojrzałego. Pisałem je zupełnie świadomie na staroświecką modłę według reguł antiquo modo, bo, jak mi się zdaje, ta postać rymopiska najtrafniej chyba wyraża mój stosunek do osób i spraw mocno, głęboko osadzonych w Ziemi Rodzinnej. ...Jestem szczęśliwy, że z wysokich a nie docieczonych wyroków urodziłem się na tej Ziemi, w Warcie nad Wartą, w Domu pogodnym i czułym, polskim, w miasteczku godnym zamyślenia prawdziwych poetów. ...Związałem się pracą z Łodzią. Jakie to szczęście dla mnie, że stąd niedaleko do miasta i rzeki Warty".*


„GEA"
ŁÓDŹ, ul. JARACZA 9,
tel. 33-25-69

Z A P R A S Z A

do

- SKLEPU z nowym sprzętem RTV
- KOMISU sprzętu elektronicznego

oraz

- DOSTAWCÓW HURTOWYCH do współpracy.

U nas TANIO kupisz, DROGO sprzedasz.

396/K

SPÓŁKA „TOMI"

P R O P O N U J E:

- reklamę foniczną w SDH „CENTRAL"
- NAJTANIEJ W ŁODZI
- popołudniowe zajęcia muzyczno-ruchowe dla dzieci w wieku 6—10 lat w Państwowej Szkole Baletowej w Łodzi,
- montaż anten satelitarnych wszystkich typów,
- kurs tańca nowoczesnego z wykorzystaniem znanych filmów muzycznych.

Szczegółowe informacje: Spółka „TOMI". Łódź, ul. Wspólna 6, tel. 34-33-05.

KB

ogłaszaj się w „ODGŁOSACH"


## OGŁOSZENIA DROBNE

### KUPNO-SPRZEDAŻ

**POSREDNICTWO** — TVC, wideo. 52-28-57.
4975-g

### NAUKA-PRACA

**STUDENCKIE** Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-29-65.
13431-g

### MEDYCZNE

**APO** — Pielęgniarstwo, dyżury, opieka, masaż, rehabilitacje. 86-69-69.
3809-g

### USŁUGI

**ZE SLAJDÓW** — zdjęcia wykonuje: MiG Rycel, Łódź, Wojska Polskiego 120, tel. 57-40-87.
2715-g

### ZGUBY

**UNIEWAŻNIAM** pieczątkę: Okręgowy Urząd Miar i Jakości w Łodzi Wydział Techniczny Termodynamiki Naczelnik Zygmunt Raczyński.
16863-g

**ZGUBIONO** prawo wykonywania zawodu pielęgniarki nr 2862 Barbara Bartkowicz.
5552-g

**SKRADZIONO** pieczątkę „Dr n. med. Lesław Brodowski — specjalista chorób wewnętrznych 995, Łódź, Rydzowa 5/27, tel. 52-79-30".
5521-g

**JACEK** Mirowski zgubił leg. studencką 60196 PŁ.
4707-g

**ZBIGNIEW** Kozioł zgubił leg. studencką 60827/S UŁ.
5335-g

**MICHAŁ** Brzeski zgubił legitymację studencką 6416 WAM.
5392-g

**ANNA** Gryglewska zgubiła leg. studencką 5755 WAM.
5097-g

**ANNA** Gryglewska zgubiła leg. studencką 17134/L AM.
4945-g

**BINEK** Dariusz zgubił leg. studencką 66805 PŁ.
4978-g

**MACIEJ** Sroczyński zgubił legitymację studencką 62752/S UŁ.
4871-g

**TERESA** Słowińska zagubiła zaświadczenie prawa wykonywania zawodu pielęgniarki nr 179 wydane przez UMŁ.
4886-g

**JACEK** Jackowski zgubił legitymację studencką 64793 PŁ.
16994-g

**JERZY** Perydzeński zgubił legitymację studencką 61921/S UŁ.
16748-g

od środy do środy

# PROGRAM TV

**ŚRODA. 14.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 „Wśród ciemności" — węg. film fab.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.23 Dla młodych widzów: Latający Holender
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
17.55 Telew. Inform. Wydawn.
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Akademia filmowa: „Czyste niebo" — radz. film fab.
22.00 Sport
22.10 Program publ.
22.40 Echa dnia
22.55 Wódko pozwól żyć...
23.30 J. angielski

**PROGRAM II**

16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 ABC — telet.
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Pokój niżej" — odc. ang. ser.
19.30 Salonowe potyczki — spotkanie z Andrzejem Brychtem
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron: „Najbogatsza" — rep.
21.30 Panorama dnia
21.45 Telewizja nocą
22.30 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla" — odc. 2 ser. RFN
23.30 Komentarz dnia

**CZWARTEK 15.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 „Policjanci z Miami" — odc. ser. USA
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon — mag.
17.55 „Poza rok 2000" — austral. ser. dok.
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — odc. ameryk. ser. krymin. pt. „Łatwy przerzut"
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
21.45 LEX — mag. społ.-prawny
22.30 Echa dnia
22.45 Pegaz
23.35 J. angielski

**PROGRAM II**

16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Morfologia i fizjologia owadów"
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Perły z lamusa: „Człowiek w białym garniturze" — ang. film fab.
23.10 Komentarz dnia

**PIĄTEK 16.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 „Słynne historie zbójeckie" — odc. czech. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — telet.
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 „Tryptyk biecki" — cz. III filmu dok. pt. „Wiesław"
18.25 Rzeczpospolita samorządna
18.45 Weekend w Jedynce
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 „Casanova 70" — włoski film fab. Bohaterem filmu „Casanova 70" — zrealizowanego przez Mario Monicellego — jest Marcello Mastroianni, który z powodzeniem wcielił się w rolę przystojnego oficera wojsk NATO, tworząc sympatyczną postać nowoczesnego Casanovy.
22.05 Sport
22.10 Moda i styl — oferty Pegaza
22.30 Echa dnia
22.50 Spór o jutro — Otwarte studio

**PROGRAM II**

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 O czym się mówi?
18.50 Program rozrywk.
19.30 Dookoła świata: „W Sudanie"
20.00 Piątek — magazyn z Krakowa
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dom na wydmach" — franc. film fab. W czasie nieobecności męża żona dowiaduje się, że jest współwłaścicielką domu na wybrzeżu. Postanawia wraz z synem odwiedzić tajemniczą posiadłość. Na miejscu zostaje uwikłana w szereg niezwykłych okoliczności. Z trudem udaje się jej ujść z życiem. Mimo to pragnie rozwikłać zagadkę...
23.15 Komentarz dnia

**SOBOTA, 17.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — progr. red. katolickiej dla dzieci
9.00 DROPS — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Heidi" (1)
10.30 Wiadomości
10.40 „Azjatycka mozaika" — odc. 3 franc. filmu dok. pt. „Modlitwy lamów"
11.05 Małe formy muzyczne gra Orkiestra Koncertowa WP
11.35 Z Polski rodem — mag.
12.05 „Nikaragua" — film dok.
12.40 „Boże, coś Polskę" — pieśń Powstania Styczniowego
13.15 Telew. Teatr Prozy: M. Gogol — „Martwe dusze"
15.00 Być reporterem — Wiesław Maciejewski
15.25 Filmy o miłości: „Ruchome piaski" — reż. Władysław Ślesicki
16.40 Rewizja nadzwyczajna
17.15 Teleexpress
17.30 Nie chcę żadnego jubileuszu — Mira Zimińska-Sygietyńska
18.35 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Yenti" — ameryk. film fab. To debiut reżyserski słynnej piosenkarki Barbry Streisand. Film oparty na noweli Isaaca Bashevisa Singera, opowiadającej o historii żydowskiej dziewczyny, która na początku naszego wieku postanawia się kształcić. Nie zniechęcają jej żadne przeszkody — w chłopięcym przebraniu, przybierając imię Anshel, dostaje się do szkoły z... internatem...
22.20 Sport
22.40 Tydzień w polityce
22.50 Piosenki Michała Bajora
23.30 Telegazeta
21.40 Kino sensacji: „Ucieczka z Nowego Jorku" — ameryk. film fab. Film ukazuje wizję tej wielkiej metropolii w 1997 r. Fala przestępczości osiągnęła takie rozmiary, że rząd USA przekształca wyspę Manhattan w gigantyczne więzienie— świat hermetycznie zamknięty, strzeżony z zewnątrz, zaś wewnątrz rządzący się swoimi przestępczymi prawami. Awaria samolotu, którym leciał prezydent USA, spowodowała że trafia on w środek Manhattanu...

**PROGRAM II**

13.00 Konkurs 5 milionów
13.45 Bariery
14.10 Dinozaury
14.15 „Okavango — Klejnot Kalahari — Nowe wyzwanie" — ang ser. dok.
14.45 Spektrum
15.00 „Kuszenie wyobraźni" — odc. filmu dok. pt. „Duma"
15.40 Meandry architektury
16.00 Tylko dla zwierząt
16.10 Studio sport
16.40 Program dnia
16.45 Ordonka — (2) fragment koncertu
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra — telet.
19.30 „Ostatni posterunek" — rep.
20.00 Filharmonia Dwójki: Symfonia Alpejska Ryszarda Straussa
21.00 Muzyka i polityka: „Pod Twoją obronę"
21.30 Panorama dnia
21.45 „W ojczyźnie serce me zostało"
22.20 „Znów w Brideshead" — odc. ang. ser. obycz.
23.10 Komentarz dnia

**NIEDZIELA, 18.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Tydzień
8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz film pt. „Emil z wioski Lonneberga"
10.30 Dt — wiad.
10.35 „Kalejdoskop paryski" — franc. film dok.
11.30 Kraj za miastem
12.00 Poranek symfoniczny WOSPRiT
13.00 Teatr dla dzieci: K. Makuszyński — „Awantury i wybryki małej małpki Kiki-Miki"
13.55 Koncert życzeń
14.40 Świat umykający
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka" — odc. brazyl. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 „Powrót Odysa" — film dok.
18.30 Sportowa niedziela
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe" — odc. 1 ameryk. ser. Ten 12-odcinkowy serial to historia dwóch rodzin pochodzących z krańcowo różnych części Stanów Zjednoczonych. Bogata w wydarzenia akcja, wyraziste postaci bohaterów, skomplikowane wątki miłosne ukazane na bogatym tle obyczajowym i politycznym. Akcja rozpoczyna się przed wojną secesyjną, która pochłonęła 700 tys. ofiar. 130 dużych ról z udziałem słynnych aktorów (Elizabeth Taylor, Gene Kelly, Robert Mitchum, James Read i Patrick Swayze) wszystko to gwarantuje popularność nowemu serialowi.
21.40 7 dni — świat
22.10 Sport
22.50 Filmy Józefa Błachowicza

**PROGRAM II**

8.45 Przegląd tygodnia
9.10 „Północ — Południe" — odc. 1 ameryk. ser.
10.40 „Twierdza — Przemyśl" — film dok.
11.20 Koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino familijne: „Bajarz" — odc. 8 ser. pt. „Dziecko szczęścia"
13.20 100 pytań do...
14.00 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem
14.15 „Polacy" — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia" — odc. 5 ser. dok.
16.05 Biografie: „Norman Mailer" — film biograf.
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata
19.00 Konflikty narodowościowe
19.30 Galeria „2" — Włodzimierz Szymański
20.00 Studio sport
21.00 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 Program rozrywkowy
22.15 „Natica Jackson" — ang. film fab.
23.05 Komentarz dnia
23.10 Akademia wiersza

**PONIEDZIAŁEK, 19.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Wędrówki dalekie i bliskie: „Czarodziejskie kółka" — szwajc. film dok.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Poniedziałkowy: Eustachy Rylski — „Chłodna jesień"
22.05 Sport
22.15 Kontrapunkt
22.45 Echa dnia
23.05 J. francuski

**PROGRAM II**

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 Zmagania o Polskę: „Zamiatacze placów" — ang. film dok.
19.30 Życie muzyczne
20.00 Auto — Moto Fan Klub
20.30 Osądźmy sami
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Laureat Złotego Ekranu — recital Romana Lasockiego
22.05 „Heimat" — odc. ser. obycz. prod. RFN
23.05 Komentarz dnia

**WTOREK, 20.02.1990 R.**

**PROGRAM I**

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiad.
9.25 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej" — odc. ser. RFN
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik — Tak
16.50 Kino Tik — Taka: „Opowieści byczka"
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Obok nas: „Punkt zwrotny"
19.30 Wiadomości
20.05 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej" — odc. 4 ser. RFN pt. „Adieu, Claire"
21.15 Sport
21.45 Listy o gospodarce
22.20 Kinomania
22.40 Echa dnia
23.05 J. rosyjski

**PROGRAM II**

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program publ.
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Film dok.
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. K. Irzykowskiego: „Choinka strachu" — reż. T. Lengren
22.40 Komentarz dnia

lewym okiem

# Mur na pamiątkę

Pada pod młotami wielokilometrowy mur dzielący od ćwierćwiecza dwie — jakże różne od siebie — części Berlina. Młoty walą w mur i rozbijają go na głazy. Przychodzą ludzie i głazy małymi młotkami rozbijają na mniejsze kawałki, przychodzą jeszcze inni i te mniejsze kawałki kruszą na drobiny, które opakowane w celofan, zaopatrzone w pieczęcie i podpisy, wędrują za ocean. Tam są jednym z przedmiotów handlu detalicznego pamiątkami. Mur berliński ma w sumie dać Niemieckiej Republice Demokratycznej paręset milionów dolarów. Można więc powiedzieć, że była to inwestycja opłacalna. Dochody z rozkruszonego muru mają pokryć koszty konserwacji pomników w NRD. Widocznie nie pomyślano tam jeszcze o burzeniu także pomników. Może i one pójdą na stragany z pamiątkami w Nowych Jorkach, Londynach i Paryżach. Myśmy tę okazję przegapili, nasze obalone pomniki stoją prawie nietknięte po różnych szopach, a niektóre zostały rozbite już na miejscu postoju. Rozbite za darmo, a nawet dopłaciło się jeszcze do ich zdemolowania. Zaprawdę nie mamy zmysłu do interesów. A może znalazłoby się coś do sprzedania? Może na przykład drzazgi z Okrągłego Stołu? Stop. To przecież symbol, my Polacy kochamy symbole...

Pozostańmy przy branży murarskiej. Mur berliński, a przynajmniej jego część, pozostawiony na miejscu stanowiłby atrakcję turystyczną, a więc także dawałby dochody władzom komunalnym miasta. Oni jednak wolą tę pamiątkę zburzyć.

Gdyby takim samym pokusom uległy rządy Chin dawno już mur chiński by nie istniał. Pomyślcie — paręset czy nawet parę tysięcy kilometrów potężnego, kamiennego olbrzyma rozkruszonego na kawałeczki, rozsiane po całym świecie za ciężkie dolary — jakiż to majątek! Jakie to miliardy zamrożone na nie zamieszkanych prawie górach Dalekiego Wschodu!

Ale my, co my moglibyśmy upłynnić w tak ciężkiej sytuacji gospodarczej? Prawda, u nas też jest mur, wcale nie mniej potężny niż tamten w Chinach. Myślę o nieszczęsnej ścianie naszej ogólnej niemożności w którą walimy głową od dziesiątków lat i nie możemy się przebić na ludzką stronę świata. Wszystkie nasze usiłowania, wszystkie nasze reformy, to niewiele więcej niż walenie głową w ścianę. Na ogół bywa, że to nie ściana pęka od takiego walenia. Trzymajmy się zatem za głowy! I nawet mniejsza już o interes, my naszej ściany nie sprzedamy nikomu na pamiątkę. Co do mnie, gotów byłbym dopłacić byleby ona wreszcie zarysowała się i zamieniła w niesławne wspomnienie.

**WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI**

# Po drugiej stronie

Ostatnio zmieniły się w „Odgłosach" winietki nad felietonami. Teraz są to owalne ramki ze stałymi tytułami, pod którymi poszczególni autorzy piszą często od wielu lat. Nad moim pisaniem ramka jest pusta. Wymyśliłem więc, że dobrze byłoby pisać pod szyldem „Puste miejsce" i zaproponowałem redaktorowi, że pierwszy felieton z tego cyklu będzie miał tytuł „W bagnie", potem będzie pusto, a na koniec moje imię i nazwisko. Oczywiście chciałem, by wierszówka była taka sama, jak za napisany tekst. Zmartwiłem się jednak, bo mój pomysł nie spotkał się z akceptacją i chcąc nie chcąc byłem zmuszony z niego zrezygnować. Wróciłem więc do domu, zasiadłem w fotelu i począłem zastanawiać się nad nowym felietonem. I nagle coś mnie poderwało. Wstałem, podszedłem do lustra i... nie uwierzycie, przeszedłem na drugą stronę. Wiem, że to motyw dość często powtarzany w literaturze fantastycznej i nie tylko. Nawet Myszce Mickey udało dostać się na drugą stronę. Mogę więc i ja.

Początkowo nie wiedziałem o co chodzi. Obejrzałem się, lustro wisiało na swoim miejscu, tylko ja stałem do niego tyłem. Jest to więc możliwe — pomyślałem i zacząłem oglądać mieszkanie. Wszystko było tu takie samo, a jednak inne. Nie wiedziałem na czym polega ta inność, ale wyczuwałem, że istnieje. Zdawałem sobie również sprawę, że nie może być wielkich różnic, bo przecież ten świat jest jedynie odbiciem tamtego, jakby jego przedłużeniem. Niełatwo przecież oderwać się od lustra. Oczywiście zawsze można je rozbić, ale to podobno grozi siedmioma latami nieszczęścia, nie warto więc ryzykować. A poza tym z rozbitych kawałków niezwykle trudno jest złożyć całość. I w dodatku można je źle dopasować, a nie ma nic gorszego niż krzywe odbicie.

Ale skoro znalazłem się już w tym świecie, postanowiłem go dokładnie zwiedzić. Ubrałem się i wyszedłem na ulicę. — Najlepiej będzie kupić gazetę, wtedy zorientuję się, co się tu dzieje — pomyślałem. Zdziwiłem się jednak mocno, kiedy nie znalazłem kiosków. W ich miejscu stały jakieś dziwne stojaki, na których leżało tylko jedno, za to bardzo grube czasopismo. Wziąłem je do ręki i pobieżnie przekartkowałem. Nazwisk znamienitych znalazłem tu mnóstwo. Zaskoczony tylko byłem faktem, że niektóre z nich występowały obok siebie. Zrozumiałem szybko, że z owego pisma dowiem się raczej niewiele. Wypatrzyłem więc wśród przechodniów człowieka, którego wygląd, jak to się mówi, wzbudzał zaufanie i podszedłem doń z nadzieją, że powie mi coś więcej.

— *Wie pan* — zacząłem. — *wróciłem właśnie z zagranicy, nie było mnie tu od kilku lat i teraz nie bardzo mogę się w tym wszystkim zorientować. Co to jest na przykład za czasopismo?* — wskazałem palcem na tom, który trzymałem pod pachą.

— *To pan nic nie wie? Musiało pana rzeczywiście długo nie być* — powiedział jakby z melancholią w głosie. — *Przed paroma miesiącami* — kontynuował — *Sejm podjął uchwałę o zlikwidowaniu wszelkich czasopism... wie pan, papier drogi, dziennikarze nie bardzo mają o czym pisać, a w ogóle to i tak mało kto teraz czyta. Postanowiono zostawić tylko jedno czasopismo... żeby nie powiększać liczby frustratów w społeczeństwie. I dlatego wolno w tym czasopiśmie obrzucać się wszelkimi kalumniami. Lepsze przecież to niż bijatyka. Ludzie muszą się odreagować i przy okazji pozałatwiać stare porachunki. To znaczy, sprzed lat... wie pan, kto był w partii, kto nie, kto komuś powiedział coś złego, albo nie przyjął do pracy. Można nawet używać brzydkich słów. Rekord pobił jeden z dziennikarzy, który na dwóch stronach równiutko, linijka pod linijką napisał słowo „dupa". Po prostu wyrzucił już z siebie wszystko, co w nim siedziało, wszystkim już dopiekł, wyżalił się, że on taki mądry a nikt go nie docenia i jeszcze chciał coś powiedzieć ponad to, no to powiedział. I muszę przyznać, że czytało się to z wypiekami na twarzy, osiągnął więc sukces, o którym marzył przez całe życie. Swoje kilkadziesiąt stron ma również młodzież, która też wypisuje swoje hasła. Wie pan, jest przynajmniej wesoło, a o innych rzeczach dowiadujemy się z telewizji.*

Czym prędzej wróciłem do domu, stanąłem przed lustrem, zrobiłem krok do przodu i... odbiłem się. Teraz opisuję to wszystko i nie wiem, w jakim świecie jestem. Za chwilę postaram się jeszcze raz podejść do lustra. Tym razem może się uda.

**TOMASZ A. WŁODKOWSKI**

nagłe zastępstwo

# Taryfowe lobby

Wreszcie wiemy co to rynek: księżycowe ceny, z sufitu albo (co gorsza) z głowy producenta i sprzedawcy, czyli z niczego. Czasem aż dech zapiera z zachwytu — obiegło już cały kraj oświadczenie producenta lodówek i zamrażarek, które to luksusowe artykuły, do niedawna nieosiągalne bez pomocy nocnego stacza kolejkowego, obecnie zalegają sklepy i magazyny. Bo nas, szarych ludzi, nie stać. I w tej sytuacji ów szanowny producent oświadcza, że obecna cena to małe piwko — jak doliczy nowe koszty energii itp. to dopiero będzie cena! No, będzie, tylko że najwyższą cenę zapłaci załoga tegoż producenta: firma splajtuje, a załoga na bruk. Dyrektor chyba nie, bo już należy do dobrze prosperującej spółki?

Największy jednakże zachwyt budzi to, co się dzieje w branży taksówkowej! Taksiarze w Łodzi i w Szczecinie biorą najdrożej w Polsce — licznik razy 140 i 150. Uściślijmy — nie tyle biorą, ile chcieliby brać. Na razie stoją długim sznurem na postoju. Przy okazji instytucja pt. „postój taksówek" wreszcie nazywa się zgodnie z logiką i rzeczywistością. Jeszcze niedawno były to przecież „postoje pasażerów".

Otóż panowie taksówkarze, dotąd przemęczeni wielogodzinnym obracaniem po mieście nie oglądają zachodnich, zwłaszcza amerykańskich, filmów. Gdyby oglądali musieliby zauważyć bardzo typowy obrazek: bohater filmu wychodzi z hotelu, restauracji czy dużego sklepu, pstryka z palców lub woła: „taxi!" — i taksówka już podjeżdża. Nasi taksiarze przyzwyczajeni są raczej do takiej sytuacji, kiedy to podjeżdżają na postój, wykrzykują: kto na Teofilów? — następnie biorą dwóch pasażerów o zbliżonych adresach i obaj pasażerowie płacą oddzielnie za ten sam kurs.

Teraz się nagle skończyło i nasi transportowcy taksówkowi wpadli w panikę. Jeszcze niedawno wraz z całym społeczeństwem zgodnie twierdzili, że tylko konkurencja zdolna jest uratować gospodarkę. Ale kiedy przyszło działać w warunkach konkurencji, gwałtownie pragną ją wyeliminować. Zwłaszcza obawiają się napływu nowych sił taksówkarskich w wyniku bezrobocia (choć ogólnie na bezrobocie się zgadzają). Boją się mianowicie, że bezrobotni właściciele samochodów zostaną taksówkarzami. Pewnie będzie się to zdarzać.

Taksiarze jednak nie ustępują i ani im w głowie, że nikt ich karać nie będzie za obniżenie taryf. Wówczas zadziałałaby stara handlowa zasada: niska marża, duży obrót, duży zysk. Zamiast dzisiejszego: wysoka marża, mały obrót, mały zysk.

Chyba jedyny ratunek widzi nasze taksówkarstwo osobowe i bagażowe w parlamencie naszym drogim i rządzie (nareszcie „naszym"), które to wysokie ciała powinny specjalnym aktem prawnym zobowiązać każdego obywatela do odbycia co najmniej raz w miesiącu choćby krótkiej jazdy taksówką. Można też liczyć na ministra Jacka Kuronia. Może uruchomi fundusz „SOS dla taksówek"?

Życie samo przyniesie rozwiązanie. A może już niebawem będziemy tak dużo zarabiać, że bez taksówki nie uda się dowieźć do domu miesięcznych poborów? Czego wszystkim życzę, taksówkarzom, rzecz jasna, też.

Nie da się ukryć, że tak jak mięso jest w naszym kraju artykułem politycznym, tak zawód taksówkarza jest zawodem politycznym. Przynajmniej od 1982 roku. Sam mogę wskazać kilku dzisiejszych prominentów, którzy przez ostatnie osiem lat zajmowali się właśnie taksówkarstwem. Nie bardzo z własnej woli... Tak więc, głowa do góry, panowie taksiarze. Macie silne lobby w kręgach zbliżonych do władzy!

**ANDRZEJ KAROL**

ALEKSANDER MINKOWSKI

# Sekrety prominentów (11)

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Człowiek Majora nosił brodę i okularki w drucianej oprawie, w kieszeni dżinsowej wyświechtanej bluzy miał studencką legitymację. Nie wolno mu było do niczego się wtrącać. Ma robić to co inni, nawet skandować wywrotowe hasła. Co dziesięć minut szept do zegarka, w którym koreańscy spece zmieścili mikrofon z nadajnikiem. Anteną jest bransoleta.

Człowiek Majora, leniwie żując gumę, żeglował przez tłum, dobijając od czasu do czasu do większych grup, gdzie toczono rozmowy. Wszyscy na coś czekali. Człowiek zorientował się, że jedni wiedzą na co, inni nie i tych innych jest dominująca większość. Służby porządkowe odepchnęły ludzi od bramy na przepisowe sto metrów, za tablicę z zakazem wstępu. Było to bez znaczenia, bo do bramy i tak ręką sięgnąć. Nikt nie stawiał oporu, kiedy służby odpychały. Brodacz o to prosił: „Nasz opór jest bierny, proszę państwa. Walcząc z nimi dosłownie, bylibyśmy szybko pokonani, ponieważ oni to policja i wojsko. Ale nic nie poradzą na chóralny śpiew, zbiorową głodówkę, akty poświęcenia. Bardziej niż kamieni i sztachet boją się naszego śpiewu. Zaśpiewajmy!".

Nie będzie władza pluć nam w twarz,
Ni dzieci brać do woja,
Do swej ojczyzny prawo masz —
To jest ojczyzna twoja!

Precz z kajdanami obcych słów,
Precz z narzuconą wiarą,
Bracie, modlitwę z nami zmów:
Ich niechaj spotka kara!

W wisiorze na szyi, wyglądającym jak afrykański amulet, człowiek Majora miał mikromagnetofon „Sony Special", który włączył przyciskiem w kieszeni. Nagrał pieśń. Potem nagrał swój dialog z tęczowowłosą w za obszernym geometrycznym swetrze i spódnicy samodziałowej do kostek. Nim podjął dialog, spróbował policzyć kolory w jej włosach. Naliczył szesnaście barw i odcieni. Czy to wystarczy, aby się wyrwać z szarzyzny i rzucić wyzwanie światu? Podobno barw i odcieni musi być nie mniej niż dwadzieścia. Na Manhattanie lesbijki z Ruchu Wyzwolenia Kobiet dochodzą do trzydziestu paru, ale tam są farby, a co u nas?

— Cześć, mała — powiedział człowiek Majora, wgniatając przycisk w prawej kieszeni spodni. — Ale obciach.

— Jeszcze się nie zaślinił — odparła. — Tryśnie, kiedy ampuła zaindukuje, wtedy zobaczysz.

— Na przedpolu?

— Coś ty. Meny nie olewają imponderabiliów. Jeśli coś majsterkują, to w każdym detalu ful. Będzie siurpryza.

— Za ile?

— Nie pal się, facet, ona to zrobi. Jeszcze trzy kwadranse. Daj szluga.

Człowiek Majora poczęstował tęczówkę mocnym papierosem, sam też zapalił. To było dla niego najgorsze, bo rzucił nie tak dawno palenie i bał się, że przez służbowy obowiązek wróci do nałogu.

— Jesteś od nich? — zapytał.

— Nie, ale balangowałam z jednym. Zadzwonił wczoraj, że będzie projekcja. Zrobię z tego kawałek dla „STRZYKAWY", piszę tam.

— Co się właściwie szykuje? Byłem aut przez miesiąc, goniłem malinę po sąsiedzku u nurfirdojczów.

— Tych dobrych czy tych złych? — Tęczówka zaśmiała się, pokazała przyżółcone od dymu zęby. — Mamy dosyć. Jesteśmy pustynią w Europie. Hańba, rozumiesz? Dla marnych gówien truje się kraj do szpiku kości. Zdechniemy wszyscy na białaczkę. A tu jeszcze dla kaprysu buca rzekę chcą zniszczyć, zasuszyć kilometry czarnoziemu.

— Dużo was przyjechało?

— Bomba dotąd nie wybuchła, bo chłop wychodził na swoje — powiedziała tęczówka. — To jest ciągle kraj chłopski. Kiedy chłopu nadepną na odcisk, będzie z nimi koniec.

— I właśnie nadeptują?

— Mhm.

— Może pozwolić? Niechby był ten koniec.

— Wiesz jak jest, każdy ma gdzieś kogoś — tęczówka zaśmiała się. — Mój staruszek robi za ministra, głupi, ale poczciwy. Ojciec Brody jest szychą w esbe, pułkownik zdaje się. Żal ich trochę na twarde lądowanie.

— Ja bym się nie litował — podpuścił człowiek Majora, którego ojciec był działaczem ruchu robotniczego na rencie; stąd poglądy rewolucyjne, które przywiodły człowieka zaraz po studiach do Centrali.

Poglądy dziedziczy się w genach, wypija z mlekiem matki albo wynosi z domu. Opinie w tej sprawie są podzielone. Czasem poglądy zmieniają się w antypoglądy, ale wychodzi na jedno. Działaczy ruchu robotniczego było zdecydowanie mniej niż jego ofiar, stąd dziedzictwo postaw bez zrozumienia dla racji stanu. Jest na to rada? Łatwiej, mimo wszystko, zmienić rację stanu niż człowieka. Wbrew pozorom. Podgrzana racja stanu robi się plastyczna i można ją formować, a człowiek — wybucha. „Służ idei naszej, bądź jej wierny" — pouczał ojciec człowieka Majora. „Tep idee, którym trzeba służyć — pouczał tęczówkę pewien docent na tajnym seminarium. — Każda idea, której należy służyć, jest w swej istocie faszystowska: czyni człowieka niewolnikiem". Nie do pogodzenia? Na pozór. Są idee w służbie człowieka, z nich korzystajmy.

„SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA W SŁUŻBIE CZŁOWIEKA".

„SOCJALIZM DLA LUDZI".

„KOMUNIZM NA USŁUGACH NARODU".

Człowiek Majora nagrał to wszystko, potem zapytał od niechcenia, jak nazywa się przewodniczący Komitetu i czy jest tutaj.

— Kulesza szykuje akcję solidarnościową na kraj — odparła tęczówka. — Po ognisku zrobię z nim wywiad dla „STRZYKAWY".

— Po jakim ognisku?

— Nie wiesz? Poczekaj trochę, już niedługo.

Ktoś ją zawołał, odeszła. Człowiek Majora porozmawiał z zegarkiem. Przekazał, że coś ma się palić i że sugeruje przeszukanie Ośrodka pod kątem pożaru. Przy dzisiejszej technice nie sztuka podpalić na bezpieczną odległość: podrzucamy mikrozapalnik radiowy wielkości śliwki, czekamy tydzień i w dogodnej chwili ślemy sygnał. Tak terroryści strącają samoloty, topią statki, detonują przedszkola. Świat padnie w 1999 roku, powtarza za Nostradamusem leśniczy Rem, choć ma tu pewne obiekcje: padnie, ale podźwignie się, uwolniony od szaleńców, pogruchotany dostatecznie, ale chwyciły hasła odbudowy.

— Nie jesteśmy opozycją — tłumaczył drugi brodacz kilkudziesięciu słuchaczom pod kasztanem. — Nie chcemy niczego brać, niczym się dzielić ani szukać kompromisów. Chcemy tylko i jedynie ocalenia ojczyzny dla ludzi wolnych od Wschodu do Zachodu. — Człowiek Majora obnażył zegarek, potem ramię oparł na pniu, kierując tarczę na brodacza. — Przeciwnicy władzy sami stają się władzą, dawna władza tworzy ruch dysydencki, jakby się umówili na mydlenie nam oczu. Przedtem władza nie chciała słyszeć o dysydentach, pamiętacie? To był pierwszy akt. W drugim robi się przepychanka, w trzecim wymiana. I tak dookoła Wojtek. To są gry polityczne, proszę państwa, żeby przesłonić gwałt na nas. Jaka polityczna opozycja domaga się zamknięcia fabryk? Wygaszenia pieców hutniczych, zlikwidowania chemii, jądrowego weta? Kto z nich proponuje, abyśmy powrócili do korzeni, ku ziemi-matce, dając światu sery, twarogi, placki ziemniaczane? Mamy jeszcze szansę wybić się ponad ser szwajcarski. Tak, proszę państwa: oni zaczęli od serów, a teraz są potęgą bankową, nie mówiąc o zegarkach.

— Precz ze spiskami polityków! — zawołał pierwszy brodacz i wszyscy zaczęli klaskać. — My jesteśmy apolityczni!

— Cała władza w ręce apolitycznych! — wykrzyknął piskliwie staruszek w słomkowym kapeluszu.

— Już za pół godziny pokażemy światu, że stać nas na najwyższe poświęcenie dla dobra ludzi — ogłosił drugi brodacz. — Wieczna chwała Annie Genowefie!

Ostatnią wypowiedź człowiek Majora nagrał na magnetofon w amulecie afrykańskim. Potem zaczął rozglądać się za tęczówką. Była dziewczyną w jego typie, chętnie by się z nią spotkał w czasie wolnym od pracy.

Leonard Rem przystanął obok klatki z żerdzi, w których trzymano dziki na odstrzał. Wszystkie były chore, po badaniu weterynaryjnym; mimo zastrzyków pobudzających zachowywały się niemrawo, ślepia miały zaropiałe, iby opuszczone w dół. Major miał rację, bez terpentyny nie popędzą. Leśniczy kazał chłopakowi przynieść terpentynę i pędzel, dwóch swoich doświadczonych pomocników wyznaczył do pędzlowania. Dzik dla Naczelnego, masywny dwulatek węszył niespokojnie. Według weterynarzy był nieuleczalnie chory. Rem chciałby wierzyć, że to prawda. Weterynarze byli na etacie Centrali. Naczelny postanowił, że kierownictwo polować będzie tylko na sztuki nieuleczalnie chore, skazane i tak na odstrzał. Powiedział o tym przed kamerami telewizji, gdy zapytano go, czy prawda, że przepada za polowaniem. Owszem, ale sam raczej nie strzela, woli obserwować naturę, przeżywać jej uduchowione piękno.

Żul przysiadł u stóp leśniczego i wywalił fioletowy jęzor. Obserwował śnięte dziki z pogardą zdrowego bydlaka.

— Waruj — rozkazał Rem.

Spojrzał na zegarek. Pora. Dał znak pomocnikom, żeby wypuścili dużego. Tuż przed otwarciem klatki jeden z pomocników zadarł dzikowi krótki ogon i bryznął z pędzla terpentyną. Zwierzę ryknęło. Szatan w nie wstąpił. Stanęło dęba, wierzgnęło kopytami i popędziło przed siebie. Żul chciał rzucić się za nim.

— Waruj! — przypomniał Rem.

Ledwie dzik wpadł w młodniak, zagrały piszczałki, gregle, trajkoty. Uciec od nich mógł tylko kierując się ku Jajowatej polanie.

— Uech — uech — uech!... — wydzierał się Rudak, równocześnie tłukąc pięściami w harcerski bęben. — Juch — juch — juuuch!..

Rem nadał Majorowi:

— Start!

Teraz czekał na strzały. Pomocnicy byli gotowi do wypuszczenia pozostałych dzików. Zanurzył pędzle w słoju z terpentyną. Leonard Rem przypomniał sobie wieczór z Brygidą, zrobiło mu się słodko i zarazem boleśnie. Do jasnej cholery, pomyślał, dlaczego mam z góry wszystko wiedzieć?! Z czyjej woli akurat na mnie to padło?! Oby go poskręcało, piekielnika!...

Jakby w odpowiedzi poczuł ból w krzyżu. Byle nie korzonki... Leonard Rem posmakował już parę razy udręki korzonkowej, kiedy człowiek ani się zgiąć, ani wyprostować nie może, ani położyć się, ani usiąść, jakby mu przy najdrobniejszym ruchu cęgami ząb wyrywano. Dobrze już, dobrze, pomyślał szybko, nie złość się mój panie, żartowałem. Czuję się zaszczycony, żeś mnie wybrał.

Major ustawił Naczelnego pod samotnym drzewem, innych rozmieścił przed nim i też na widoku, aby obserwatorzy nie mieli trudności. Od tego momentu rozpoczynało się nagrywanie na taśmę wideo, także na pamiątkę dla uczestników polowania, którym wręczy się później powielone kopie. Każdy wie, że patrzy na niego kamera. Nie wie, że oprócz kamery patrzy na niego przez swój sprzęt optyczny wyborowy strzelec. Tak czy owak, żaden z myśliwych nie powinien z nabitą bronią odwracać się do Naczelnego, a już w żadnym razie na niego jej kierować, choćby przez nieuwagę. Snajper ma chwilę na podjęcie decyzji. Gdyby musiał się zdarzyć wypadek na polowaniu, nie ma prawa przytrafić się szefowi.

Naczelny oparł swój lśniący oksydowany sztucer we wgłębieniu konara. Czekał z lornetką przy oczach, podaną mu przez sekretarza. Gorban był bez broni. Nie do niego należało ochranianie szefa, ale na własną prośbę przeszkolono go w Centrali i wodził teraz wzrokiem z lewa na prawo oraz z dołu w górę, analizując kwadraty przestrzeni, czy nie dzieje się w niej coś podejrzanego. Oficer ochrony stał obok i robił to samo. Bezwiednie konkurowali ze sobą. Co byś uczynił, gdybyś zobaczył wymierzony we mnie rewolwer? — zapytał kiedyś szef. — To co każdy — odparł Emil. — Zasłoniłbym was sobą. Niezrozumiały przestrach w oczach Naczelnego: „Ty nie! Od tego mam funkcjonariusza".

Major taktownie przypomniał myśliwym, że pierwszy strzał tradycyjnie należy do Naczelnego.

— Ja w ogóle nie zamierzam strzelać — odpowiedział Marat.

— Ja też — przyłączył się Rajski. — Co najwyżej w powietrze.

Ikar i Gajdacz wymienili ironiczne spojrzenia.

— Nie znam się na wersalu — mruknął Gajdacz. — Jeśli zwierz idzie na mnie, walę z obu luf. Raz pobawiłem się w wersal na Syberii i niedźwiedź o mało mnie nie rozszarpał.

— Dziki też bywają groźne — zapewnił Major.

Był dziś czujniejszy niż zazwyczaj, bez porównania czujniejszy i coraz bardziej niespokojny, choć nic szczególnego się nie działo. Analizując w komputerze dane z punktów obserwacyjnych na godzinę przed rozpoczęciem polowania, miał nadzieje, że jego lęki zostaną ozwiane definitywnie. Jednak nie: komputer wykazywał jakąś lukę, sygnalizował, że wszystko jest w porządku, lecz nie do samego końca. Czarna dziura — coś czego nie widać, a jednak istnieje. Może defekt komputera, albo gdzieś w terenie uszkodzony czujnik? Major sprawdził i żadnego defektu nie znalazł.

Tuż przed początkiem polowania połączył się z Remem.

— Skup się — poprosił. — Mam przeczucie, że coś jest nie tak.

— To i ty miewasz przeczucia? — zdziwił się leśniczy.

— Skoncentruj się, Leonard. Czy na terenie Ośrodka przebywa w tej chwili ktoś niepowołany?

— Znaczy, bez wiedzy Centrali?

— Właśnie.

Przez minutę radiotelefon milczał. Potem zaskrzeczał w nim głos leśniczego:

— Lagos, tu Rem, słyszysz mnie? Odbiór.

— Słyszę — potwierdził komendant.

— Nie ma nikogo takiego. Chyba.

— Jakie „chyba"? — zirytował się Major.

— Bez gwarancji. To tylko jasnowidzenie.

Naczelny przez lornetkę obserwował północny skraj polany, skąd powinien był nadbiec dzik. Dochodził już z dala pogłos nagonki. Major ze swoją strzelbą zaległ w krzakach nie opodal samotnego drzewa. Czekało go teraz zadanie najtrudniejsze, wymagające piekielnego refleksu i kowbojskiej sprawności. Jeśli szef trafi — w porządku. Jeżeli spudłuje — wyczekać przez ułamek chwili na strzał z drugiej lufy i wystrzelić równocześnie. Strzał z drugiej lufy rzadko bywa celny, jednak z dyskretną pomocą Majora Naczelny był mistrzem drugiego strzału. Czy się czegoś domyślał? Wątpliwe. Szefowie w ogóle nie dopuszczają podobnych myśli.

Gdy na polanę wpadł olbrzymi dzik, Major był już skupiony, gotów do strzału w porę. Trzymał zwierzę na muszce odkąd się objawiło.

Mieli dzika na muszce także Ikar i Gajdacz. „Piif..." — syknął Ikar wyobrażając sobie, że pociąga za spust. Zobaczył jak dzik koziołkuje. Jak szablami zarywa w mech. Jak się wije w drgawkach i jak zamiera. Ikar poczuł głuchy gniew, zaraz stłamsił go w sobie.

Gajdacz splunął. Uniósł głowę znad strzelby, żeby lepiej widzieć, co się stanie z dzikiem. Skoro go nie mógł utrupić, chciał mieć przynajmniej widowisko.

— Będzie pudło — mruknął. — Ślepa Gienia.

Marat patrzył w drugą stronę. Pamięć odtwarzała mu wciąż od nowa rozmowę przy śniadaniu, rzucając na ekran twarze, gesty, akcenty. Poszło tak jak się spodziewał. Gorban doniósł niezwłocznie. Ale jak głęboko zanurzył się szef w materii psychologicznej, ile wariantów przeanalizował, który wybrał? Najdociekliwiej badał Ikara... i to jest niepokojące. Gdy coś jest mu na rękę, obchodzi się bez dociekań.

Rajski był też myślami przy śniadaniu. Dopiero teraz zaczął się obawiać, że Ikar odgadnie. Nie chciałby go mieć za przeciwnika. Założył sobie inny bieg wydarzeń. Nie był rasowym politykiem, lecz intelektem górował nad nimi wszystkimi. W polityce, tak samo jak w boksie, zdarza się równoczesny podwójny nokaut, lecz tu, w przeciwieństwie do boksu, przypadkowi należy dopomóc. Jeżeli Ikar i Marat znokautują się jednocześnie, najbliżej szefa okaże się on, Rajski. Może na krótko. Wystarczy. Nie trzeba wiele czasu na przekonanie Naczelnego, że koncepcje Rajskiego warte są podjęcia — kiedy znikną przeszkody w postaci tamtych dwóch. Teoria Racji Nadrzędnej i Pełnego Otwarcia. Nie kapitalizm i nie socjalizm: te dwa systemy są przegrane. Nowa formacja ustrojowa. Bezczelnie śmiałe rozwiązania, powrót ku naturze, pakt z Bogiem... Rajski zacisnął usta. Człowiek, który podejmie wizję Rajskiego, stanie się przywódcą planety. A on przy nim... Dlaczego? Może odwrotnie? Sprawny polityk u boku wielkiego wizjonera? Więcej odwagi, Jerzy, więcej wiary w siebie...

Dzik cwałował ku linii strzału Naczelnego. Ten już czekał. Kolbę sztucera mocno wcisnął w dołek, policzek przytulił do chłodnej stali, szczerbinkę zgrał precyzyjnie z muszką. Tylko oddech przeszkadzał. Za szybki. Może mu jednak wyjdzie strzał bezbłędny, prosto w komorę, jak to bywało niegdyś.

„Ognia!..." — jęknął bezgłośnie Gorban, ponaglając szefa, który zwlekał niezrozumiale.

„Ognia!..."

„Już!..."

Major podziwiał Naczelnego. Był pewien podziwu dla jego opanowania. Inny dawno by strzelił. Dzik zwolnił właśnie, przystanął, by się rozejrzeć, powęszyć. Znajdował się jednak za daleko. Jeżeli teraz zmieni kierunek, ujdzie z życiem. Więc nie ryzykować, oddać strzał natychmiast? Tak by postąpił partacz, ale nie Major i nie Naczelny. Pewny strzał albo żaden.

Zwierzę nie odkryło zasadzki. Biegło z wiatrem. Podrzuciło łbem i pocwałowało prosto na samotne drzewo pośrodku polany, za którym spokojnie czekał Naczelny.

Spokojny jednak nie był. Ku własnemu zaskoczeniu czuł przyspieszone i nierówne bicie serca, miał kłopot z oddechem, a obraz polany nagle rozmazał się, zamglił i popłynął jak powietrze nad rozprażonym asfaltem. Z dzika zrobiły się dwa. Biegły ku niemu równolegle, ale do którego strzelić? Mocując się z oddechem, Naczelny wycelował w wąską szparę między nimi i pociągnął za spust.

Dziki poderwały się, pognały na ukos ku brzezinie. Wtedy Naczelny obrócił się i już z ręki, nie celując, wystrzelił po raz drugi. Echo przewaliło się nad doliną. Dzik zamarł i runął jak ścięty. Nie miał drgawek. Musiał dostać prosto na komorę. Naczelny widział teraz z nadzwyczajną ostrością każdy szczegół, jakby oglądał zwierzę przez powiększające szkło. Oddech wyrównał mu się, serce pracowało jak zegar. Chwilowa niedyspozycja, pomyślał i natychmiast skorygował: starość.

Nie był jednak stary, zaledwie kilka lat starszy od Majora, który szybko doładował broń i podniósł się z ziemi.

— Piękny strzał — zawołał.

— Tylko poprawka — mruknął szef.

Od młodniaka nadbiegały już kolejne dziki, ścigane dalekim trzaskiem i pohukiwaniem nagonki. Zagrzmiała kanonada, dwa padły, reszta panicznie przyspieszyła, kierując się ku brzezinie. Tam jednak czekali na nie fachowcy. Chore sztuki nie mogły ujść z życiem, szerzyłyby zarazę. Na polanie nie usłyszano strzałów stamtąd. Wszyscy zgromadzili się nad dzikiem ustrzelonym przez szefa, podziwiając jego rozmiary.

Rem odtrąbił zakończenie łowów. Major miał pod drzewem motocykl, pognali we dwójkę do leśniczówki, żeby sprawdzić, czy wszystko gotowe. Długi stół pod jabłonią był już nakryty, półmiski pełne zimnych zakąsek — polędwic, szynek, kabanosów, żeber wędzonych, łososia, pstrąga i węgorza, serów na okrągłych deskach, mich drewnianych z pomidorami, ogórkami, marynowanym czosnkiem. Chłopcy z motylkami, w klapach tym razem, dyżurowali obok glinianych dzbanów z winem i wódką; tylko dla Naczelnego jaśniał miodowy koniak „Eniseli" w kryształowej karafce, a przy talerzu, zamiast kubka, stał brzuchaty kieliszek ze złoceniem.

C.D.N.